

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

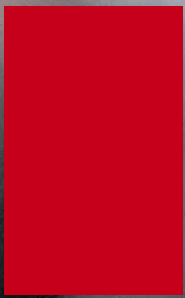
WOLNA SOBOTA

- Dziemianowicz-Bąk: Młodzi cierpią, PiS rechocze
- Józef Hen: Najlepsze było przede mną
- Dlaczego opozycja pomaga PiS-owi?
- Czy można dobrze umrzeć?
- Owsiannikowa: Komu zniszczyłam życie



WYSOKIE OBCASY

Butowtt:
Patrzę
w lustro
i nie jest źle



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



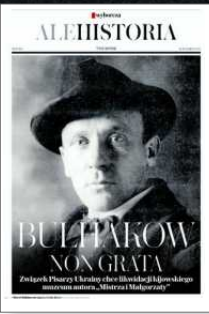
Duda szuka pracy

FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Bulhakow już zły
Związek Pisarzy Ukrainy
nie chce muzeum autora
„Mistrza i Małgorzaty”



**Pierwsza bitwa
z zamordyzmem**
List 34 był początkiem końca
Gomułki

Matczak: Gdyby każde
zło oznaczało potępienie,
wszyscy bylibyśmy
potępieni ► 16

Wojciech
Maziarski

Dziennikarstwo, a nie propaganda

Filmem, który obciąża Jana Pawła II odpowiedzialnością za osłanianie duchownych pedofilów, TVN dostarczyła paliwa pisowskiej propagandzie. Jeśli na tym wzmożeniu PiS wygra wybory, będziemy to zawdzięczać niezależnym dziennikarzom, którzy wystąpili w roli „pożytecznych idiotów” autorytarnego reżimu.

Takie tezy pojawiają się w internetowych komentarzach – uzasadniony strach przed dalszymi rządami mrocznych sił „dobrej zmiany” popycha wielu ludzi dobrej woli do rzucania nieuzasadnionych oskarżeń.

Autorzy tych opinii, owszem, chcą dla Polski jak najlepiej, ale nie uświadamiają sobie, że wpisują się w logikę, która kazała funkcjonariuszom reżimu wezwać

na dywanik ambasadora USA, by skarcić go za to, że telewizja stanowiła własność amerykańskiego koncernu nadała film, który nie podoba się polskim władzom. W tej optyce dziennika-

Robota dziennikarzy polega na mówieniu tego, co udało im się dowiedzieć – i tyle

rze i publicyści nie wykonują po prostu tego, co do nich należy, lecz są eksponentami jakichś zewnętrznych sił i instytucji, np. partii politycznych czy rządu USA. Decyzje redakcyjne są zaś elementem kalkulacji politycznych, w których podstawowym kryterium jest interes tych zewnętrznych graczy.

Odpowiedzmy więc krytykom: robota dziennikarzy i publicystów polega na tym, by mówić odbiorcom to, co udało się im dowiedzieć i w co sami wierzą. To wszystko. Partie polityczne mogą i pewnie muszą dostosowywać przekaz do wymogów kampanii, ale my, ludzie mediów, powinniśmy kierować się innymi kryteriami. Kombinowanie, co opłaca się w tej chwili ujawnić, a co lepiej zataić, byłoby sprzeczne z samą istotą naszej misji.

Nie mówiąc o tym, że oznaczałoby to triumf sił antydemokratycznych i autorytarnych, które od 2015 roku usiłują w Polsce przejąć, zniszczyć i uciszyć wolne media. Okazałoby się, że pisowska cenzura nie jest potrzebna, bo sami sobie zakładamy knebel, by unikać tematów, które mogą dostarczyć propagandowego paliwa.

Dlatego powiedzcie sami z ręką na sercu: nadal chcielibyście kupować „Gazetę Wyborczą”, gdybyśmy przy wyborze publikowanych materiałów kierowali się interesem tego czy innego ugrupowania politycznego? ●

Kalifornia Pralnia wody



FOT. NOAH BERGER/AP

Pamela i Patrick Cerruti opróżniają pralki z monet, gdy powódź zalala ich miasteczko Pajaro w Kalifornii. – Straciliśmy wszystko. To sprzęt za pół miliona dolarów – powiedziała Pamela. Kalifornia zмага się od tygodnia ze skutkami ulew, jakie przyniosła rzeka atmosferyczna. W Pajaro woda przerwała wały i zalala osadę zamieszkaną głównie przez imigrantów. **Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Sędzia Agnieszka Brygidyr-Dorosz Cóż za awans!

Czternastego marca sędzia Agnieszka Brygidyr-Dorosz skazała aktywistkę Justynę Wydrzyńską za pomoc w usunięciu ciąży na osiem miesięcy prac społecznych. I już tego samego dnia, zarządzeniem ministra Ziobry, uzyskała delegację do Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Do tej pory pracowała w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga.

Wydrzyńska została skazana za pomoc w usunięciu ciąży na osiem miesięcy ograniczenia wolności w postaci 30 godzin nieodpłatnych prac społecznych. Pomaga w aborcjach od 16 lat. Jej sprawa trafiła do sądu, bo była partnerem jednej z kobiet, której pomogła trzy lata temu (odstąpiła jej własne tabletki abortyjne), doniósł o wszystkim na policję. Anna od początku sygnalizowała, że jest w przemocowym związku. Za „pomoc w aborcji” groziły Justynie Wydrzyńskiej nawet trzy lata więzienia. Przed gmachem sądu ludzie zebrali się



FOT. ADAM STEPIEN / WYBORCZA

w solidarnościowej demonstracji. Dziękowali Wydrzyńskiej za jej dotychczasową działalność. Przynieśli transparenty z napisami m.in. „Jak Justyna”, „Nie będziesz szła sama”, „Jestem Justyną”.

Jak przypomina portal TVN 24, kariera sędzi Agnieszki Brygidyr-Dorosz nabrała rozpędu za rządów Prawa i Sprawiedliwości, gdy do głosu doszła powołana głosami polityków PiS nowa Krajowa Rada Sądownictwa. Pomimo sprzeciwu zgromadzenia sędziów sądu apelacyjnego upolityczniony KRS podjął uchwałę o powołaniu jej na stanowisko sędziego. ● **Oktawia Kramer**

Andrzej rysuje



Bankowy problem



Nad ranem szwajcarski bank centralny ogłosił, że pożyczki Credit Suisse 50 mld franków. Powód?

Po bankructwach amerykańskich banków inwestorzy spanikowali, że europejskie instytucje też mogą mieć problemy

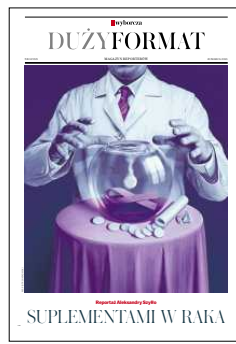
Czy to nowy kryzys? Czytaj ► Wyborcza.biz

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Lekarz leczy raka suplementami

Same suplementy? Czy to na pewno jest kuracja na raka? Wydałam na nie 10 tys. zł, kolejnych 20 tys. już nie miałam. Pisałam do doktora Czerniaka o moich wątpliwościach, ale on przestał się odzywać. **Reportaż Aleksandry Szyłto**



Karmimy chińskie prosięta

Już ponad 50 procent naszego rynku wieprzowiny jest w rękach jednego koncernu należącego do Chińczyków. Spółka buduje swoje chlewnie, ale również wstawia prosiaki do chlewów rolników i płaci im za obsługę, daje nawet paszę. **Reportaż Marcina Wójcika**

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Poniedziałek

Wiosna, ach to ty!

1 Dwudziesty marca to pierwszy dzień astronomicznej wiosny 2023 roku, a i prognozy pogody to potwierdzają. Znikną nocne przymrozki, a w dzień w całym kraju, choć będzie pochmurnie, to z temperaturą powyżej 10 stopni.



FOT. TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK, ALVARO BARRIENTOS/AP,

Środa

Dzień wody

2 Siedemset osiemdziesiąt pięć milionów ludzi na świecie nie ma dostępu do bezpiecznej wody pitnej, dlatego Polska Akcja Humanitarna przypomina, że 22 marca obchodzimy Międzynarodowy Dzień Wody i tego dnia na stronach PAH – Pah.org.pl – można znaleźć informacje o wydarzeniach edukacyjnych z tym związanych.



Piątek

Euro 2024

3 Ruszają eliminacje do mistrzostw Europy w piłce nożnej w Niemczech. Polska swój pierwszy mecz rozegra z Czechami w piątek, 24 marca. Wśród przeciwników Polaków są jeszcze Albania, Wyspy Owcze i Mołdawia.



Cytat dnia

Obiady szkolne tylko na bazie roślin, dodatkowe podatki dla mięsożerców, specjalne zezwolenia na podróże samolotem, faktyczne pozbawienie mieszkańców miast samochodów.
To nie science fiction, lecz rzeczywistość, do której dążą ekodespoci

MAREK PYZA
tygodnik konserwatywny „Sieci”

Czy grozi nam nowy rok 2008

Ile banków jeszcze padnie

Szesnasty na liście największych banków Ameryki pogrążyły najbezpieczniejsze papiery świata

Lubowski

Gdy 16. na liście największych banków Ameryki, na dodatek obsługujący Dolinę Krzemową, nieoczekiwanie idzie z torbami, a w ślad za nim następny, uzasadnione staje się pytanie, czy szykuje się nam powtórka 2008 roku, czy to raczej wypadek przy pracy.

Odpowiedź na pytanie, ile jeszcze banków padnie, brzmi: „Nie wiadomo”. Bo nie wiadomo, ile popełniło podobne błędy co Silicon Valley Bank. Nawet jeśli śmiertelnie chorych jest tylko kilka, to panika, która roznosi się szybciej niż COVID, może osiągnąć banki zdrowe jak ryba. Bo żaden nie trzyma w kasie pancernej wystarczającej gotówki, aby wypłacić wszystkie pieniądze wszystkim klientom jednocześnie, gdy ci w przerażeniu szturmują okienka.

Zakup obligacji rządu USA to od dekad najbezpieczniejsza inwestycja pod słońcem. Waszyngton dług zwróci, bo ma drukarkę banknotów dolarowych. Dlatego kraje o dużych nadwyżkach pieniądza, takie jak Chiny, właśnie w obligacjach rządu USA lokują oszczędności. Na koniec ubiegłego roku było tego 870 miliardów. Jeszcze więcej, bo 1 bilion 82 miliardy znajdują się w rękach Japonii. To nie oznacza jednak, że na takiej inwestycji nie można stracić. Można, i to bardzo łatwo, jak się przekonał SVB. Można stracić, sprzedając tę obligację przed terminem jej wykupu, w sytuacji gdy w czasie między zakupem a sprzedażą wzrosły stopy procentowe.

Dwa lata temu, 1 marca 2021 roku, 10-letnia obligacja emitowana przez skarb USA (to najbardziej płynny w świecie papier dłużny) gwarantowała stopę zwrotu w wysokości 1,56 proc. – przy założeniu, że dotrzyma się ją do momentu jej wygaśnięcia. 14 marca 2023 roku nabywca nowej, 10-letniej obligacji mógł liczyć na stopę zwrotu 3,62 proc. Ta ponad 100-procentowa

różnica wynika z tego, że w ostatnich miesiącach Fed kilkakrotnie podnosił stopę procentową w nadziei, że zdusi to inflację. Sprzedając dziś 10-letnią obligację, uzyskalibyśmy niższą cenę niż ta, jaką zapłaciliśmy. Powód jest oczywisty: nabywca nie zapłaci tysiąca dolarów z gwarancją 1,56 proc. stopy zwrotu, jeśli może za te same pieniądze kupić obligację, która da mu zysk ponaddwukrotnie wyższy. Czyli jej sprzedaż oznacza stratę.

W takiej sytuacji znalazł się SVB i w tej sytuacji znajdzie się lub już się znajduje, tylko my tego nie wiemy, każdy bank, który ma podobny portfel. Banki mają obowiązek wyceny bieżącej wartości aktywów – a taka obligacja jak każda udzielona pożyczka jest aktywem. Jeśli takich aktywów jest sporo, kapitał banku może się skurczyć na tyle, że albo potrzebny jest pilnie zastrzyk kapitałowy, albo regulator go po prostu zamknie, tak jak SVB i nowojorski Signature (tyle że problemem Signature nie były obligacje rządowe, ale znacznie mniej bezpieczne kryptowaluty).

W minionych dwóch latach do banków wpłynęło wiele gotówki. Były to oszczędności osób prywatnych, które otrzymały od rządu finansowe zastrzyki antycovidowe i w całości ich nie wydały, i przychody tych firm, zwłaszcza wysokiej technologii, dla których czas COVID-u okazał się bonanzą.

Gotówka w sejfie nie generuje zysku. Dylemat, co z nią zrobić, SVB rozstrzygnął wyjątkowo niefortunnie. Zainwestował w długoterminowe obligacje. W zdecydowanej większości superbezpieczne – w długiej perspektywie. Jednak w krótkiej arcyryzykowne. Mógł spokojnie kupić trzy- i sześciomiesięczne.

To był ewidentny błąd w sztuce. Gdy się zorientował, co się kroi, próbował się ratować dodatkową emisją akcji, aby

zwiększyć kapitał. Nie zdążył. Rynek się zorientował, że coś tu nie gra.

W Dolinie Krzemowej wszystko dzieje się szybciej. Szybciej rodzą się fortuny i legendy, szybciej upadają idole. W sądzie w San Jose już złożono pozwy przeciwko wierchuszce banku, który błyskawicznie z ukochanego stał się nienawidzonym. Ludzie Doliny mają wzrok przyklejony do ekranu komputera, a uszy do smartfona. Tweetują bez umiaru. A Twitter to przyjaciel paniki. W Dolinie szybciej rozchodzi się plotka, szybciej rozpędza się panika. Gdyby w podobnej do SVB sytuacji znalazł się bank, którego klientami byłiby kucharze, szewcy, nauczyciele i strażacy, panika nie nabrałaby takiej prędkości.

O powtórcę 2008 roku nie może być mowy. Banki są dziś znacznie silniejsze, mają grubszą poduszkę kapitałową. Nieporozumieniem jest nazywanie obligacji rządowych toksycznymi aktywami. Penicylina może być trucizną, jeśli źle się ją zastosuje.

W Dolinie Krzemowej szybciej rozchodzi się plotka. Gdyby w podobnej do SVB sytuacji znalazł się bank, którego klientami byłiby kucharze, szewcy, nauczyciele i strażacy, panika nie nabrałaby takiej prędkości

Co przed nami? Panika jest potężną siłą. Prędzej czy później rząd i Fed ją okiełznają. Tumult, jaki trwa, i ryzyka, jakie odsłonił, mogą skomplikować bankowi centralnemu zmagania z inflacją. Mało jednak prawdopodobne, aby Fed zrezygnował z podwyżki stopy procentowej, bo to jedyne narzędzie, jakie ma, aby walczyć inflacją.

Poszukiwanie winnych już się zaczęło. Zdrowy rozsądek podpowiada, aby zacząć od geniuszy zarządzania. W 2021 roku, kiedy zapadły tragiczne w skutkach decyzje, prezes SVB zarobił niemal 10 milionów dolarów. Jego adiutanci od trzech do czterech.

Potem pora na konsultantów. Jeśli audytor, czyli diagnosta, w tym przypadku KPMG, wystawia świadectwo zdrowia, a pacjent następnego dnia dostaje ataku serca, bo ma zatkane arterie, to coś jest nie tak z tym diagnostą. Depozyty, które w 2021 roku do SVB waliły drzwiami i oknami, już w zeszłym roku zaczęły z niego wyciekać. Niedostrzeżenie tego to, łagodnie mówiąc, dowód na brak profesjonalizmu.

I tu analogie do kryzysu 2008 wydają się uzasadnione. Zadaniem audytorów jest ostrzec inwestorów, jeśli zauważą w kondycji firmy lub sposobie prowadzenia biznesu niepokojące sygnały. Tego nie zrobiono. A instytucje rządowe, czyli regulatorzy, czegoś nie dostrzegli – albo dostrzegli, ale siedzieli cicho, karmiąc się nadzieją, że jakoś to będzie. Najlepsze reguły na niewiele się zdadzą, jeśli nie są przestrzegane. „Wall Street Journal” w tradycyjnej roli winnego już w poniedziałek obsadził Joego Bidena, choć systemy nadzoru bankowego zaost్రzone przez Obamę z radością poluzował w 2018 roku. Trump.

A kto ucierpi? Początkowo mówiło się, że wedle ustalonych zasad gry rząd ochroni tylko depozytariuszy, którzy mieli w upadłych bankach do 250 tysięcy dolarów na głowę. W SVB 98 proc. klientów trzymało większą kasę. Rząd już zmiekl i ma obronić wszystkich.

Czyli zapłaci podatnik. Jeśli po raz kolejny suchą nogą wyjdą maszyniści lokomotywy, która jechała pod prąd, a tego scenariusza odrzucić nie można, to podobne wywrotki czekają nas w przyszłości. ●

Andrzej Lubowski

MOŻE BIDEN POMOŻE

Plan Dudy: niech Szczerski rozejrzy się w ONZ i znajdzie mi jakieś stanowisko, dobrze płatne i w miarę prestiżowe.

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



Polityka Pałacu Prezydenckiego jest tak skalibrowana, by zapewnić Andrzejowi Dudzie prestiżowe stanowisko międzynarodowe po zakończeniu drugiej kadencji.

Ta historia zaczyna się w styczniu 2021 r. Polityk PiS Krzysztof Szczerski objął wtedy funkcję szefa Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta RP. Tygodnik „Do Rzeczy” napisał wtedy, że budowana przezeń struktura ma przygotować Dudę do walki o ważne stanowisko międzynarodowe po zakończeniu kadencji. Twitter prawie umarł ze śmiechu, bo wtedy PiS był na wojnie niemal z całym światem. A wybory prezydenckie właśnie przegrał Trump, na którego Duda postawił. I na dodatek zwlekał ze złożeniem gratulacji prezydentowi elektowi Joemu Bidenowi. Obóz PiS notorycznie obrażał Bidena, a obecny prezydent USA nie przebiegał w słowach w kwestii praworządności w Polsce – i w kampanii wymienił Polskę w jednej grupie z Węgrami oraz Białorusią. Chemii tu nie było.

Kilka miesięcy później, w czerwcu 2021 r., Szczerski został mianowany stałym przedstawicielem RP przy ONZ w Nowym Jorku. Tam człowiek prezydenta miał się rozejrzeć, jakie opcje są możliwe. To ostatnia kadencja Dudy, więc nie musi się on już oglądać na PiS i Jarosława Kaczyńskiego. Z prezesem PiS ma cały czas fatalne relacje. A skoro ma wolną rękę, to też pewne pole manewru.

Prezydent więc postanawia wystąpić w roli arbitra, który pogodzi PiS i Unię Europejską. Nawołuje PiS

do szukania kompromisu, a na początku lutego 2022 r. składa swój projekt nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym likwidujący Izbę Dyscyplinarną SN. Nowelizacja ma odblokować pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy. Wcześniej Duda spotyka się z szefową Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen. I od tego momentu stosuje ekwilibrystykę: jak tu się pogodzić z UE, nie do końca skłócić z PiS, a jednocześnie nie podważać własnych decyzji, którymi przyczynił się do łamania praworządności w Polsce.

Ustawa zostaje w końcu uchwalona, ale wraz z poprawką Solidarnej Polski, która jest w sprzeczności z ustaleniami Komisji Europejskiej. A ponadto minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro ze swoimi ludźmi prowadzi działania, które torpedują jakikolwiek konsensus. Bo jedno z założeń kompromisu przewiduje, że PiS przestanie ścigać sędziów krytykujących łamanie konstytucji. Ale nominacji Ziobry robili to nadal.

Mimo że akcja Dudy okazała się nieskuteczna, bo unijne pieniądze są nadal zablokowane, to przynajmniej Pałac Prezydencki zaprezentował się jako ośrodek władzy otwarty na dialog z zachodnimi partnerami. Jednak główna rozgrywka dotyczyła relacji ze Stanami Zjednoczonymi, a nowelizacja o SN była jej częścią. Amerykanie naciskali, że trzeba zamknąć wszelkie konflikty we wspólnocie euroatlantyckiej w obliczu zbliżającej się wojny.

Prezydent staje się głównym partnerem do rozmów dla amerykańskiej dyplomacji, która w ten sposób obchodzi niepopularny rząd PiS, bo – jak mówił jeden z dyplomatów amerykańskich – w Ukrainie jest wojna, Polska jest ważnym punktem na mapie NATO i z kimś w tym obozie rządzącym trzeba rozmawiać. Duda wetuje też „lex TVN”, co jest ukłonem w stronę Amerykanów. Kaczyński jest niezadowolony, bo chciał, aby Duda odesłał „lex TVN” do Trybunału Julii Przylebskiej. Wtedy to Kaczyński by decydował, co i kiedy stanie się z tą ustawą. A prezes PiS chciał jeszcze trochę TVN postraszyć.

Duda jednak ustawę wetuje i relacje Pałac Prezydencki – administracja Bidena bardzo się poprawiają. Najważniejszym powodem zmiany w stosunkach z USA jest oczywiście napad Rosji na Ukrainę. Prezydent jest lepiej traktowany na arenie międzynarodowej, bo wcześniej miał tylko szansę na zdjęcie z Bidenem przy windzie, więc w Pałacu Prezydenckim wciąż kalkulują, że dobre stosunki z Bidenem umożliwią zdobycie jakiegoś stanowiska międzynarodowego. Trumpa już nie ma, trzeba się układać z tymi, którzy rządzą w Waszyngtonie.

W maju informowaliśmy, że zadaniem Szczerskiego w ONZ jest lobbowanie na rzecz jakiejś posady dla Dudy. Prezydent podchodzi do sprawy realistycznie: szanse na jakieś bardzo eksponowane stanowisko są skromne ze względu na terminarz kadencji w rozmaitych

instytucjach i dużą liczbę potencjalnych chętnych. Jak można usłyszeć nieoficjalnie, ambicje prezydenta zawężają się do ONZ i nie są wybujałe. W czerwcu zeszłego roku Onet napisał, że w grę wchodzi nie tyle funkcja sekretarza generalnego organizacji, ile jakaś agenda ONZ. Funkcja w NATO wydaje się raczej nieosiągalna.

Plan jest taki, by Szczerski znalazł jakieś eksponowane stanowisko, które będzie dobrze płatne i w miarę prestiżowe. Prezydentowi marzy się status tzw. wysłannika specjalnego, który zajmuje się konkretnymi, głównie konfliktowymi, regionami świata. Znany jest przykład pierwszego premiera III RP Tadeusza Mazowieckiego, wysłannika ONZ, który sporządzał raporty o czystkach etnicznych na Bałkanach (po masakrze w Srebrenicy, której błękitne helmy nie zapobiegły, choć powinny, w geście protestu zrezygnował).

W poszukiwaniu posady dla prezydenta jego ludzie muszą wziąć pod uwagę to, że Rosja – delikatnie rzecz ujmując – nie będzie przychylna polskiemu kandydatowi na jakąkolwiek funkcję w ONZ. Trzeba więc szukać takich stanowisk, gdzie Moskwa będzie miała jak najmniej do powiedzenia.

Natomiast Duda konsekwentnie prowadzi politykę przyjazno-neutralną wobec Chin, choć to państwo jest w istocie sojusznikiem Rosji. Ale Chiny są stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa i ich weto mogłoby zniweczyć plany polskiej głowy państwa.

W 2021 r. pojawił się problem projektu ustawy o Krajowym Systemie

DOMINIKA
WIELOWIEYSKA



Cyberbezpieczeństwa, która mogła umożliwić wyrzucenie z Polski chińskich firm. W połowie września 2021 r. prezydencki doradca prof. Andrzej Zybortowicz powiedział w TOK FM, że Duda rozważa weto. – Prezydent wysłał sygnały, że gdyby ustawa wskazywała podmioty firmy chińskiej jako wykluczone z góry z naszego rynku, on również rozważył jej zawetowanie. Zdaniem prezydenta każdy podmiot, który oferowałby uczciwe rozwiązania technologiczne, ma prawo funkcjonowania na polskim rynku – ujawnił Zybortowicz. Jeden z moich rozmówców nie ma wątpliwości: to także element przyjaznej polityki wobec Chin, bo w ONZ jest kilka stanowisk, które wymagają konsensusu USA i ChRL.

Co więcej, Duda jako jedyny przywódca z UE pojechał na początku lutego do Pekinu, by wziąć udział w otwarciu igrzysk olimpijskich. Spotkał się też z Xi Jinpingiem. A w lipcu zeszłego roku – już w trakcie wojny w Ukrainie, gdy było jasne, że Chiny są sojusznikiem Rosji – odbył godzinną rozmowę telefoniczną z chińskim przywódcą. Politycy analizowali konsekwencje rosyjskiej agresji. Z oficjalnego komunikatu wynikało, że „przewodniczący ChRL wyraził gotowość do współpracy ze stroną polską w poszukiwaniu sposobów pokojowego zakończenia konfliktu. Obie strony podkreśliły wagę, jaką przywiązują do poszanowania suwerenności i integralności terytorialnej wszystkich państw, w tym Ukrainy”. Rząd na Twitterze poinformował, że rozmowę zainicjowała strona chińska. Komunikaty Warszawy i Pekinu różnią się: Polska podała, że głównym tematem rozmowy była wojna. Chiny skwitowały kwestię wojny jednym zdaniem na końcu oświadczenia.

Nikt przytomny nie wierzy w dobre intencje Chin, bo ta wojna to w istocie konflikt wolnego świata ze stronnictwem chińsko-rosyjskim. Ale prezydent chce mieć z tym krajem nieźle relacje.

Pytanie, które pojawia się w kontekście zabiegów o międzynarodową posadę, brzmi: czy Amerykanie faktycznie obiecali Dudzie jakieś stanowisko lub poparcie w zamian za dobrą współpracę? Jeden z moich rozmówców wyjaśnia: „Nikt nie daje takich obietnic w wiążący sposób.

Decyzja o jego ewentualnej funkcji w ONZ będzie podejmowana już za czasów kolejnej administracji USA. Niemniej polityka Dudy i jego relacje z Ameryką oraz silna pozycja Szczerskiego dają mu mocne podstawy do niezbędnego poparcia USA w 2025 r., kiedy zakończy kadencję”.

Relacje prezydenta z administracją amerykańską są nadal bardzo dobre: jednym z przykładów jest wizyta pierwszej damy Agaty Kornhauser-Dudy w Waszyngtonie i jej spotkanie z Jill Biden. Ale przed Dudą jest jeszcze kilka wyzwań.

Z naszych informacji wynika, że Biden podczas ostatniej wizyty w Warszawie w rozmowach z rządem i prezydentem postawił sprawę jasno: elektrownię atomową ma budować w Polsce amerykańska firma Westinghouse, ale to nie wszystko. Udział w tym

Bidena – i to nie przypadek, że dokładnie w czasie jego wizyty zorganizowano rządową konferencję prasową, podczas której ogłoszono, że spółka Polskie Elektrownie Jądrowe podpisała z Westinghouse umowę na prace przedprojektowe. Chodzi m.in. o wstępne oszacowanie wartości projektu. Umowę w obecności ministra klimatu Anny Moskwy i ambasadora USA Marka Brzezinskiego podpisał prezes PEJ Tomasz Stępień, prezes Westinghouse Polska Mirosław Kowalik i szef działu Energy Systems w Westinghouse David Durham.

Niemniej wewnątrz obozu rządzącego jest lobby, które alarmuje, że francuski koncern EDF też chciałby zbudować w Polsce elektrownię atomową i jeśli dostanie czarną polewkę, to Francja mogłaby zablokować inwestycję na szczeblu unijnym, gdyż

wstępnie Amerykanie oferują udział na poziomie 10 proc. Polacy chcieliby, aby sojusznik wziął na siebie blisko 50 proc.

Powodzenie projektu atomowego w wersji amerykańskiej będzie miało wpływ na stosunek administracji USA do Dudy, skoro sam Biden uznał to za ważny temat rozmów w Warszawie. I może zaważyć na marzeniach prezydenta o międzynarodowej aktywności po zakończeniu kadencji. Choć oczywiście jest, że ostateczną decyzję o warunkach współpracy z Westinghouse będzie podejmować rząd, a nie prezydent.

le decydująca może się okazać końcówka prezydentury po tegorocznych wyborach parlamentarnych. Na prezydencie ciążyą zarzuty łamania konstytucji i podpisywanie ustaw, które podważały praworządność. Z takim багаżem – mimo dobrych relacji z USA – trudno walczyć o międzynarodowe stanowisko.

Duda sugerował w niedawnym wywiadzie dla portalu Sieci, że chciałby patronować konserwatywnej koalicji PiS z częścią obecnej opozycji, nie tylko z Konfederacją. Jednak taki układ nie wydaje się dziś prawdopodobny. Jeśli władzę przejęłaby demokratyczna opozycja, prezydent musi sobie zdawać sprawę, że rzucanie jej kłód pod nogi i przeszkadzanie w uporządkowaniu spraw sądownictwa poważnie oddała perspektywę jakiegokolwiek aktywności międzynarodowej i poparcia Ameryki.

A poza tym startowanie w wyścigu po jakąś posadę poza granicami Polski jest bardzo trudne bez co najmniej neutralności własnego rządu, który być może stworzy właśnie opozycja. Dlatego Duda może jeszcze nieraz zaskoczyć politycznymi voltami. I być może po wyborach parlamentarnych będzie chciał dążyć do jakiegoś konsensusu w sprawie ustaw przywracających praworządność w Polsce. ●

Biden w Warszawie postawił sprawę jasno: elektrownię atomową ma budować Westinghouse, ale to nie wszystko

projekcie ma mieć też inne przedsiębiorstwo ze Stanów – Bechtel. To korporacja, która się cieszy szczególnym zaufaniem amerykańskiego rządu. Zresztą Bechtel i Westinghouse Electric Company już wcześniej ogłosiły, że utworzyły zespół, który będzie realizował projekty budowy nowych elektrowni jądrowych w Polsce.

Strona polska na takie dictum zaczęła się wykręcać, że jeszcze nie wiadomo, jak będzie wyglądał kontrakt, bo trzeba sprawdzić, czy Unia nie postawi weta. Sprawa jest zawiła od strony prawnej, bo Westinghouse i Bechtel powinny działać jako konsorcjum, by nie była potrzebna zgoda instytucji unijnych na tę inwestycję. A one chcą działać osobno.

W każdym razie projekt atomowy był ważnym punktem w agendzie

Polska zamierza wybrać oferenta bez przetargu. A to może być sprzeczne z prawem Unii, które przewiduje, że tryb bezprzetargowy w inwestycji tej skali co krajowy program atomowy jest możliwy pod ściśle określonymi warunkami.

Inne lobby w rządzie – proamerykańskie – twierdzi, że to strachy na lachy i żadnej blokady nie będzie. To samo twierdzi strona amerykańska. Kluczowe negocjacje – według moich rozmówców – będą dotyczyć tego, kto w jakim stopniu sfinansuje projekt atomowy. Wygląda na to, że strona polska najpierw zgodziła się na współpracę z Westinghouse, a potem zaczęła myśleć o szczegółach, np. na ile amerykańskie firmy będą partycypować w – niemałych – kosztach. Z nieoficjalnych informacji wynika, że

Gościnna Gruzja

Gruzja to tysiącletnia historia, górskie krajobrazy, stare klasztory, znakomita kuchnia, cenione wino i urokliwe Tbilisi.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Tbilisi. Dz. 2 Przyjazd do Tbilisi w Gruzji. Zwiedzanie miasta – w programie stare miasto, tażnie, twierdza Narikala i Aleja Rustawelego. Dz. 3 Tbilisi – Dawit Garedża – Tbilisi. Wykuty w skale zespół klasztorny Dawit Garedża, położony na granicy z Azerbejdżanem. Dz. 4 Tbilisi – Gori – Uplisciche – Mccheta – Tbilisi. Miasto Stalina- Gori, starożytne skalne miasto Uplisciche, monastyr Dźwari (UNESCO) i katedra Sweti Cchoweli. Dz. 5 Tbilisi – Gremi – Kwareli – Tbilisi. Warownia Gremi, degustacja wina i tradycyjny posiłek w gruzińskiej wiosce. Dz. 6 Tbilisi – czas wolny lub wycieczka do Kazbegi (dodatkowo płatna). Dz. 7 Wylot z Tbilisi do Warszawy.

Wylot z Warszawy 29/09 2023

Zeskanuj kod QR i sprawdź cenę!





Albatros travel



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: CW16

Fotki z ważnymi ludźmi

„Justin, dopóki ja jestem prezydentem...” Skoro nie da się w kraju, Andrzej Duda usiłuje wybić się na niepodległość za granicą

Wroński

Dziesięć dni po ataku Rosji na Ukrainę Andrzej Duda zorganizował nieoficjalne spotkanie z dziennikarzami. Poinformował, że zadzwonił do niego premier Kanady – państwa, które wraz z Polską pierwsze uznało niepodległość Ukrainy – i zapytał, czy Polska zamknie granice dla uchodźców. Prezydent zrozumiał, że za oceanem obawiają się, że wobec Ukraińców możemy zachowywać się tak, jak wobec uchodźców na granicy polsko-białoruskiej. „Powiedziałem mu: Justin, dopóki ja jestem prezydentem, granice zostaną otwarte i będziemy pomagać Ukrainie”.

Zapewne w historycznych opracowaniach Andrzej Duda będzie wskazywany jako przywódca, który w chwili niepewności w sposób najbardziej zdecydowany opowiedział się za jednoznacznym poparciem Ukrainy. Ta wojna, jak każda wojna, zmieniała wszystko i pozwoliła prezydentowi wybić się na polityczną niepodległość. Po raz pierwszy został w Europie dostrzeżony jako polski polityk, który cokolwiek może.

Do tej pory bowiem był traktowany jako wykonawca partyjnych poleceń. On sam dostrzegł, że w drugiej kadencji nadeszła dla niego szansa, by być tym, który odmieni fatum historii w relacjach między Warszawą i Kijowem, które od 400 lat „zatruiło krew po-bratymczą”.

Dostrzegł też, że nadszedł dla niego czas, by rywalizować z Aleksandrem Kwaśniewskim, który nie tylko jak on wygrał drugą kadencję, ale też wprowadził Polskę do NATO i UE. Prezydent słynie z gaf i dziwacznych min, ale jest również niewiarygodnie ambitny.

Według artykułu 126 konstytucji prezydent jest najwyższym przedstawicielem RP i gwarantem ciągłości władzy państwowej. Z tego tytułu sprawuje wyjątkową rolę w polityce zagranicznej. Po okresie „sporu o krzesło” – kto ma reprezentować Polskę na posiedzeniach Rady Europejskiej – między prezydentem Lechem Kaczyńskim a premierem Donaldem Tuskiem ustalono, że prezydent jako zwierzchnik sił zbrojnych koordynuje politykę bezpieczeństwa w relacjach z NATO oraz z państwami o ustrojach prezydenckich.

Tę zasadę z czasów kohabitacji Kaczyński – Tusk PiS zachował. Po części z racji tego, że Jarosław Kaczyński nigdy nie uważał polityki zagranicznej za coś ważnego. PiS głosił dumne hasła: „wstania z kolan”, „zerwania z polityką uległości wobec Berlina i Brukseli”, zastąpienia osi: Warszawa – Berlin – Paryż, czyli Trójkąta Weimarskiego, Grupą Wyszehradzką, ogłaszał kolejne wizje, ale w gruncie rzeczy uważał politykę zagraniczną za element polityki wewnętrznej. Miała spełniać głównie funkcje propagandowe. Kaczyński nie zna i nie rozumie świata, a do załagodzenia zadrzańień z Unią wynajął premiera Morawieckiego.

W PiS istniało nawet przekonanie, że to prezydent powinien zająć się zagranicą, bo po pierwsze: „będzie miał się czym zająć”, po drugie: „pojeździ sobie po świecie”. Duda te założenia wykonywał. Jeździł więc od Kanady po Pekin, odbywając ceremonialne rozmowy przymykane folklorystycznymi spotkaniami z Polonią. Gdy postanowił zagrać

o coś więcej, błyskawicznie PiS wskazywało mu miejsce w szeregu.

Tak jak w lipcu 2016 roku, gdy był gospodarzem szczytu NATO w Warszawie. Zaraz po jego zakończeniu historyczne wydarzenie podsumował prezes Kaczyński. Konferencję prasową rozpoczął od długich i kwiecistych podziękowań dla faktycznego autora sukcesu Antoniego Macierewicza, wymienił szefa MSZ Witolda Waszczykowskiego. Wspomnił coś jeszcze o ówczesnym szefie MSWiA Mariuszu Błaszczaku. O prezydencie... zapomniał.

A mimo to Duda, gdy niedługo później miał szansę powstrzymać akt prawny, który niszczył pozycję Polski – podpisał go i skierował jedynie niektóre zapisy do Trybunału Konstytucyjnego. Przygotowana przez Patryka Jakiego i Pawła Kukiza nowelizacja ustawy o IPN, która miała bronić dobrego imienia narodu polskiego, konfliktowała Polskę z Izraelem, Stanami Zjednoczonymi, Ukrainą i Kanadą i wyglądała jak bomba atomowa rosyjskiej wojny hybrydowej – ale prezydent zrobił to, czego chciała partia.

Prezydent wiedział, że prawdziwa polityka zagraniczna jest gdzie indziej. Współtworzył Bukareszteńską Dziewiątkę – której początkiem była polsko-rumuńska inicjatywa prezydentów Bronisława Komorowskiego i Klausa Iohannisa. Spotkania, które miały wypracować wspólne stanowisko wobec wojny w Donbasie, określiły tzw. wschodnią flankę NATO. Oczkiem w głowie była inicjatywa Trójmorza – współpracy energetycznej i infrastrukturalnej krajów Europy Środkowej utworzona wspólnie z premier Chorwacji Kolindą Grabar-Kitarović w Dubrowniku w 2016 roku. Tę inicjatywę wsparł podczas wizyty w Warszawie Trump – traktując ją jako przeciwwagę dla Niemiec i Francji w UE. Duda pojawiał się też na każdym posiedzeniu Grupy Arraiolos – zainicjowanym przez premiera Portugalii spotkaniu dyskusyjnym omawiającym przyszłość świata i Unii. Wizytował Davos i konferencję monachijską.

Współpraca z Grupą Wyszehradzką od początku napotykała kłopoty ze względu na rozbieżne interesy. Szybko okazało się, że Czechom jest bliżej do Austrii i Niemiec niżli do skonfliktowanych z całą Europą Polski i Węgier. Sprawę dodatkowo skomplikował spór polsko-czeski o kopalnię w Turowie. Ostatecznym pogrzebem okazała się wojna – Węgry Orbána wykazały zaskakujące zrozumienie dla Putina.

Duda szczególnie czatował na zdjęciu, zwłaszcza na te z najważniejszymi politykami świata, w tym prezydentem Stanów Zjednoczonych, zdając sobie sprawę, że w ten sposób może przekonać swój elektorat, że jest przywódcą szanowanym, a Polska z racji kłopotów z praworządnością nie jest izolowana na dyplomatycznych salonach. Warto przy tym przypomnieć, że starał się unikać zadrzańień z Niemcami i Francją, z którymi nieustannie wojował PiS. Podczas rozmowy z prezydentem Joachimem Gauckiem przekonywał, że nie jest antyniemiecki, bo ma żonę germanistkę. W 2019 roku, gdy okazało się, że wbrew zapowiedziom do Polski na 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej nie przyjedzie Trump, uro-

czystość uratował pięknym przemówieniem w Wieluniu prezydent Frank-Walter Steinmeier.

Bardziej istotną, niż się wydaje, rolę w polityce Dudy odgrywają Chiny, z którymi prezydent nadal chce rozwinąć ideę Jedwabnego Szlaku i dba o relacje z Xi Jinpingiem, z którym podpisał porozumienie o strategicznym wszechstronnym partnerstwie. Prezydent uważa, że po wojnie z Ukrainą i okresie napięć z USA relacje z Chinami się unormują, a Polska będzie kluczowym partnerem Pekinu w Europie.

Jego niewątpliwymi sukcesami były wybór Polski jako niestałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ, a także relacje z prezydentem Trumpem.

Kampania wyboru Polski jako członka Rady Bezpieczeństwa rozpoczęła się jeszcze za Bronisława Komorowskiego, ale szef MSZ Witold Waszczykowski, który nie miał dobrej opinii o ONZ, nie traktował jej poważnie, zwłaszcza że nasz kraj pełnił już tę funkcję pięciokrotnie. Z MSZ jako członek „jaczajki Sikorskiego” odszedł ambasador przy ONZ Bogusław Winid, doświadczony dyplomata mający dobre relacje z USA. Duda zaangażował Winidę jako swoje-

Dzięki wojnie po raz pierwszy został w Europie dostrzeżony jako polski polityk, który cokolwiek może

go doradcę i przekonał, że fotel niestałego członka Rady to źródło prestiżu kraju. Wybór Polski w 2018 roku na dwuletnią kadencję przez 190 ze 192 krajów został przedstawiony jako wielki sukces naszej dyplomacji. Winid jako jeden z nielicznych dyplomatów wyższej rangi pomagał następnie ministrowi Zbigniewowi Rau w prowadzeniu prezydencji OBWE.

Wygrana Trumpa w USA, przedstawiciela amerykańskiej alterprawy, otworzyła dla wyznającego podobne wartości Dudy zupełnie nowe perspektywy. Nowy prezydent znalazł w Europie państwo, w którym jest lubiany, i niemal do końca kadencji wspominał wystąpienie z 2017 roku na placu Krasieńskich jako swoje szczytowe osiągnięcie.

Osobista przyjaźń między Dudą a Trumpem nie przełożyła się na oczekiwaną budowę Fortu Trump – stałej bazy amerykańskiej na terenie naszego kraju. Jednak USA zwiększyły kontyngent w Polsce, wprowadzony decyzją Obamy po ataku Rosji na Donbas w 2014 roku. W Poznaniu ustanowiono wysunięte dowództwo V Korpusu Sił Zbrojnych USA.

Gorzej, że fascynacja Trumpem sprawiła, że prezydent długo nie przyznał do wiadomości, że ów mógł przegrać wybory z Joem Bidenem. Gratulacje z tytułu „udanej kampanii” przejdą do historii dyplomatycznych wpadek.

Nie jest prawdą, że zaognione relacje z Waszyngtonem związane z ustawą „lex TVN”, która była próbą wywłaszczenia amerykańskiej stacji, Duda rozwiązał jednym śmiałym ruchem – wetem.

Sprawa była bardziej skomplikowana. Przełom w relacjach polsko-amerykańskich przed wojną z Ukrainą poprzedzało spotkanie ministra obrony Mariusza Błaszczaka, o którym Amerykanie wiedzieli, że jest najbliższym politykiem Kaczyńskiego, z sekretarzem obrony Lloydem Austinem. Amerykański generał podczas spotkania w cztery oczy wyrecytował polskiemu ministrowi warunki przywrócenia dobrych relacji. Należały do nich zablokowanie „lex TVN” i odblokowanie stanowiska ambasadora dla Marka Brzezinskiego, którego nominacja była zawieszona z powodu jego jakoby polskiego obywatelstwa.

Prezydent Biden potrafi być miły dla rozmówców, ale między nim a Dudą nie ma zbyt dużej chemii. Stany wydają się stawiać nie na Dudę, ale na Polskę jako ważny kraj na wschodniej flance NATO, militarny hub wspierający walczącą Ukrainę.

Prezydent zebrał chwałę jako polityk, który wetując ustawę, postawił się PiS, a ambasador Brzezinski po głębszych studiach polskiego MSZ okazał się obywatelem czeskim. Wedle niepotwierdzonych informacji Brzezinski zobowiązał się, że nie będzie nadmiernie aktywny w sprawach dotyczących przestrzegania praworządności w Polsce.

Problemem Dudy w relacjach z USA jest fakt, że w ostatnim czasie zawłaszcza je Błaszczak, który bardzo dobrze nauczył się angielskiego i operuje nim sprawniej niż prezydent, świetnie rozumie się z przedstawicielami amerykańskiego przemysłu obronnego i, co najważniejsze, kupuje jego produkty za pieniądze z budżetu RP, którym prezydent nie dysponuje.

Wśród pałacowych plotek pojawiają się ostatnio informacje, że poparcie USA zagwarantuje ledwie 51-letniemu obecnie prezydentowi karierę po zakończeniu kadencji. Mogłoby to być stanowisko sekretarza generalnego ONZ. Formalnie wyższe niż to, które pełnił Tusk – czyli przewodniczącego Rady Europejskiej. Rzeczywiście, druga kadencja António Guterresa kończy się w 2026 roku, rok po odejściu Dudy z Pałacu Prezydenckiego.

Tyle że to zamek budowany na piasku. Stanowisko sekretarza generalnego jest proponowane przez Radę Bezpieczeństwa i rzadko zdarza się, by był to ktoś, przeciwko któremu jest jego stały członek – a Rosja raczej Dudy nie poprze. Poza tym zwykle panuje zasada geograficznej rotacji, tak aby tej funkcji nie sprawował przedstawiciel jednego kontynentu, a Guterres pochodzi z Portugalii. Pytaniem jest także, czy Biden wystartuje i czy będzie prezydentem po wyborach 2024 roku.

Duda może zaś odgrywać niezwykle ważną rolę po jesieni 2023 roku. Jeśli PiS wygra wybory, będzie wspierać jego międzynarodowe aspiracje. Jeśli jednak przegra, Kancelaria Prezydenta może być redutą oporu blokującą zmiany i chroniącą nominatów PiS przed odwołaniem. Wtedy Andrzej Duda ma szansę zostać nowym przywódcą „obozu patriotycznego” lub czegośkolwiek, co się wyłoni z PiS. To dla niego pewniejsza szansa na zapisanie się w historii. ●

Paweł Wroński

1 RP

PRZESTRZEGANO MNIE PRZED FRUSTRACJĄ

FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA GAZETA



Jarosław Kaczyński jest człowiekiem złym, ale nie głupim – musi wiedzieć, że Polki za granicą chcą mieć dzieci

Z **AGNIESZKĄ DZIEMIANOWICZ-BAK**, POSŁANKĄ SLD, ROZMAWIA **AGATA CAŁKOWSKA**

Kto dał pani pewność, która pozwoliła pani wejść do polityki w sytuacji, gdy kobiety przygotowywane są do innych ról?
– Kobiety w mojej rodzinie zawsze cechowały pewność i siła. Zacznę od babci, która przez całe swoje życie odważnie mówiła to, co myśli, robiła to, co uważała za słuszne, i była z tego dumna. Dziś, pomimo dojrzałego wieku i sporych problemów ze wzrokiem, najbardziej ceni sobie niezależność i samodzielność, to, że mieszka sama, a wsparcie rodziny przyjmuje tylko wtedy, kiedy chce. Moi rodzice rozwiedli się kiedy byłam mała, ale już wtedy mama traktowała mnie po partnersku, a kiedy związała się ze swoim drugim mężem – dla mnie tym prawdziwym tatą – to także brała pod uwagę moje dziecięce zdanie. Dom, w którym się wychowałam, był domem otwartym, obserwowałam koleżanki, przyjaciółki mamy, które również były niezależne, różnorodne, wolne.

A mama nie przestrzegała pani przed wejściem do brutalnego świata polityki?

– Nie, jeśli już ktoś, to raczej babcia regularnie się denerwuje. Ale także mnie wspiera – pomagała mi w kampanii do Sejmu, wystąpiła nawet w spocie wyborczym i na jednym z plakatów.

Rodzice nie mieli też lęków, może dlatego, że moje wchodzenie w świat polityki było stopniowe: najpierw aktywizm w czasach studenckich – czy to na rzecz bezpłatnych studiów, czy praw kobiet – a z drugiej strony ścieżka akademicka, gdzie polityką zajmowałam się bardziej teoretycznie – czy to filozofią polityczną, czy polityką oświatową.

Weszła pani w politykę, do Sejmu. Co panią najbardziej zaskoczyło?

– Przestrzegano mnie przed frustracją, gdy kolejne poprawki będą odrzucane, ustawy wkładane do sejmowej zamrażarki, nie miałam złudzeń co do natychmiastowej sprawczości.

A gdzie opozycja może być skuteczna?

– To interwencje, kontrole poselskie, immunitet, który przydaje się podczas ulicznych demonstracji. W trakcie „tęczowej nocy” na Krakowskim Przedmieściu udało się dzięki temu ustalić, dokąd policja powywoziła zatrzymane dzieciaki i przechodniów.

Trzy lata temu, na początku pandemii, powołałam pomoc pracowniczą. Reagowaliśmy na zgłoszenia od związków zawodowych i pracowników o zmianach, które pod pretekstem pandemii wprowadzali pracodawcy – obcinali wynagrodzenia, wysyłali na bezpłatne urlopy. Czasami dotyczyło to przedsiębiorstw, które faktycznie borykały się z problemami, ale były też takie, które otrzymywały pomoc publiczną i zyski im wcale nie spadały, np. w wielkopolskim Solarisie firma chciała zwolnić pracownika, gdy za długo chorował w pandemii. Udało się odwieść ją od tego zamiaru.

Weszła pani do Sejmu w 2020 roku z listy SLD, z ostatniego miejsca. Koledzy nie wierzyli w kobiety?

– To nie prestiżowe miejsce, ale i nie najgorsze. Dobrze, gdyby listy były konstruowane parytetowo i różnorodnie w kontekście i płci, i wieku, i doświadczenia zawodowego. Nasze były takie, choćby z uwagi na połączenie trzech pokoleń, trzech lewicowych partii, ale można podchodzić do tego jeszcze bardziej świadomie w przyszłości. Na pewno trzeba dopuścić do startu wię-

cej młodych ludzi, bo czują takie wyzwania jak np. kryzys klimatyczny, mają swój bagaż doświadczeń odmienny od polityków średniego czy starszego pokolenia.

A pani багаż?

– Moja pierwsza praca skończyła się w sądzie, bo nie otrzymywałam zapisanego w umowie o pracę wynagrodzenia. Państwowa Inspekcja Pracy okazała się bezradna, a szef, kiedy upomniałam się o zaległą pensję, zaproponował mi wolontariat. Młodzi ludzie częściej wiedzą, jak założyć biznes, niż jak założyć związek zawodowy, a przecież większość z nich będzie pracownikami, a nie przedsiębiorcami.

Chce pani młodych, ale szefem sztabu wyborczego Lewicy został Włodzimierz Czarzasty, symbol wymieniania się stołkami, a już na pewno trudno go nazwać młodym pokoleniem.

– Kampania wyborcza, szczególnie parlamentarna, to sport drużynowy, a nie wyścig jednego człowieka – to raz. Dwa – potrzebujemy na czele osoby, która cieszy się autorytetem w koalicyjnych partiach Lewicy. Włodzimierz Czarzasty jest dobrym organizatorem, a to ważne w kampanii.

A ci młodzi, mam wrażenie, to raczej też wam wizerunkowo nie pomagają. Ustawiają waszą narrację w mediach społecznościowych, a tam – delikatnie mówiąc – wychodzi to słabo. Wasza młodzieżówka potrafi np. wychwalać Bieruta.

– Mnie ten wpis także zszokował, czego ani przez moment nie ukrywałam. Wiem, że w samej organizacji młodych były o to spory, i jasne, że takie komunikaty niosą za sobą koszty wizerunkowe, ale to nie był komunikat z profilu partii czy klubu.

Chwila, przecież młodzieżówka to część partii, ta przyszłość, na którą chce pani stawiać. Pani zajmuje się edukacją, a tam chyba z nią słabo.

– Mają prawo do błędów, ja mam prawo do ich wytknięcia, co nie zmienia faktu, że cenię pracę lewicowych młodzieżówek, choćby przygotowany przez nich raport dotyczący stanu edukacji, z którego także korzystam.

No dobra, jeszcze raz. Bieruta, który odpowiada za mordy stalinizmu, uznali za autorytet. Mały błąd? Poważnie?

– Poważny. Ten komunikat szybko został usunięty przez samą młodzieżówkę, bo wygrało stanowisko oparte na faktach historycznych co do oceny tej postaci. Jednak nie jestem zwolenniczką zamykania młodym ust i ścinania im głów za błędy. Wyciągnięto wnioski, i dobrze.

Młoda lewica skupia się, można odnieść takie wrażenie na podstawie wpisów na mediach społecznościowych, na postulatach obyczajowych, a nie socjalnych. Czy to pomaga, czy przeszkadza w sondażach?

– To nie jest prawdziwa teza, widzę także ich zaangażowanie w sprawach socjalnych, pojawiają się na wszystkich pikietach popierających strajki i protesty pracownicze. To dla nich ważne, bo wkraczają na rynek pracy i są grupą szczególnie narażoną na wyzysk, łamanie praw i coraz częściej się na to nie zgadzają. Podnoszą kwestie mieszkaniowe, hasło ruchów lokatorskich: „Mieszkanie prawem, nie towarem”. A postulaty dotyczące praw człowieka mają w swoim DNA – i bardzo dobrze, że ich nie ukrywają, są z nich dumni, a ja tę dumę podzielam.

Macie spójną politykę w social mediach czy młodzi swoje, a wy swoje?

– Tam, gdzie mamy odmienne zdanie, rozmawiamy. Skoro uważamy demokrację za wartość i jesteśmy demokratyczną lewicą, to solą demokracji są różnice zdań – one nie są duże, bo jednak wszyscy dzielimy wspólne dla lewicy wartości.

Zacytuję wpis Anny Marii Żukowskiej o młodym wokaliście Jannie, który

wystąpił w eliminacjach na Eurowizję: „Podobno mieszkał w UK, ale dykcja w angielskim jest na poziomie pracownicy PKP pochłaniającej kluski śląskie dla akcentu z filmu Barei”. Dlatego pytam, czy macie wspólny przekaz? Bo dostało jej się też od młodych z Lewicy.

– Mamy uwspólniony przekaz dotyczący programu, kwestii zasadniczych, ale nie indywidualnych wpisów na mediach społecznościowych.

To może o wyborach. CBOS opublikował w styczniu sondaż. Gdyby wtedy odbyły się wybory parlamentarne, to PiS uzyskałby 32 proc., KO – 22 proc., Polska 2050 Szymona Hołowni oraz Konfederacja po 7 proc. Pozostałe ugrupowania, w tym wasze, znalazłyby się poniżej progu 5 proc. I to raczej się od stycznia nie zmieniło. Niepokoić się?

– To akurat wybitnie prorządowa sondażownia, nieprzychylna ani opozycji jako takiej, ani lewicy. Patrzymy na średnie różnych sondaży i one pokazują, że na ten moment mamy w okolicach 9-10 proc., czasem więcej.

Przyglądamy się tym badaniom, przyglądamy się analizom ekspertów, którzy sięgają po średnie sondażowe z kolejnych miesięcy. Tendencje mówią więcej niż pojedynczy wynik. I one są dla Lewicy korzystne, choć oczywiście mamy ambicję powalczyć o więcej. Był moment w czasie kadencji, kiedy rzeczywiście poparcie nam spadło, ale jest już za nami. Powodem były spory wewnętrzne, bo wyborcy nie lubią, jak politycy zajmują się sobą. Szczęśliwie zostały zażegnane i dziś lewica się konsoliduje, do Nowej Lewicy i Razem dołączają PPS i Unia Pracy, a wkrótce kolejne lewicowe środowiska.

A może powodem spadku poparcia był brak klarownego programu?

– Nasz program jest bardzo jasny. Bezpieczna rodzina, czyli budowa mieszkań pod wynajem, wzrost minimum o 20 proc. wynagrodzeń dla budżetówki, druga waloryzacja emerytur i renta wdowia, leki za 5 zł, sprawne usługi publiczne, w tym bliska mi edukacja i szkoła, która nie tylko uczy, ale też otacza opieką, zapewniając ciepły posiłek dla uczniów.

A jaka jest oferta socjalna dla najmniej zarabiających?

– Przede wszystkim zachowanie wszystkich dotychczasowych świadczeń socjalnych, ale też nowe rozwiązania, np. bon AGD, czyli jednorazowe świadczenie, które pozwoliłoby wymienić sprzęt na energooszczędny.

Dla samotnych matek?

– Alimenty ściągane jak podatki. Żeby nie można się było uchylać, chować i kalkułowac. Mamy także propozycję dla kobiet, które są opiekunkami osób z niepełnosprawnościami i które powinny mieć prawo do pracy. Posłanka Katarzyna Kotuła zgłosiła odpowiednią ustawę umożliwiającą podejmowanie pracy zarobkowej rodzicom i opiekunom osób z niepełnosprawnościami więcej niż rok temu. Nadal czeka na procedowanie.

Dla emancypacji kobiet w małych miastowościach?

– Weźmy prawo do legalnej aborcji. Kobiety żyjące poza dużymi miastami jeszcze bardziej doświadczają konsekwencji niemal całkowitego zakazu aborcji. Do formalnego zakazu dochodzą wykluczenie komunikacyjne i niższe zarobki, wyjazd za granicę, żeby tam przerwać ciążę, nie zawsze jest opcją. Są województwa, w których nie funkcjonują szpitale bez klauzuli sumienia i dostęp do gabinetów ginekologicznych jest ograniczony. Pod wieloma względami ta świadomość potrzebnych zmian jest nawet wyższa, bo bardziej odczuwalna na wsi niż w mieście.

Walka z drożyzną?

Gdy weszłam na mównicę, by powiedzieć o samobójstwach młodych, to usłyszałam rechot po stronie PiS

– Obecnie podstawą powinny być środki z KPO, których sprowadzenie i zainwestowanie pomogłyby walczyć z bardzo wysoką inflacją. Potrzebne są także programy osłowne dla seniorów, rodziców czy osób najuboższych.

Mieszkania wobec drożyzny na rynku budowlanym i spadku zdolności kredytowej?

– Podstawowa sprawa to konieczna zmiana paradygmatu myślenia o polityce mieszkaniowej. Minione rządy realizowały filozofię dosypywania pieniędzy bankom i deweloperom, a wszystkie dopłaty do wkładu własnego kończą się tym, że są bardzo szybko konsumowane przez wzrost cen mieszkań czy kredytów. To ciągle napędzanie bańki. Chcemy budować mieszkania na wynajem dla tych obywateli, którzy albo nie chcą kupować mieszkań na własność, albo nie stać ich na kredyt i potrzebują czasu, żeby odłożyć pieniądze na wkład własny. Wielu młodych ludzi, którzy dziś mieszkają z rodzicami, chętnie skorzystałoby z możliwości najmu, gdyby nie był tak horrendalnie drogi. Musi powstać państwowy deweloper – państwowa agencja mieszkaniowa – i wspólnie z samorządami budować te mieszkania.

A problem z odpływem lekarzy za granicę?

– Na pewno nie okrzyki: „Niech jadą!”. Konieczne jest zapewnienie godnych pensji rezydentom, młodym lekarzom, pielęgniarkom, ale brakuje też personelu szpitalnego, w tym niemedycznego. Tutaj potrzeba bardzo szerokich działań, które obejmą całość warunków pracy w tym sektorze.

Oferta na podniesienie dzietności...

– Nie urodzi się więcej dzieci, jeśli państwo nie zapewni matkom bezpieczeństwa. Oprócz dostępnych mieszkań w okolicy musi być także dobrze skomunikowane z resztą miasta. Kobiety muszą być pewne dobrej opieki ginekologicznej, tego, że nic im nie grozi. Dziś klauzula sumienia skutecznie zniechęca młode kobiety w Polsce do myślenia o macierzyństwie. Jest problem z dostępnością do badań prenatalnych i muszą wrócić programy pomocowe dla młodych ludzi borykających się z problemem niepłodności.

Mówicie też o tym w terenie?

Co oznacza hasło „bezpieczna rodzina”?

– To, że rodzina ma być bezpieczna od dziecka do seniora. Każda, i ta tradycyjna, wielodzietna, z rodzicami po ślubie, i ta, w której dziecko wychowuje samodzielny rodzic, i ta, która jest związkiem partnerskim, czasem osób tej samej płci. Bo na bezpieczeństwo zasługuje każdy. To wspomniane już posiłki w szkołach, dostępność mieszkań pod wynajem, wzrost pensji dla budżetówki minimum o 20 proc., podwój-

na waloryzacja emerytur w ciągu roku, renta wdowia, leki za 5 zł.

Renta wdowia to ukłon w stronę wyborców PiS?

– Tak, bo się na wyborców PiS nie obrażamy. Walczymy z PiS, a nie z ich elektoratem. Renta wdowia jest skierowana do osób starszych, ale jej wprowadzenie poprawi sytuację całych rodzin, bo dziś często dzieci pomagają finansowo samotnej mamie czy ojcu.

No dobrze, ale PiS zgarnął w zasadzie wszystkie socjalne pule i jest w tym bardziej lewicowy niż wszystkie polskie lewice razem wzięte. Sądzi pani, że wasze pomysły pomogą w tej walce?

– Nasze pomysły już dziś pomogłyby polskim rodzinom, emerytom, pracownikom, gdyby PiS tych pomysłów nie torpedował.

Na przykład?

– Od roku czeka w Sejmie ustawa, którą złożyłam wspólnie z Maciejem Koniecznym, a która urealnia ochronę pracowników będących działaczami związkowymi. Pozwoliłaby każdemu zwolnionemu i formalnie chronionemu związkowcowi zwrócić się do sądu o zastosowanie środka zabezpieczającego i do czasu zakończenia procesu sądowego musiałby być zatrudniony. Chodzi o odwrócenie procedury, żeby koszt przewlekłości spraw w sądach pracy był przerzucony na pracodawcę, który chce, często bezprawnie, zwolnić niewygodnego związkowca. Wtedy może taki Kaufland by się zastanowił, czy faktycznie za działalność związkową chce zwolnić bezprawnie Jolantę Żołnierczyk. Ta działaczka związkowa ujawniła dyskryminację płacową matek, PIP wydał opinię, że w Kauflandzie dochodzi do dyskryminacji kobiet, i zalecił zmianę, a Kaufland zwolnił wiceprzewodniczącą związków zawodowych i społecznego inspektora pracy, więc osobę podwójnie chronioną ustawowo. I żadna instytucja państwowa nie pomogła jej ochronić. Panią Jolę czeka przewlekły proces, a takim ruchem wywołuje się efekt mrożący na inne kobiety z tej firmy.

Deklaracje po złożeniu naszej ustawy były piękne ze wszystkich stron krajobrazu politycznego, a ustawa jak czekała, tak czeka na procedowanie.

Transfery socjalne mogły być dla wielu wyborców atrakcyjne, i jest to dla mnie zrozumiałe, ale one się wyczerpały. To nie może być tak, że się daje 500 zł i mówi: teraz człowieku radź sobie sam za te 500 zł. To działanie pozorowane. 500 plus przestaje wystarczać, tak samo jest w przypadku emerytur, bo co z tego, że jest 13. i 14. emerytura, kiedy 11. i 12. zjadła inflacja? Seniorzy, jak wynika z badań, woliliby dwie waloryzacje w roku. Chcielibyśmy już w 2022 roku wprowadzić drugą waloryzację emerytur, to pozwoliłoby seniorom planować wydatki, a nie być zdanym na łaskę jakiegoś prezesa, czy da trzynastkę, czy nie.

Chcecie jeszcze wstrzymania finansowania religii w szkołach. Jak przekonać wyborców np. regionu wschodniej Polski, gdzie jest duże przywiązanie do Kościoła, i czy w ogóle chcecie walczyć o tamte regiony?

– Coraz mniej młodych wybiera religię w szkołach i nie jest tu potrzebna szczególna kampania. Religia jeszcze nie wyszła ze szkół, ale młodzi już wyszli z lekcji religii. To, co się wydarzyło niedawno na Podlasiu ze zgwałconą dziewczyną z niepełnosprawnością, której żaden lekarz nie chciał tam pomóc w dostępie do legalnej aborcji, to – jak sądzę – oddziałuje również na najbardziej konserwatywne rodziny. Wystarczy zatem pokazywać rzeczywistość.

Zagłosowaliście ostatnio z PiS nad ustawą o Krajowym Planie Odbudowy. To też się wam odbiło czkawką. Co chcieliście osiągnąć?

– Głosowaliśmy wspólnie z PSL i Polską 2050, Platforma się wstrzymała, choć póź-

niej Donald Tusk przyznał, że powinna była być za. Nie wyobrażam sobie, że moglibyśmy nie poprzeć głosowania za pieniędzmi na odbudowę Polski i Europy po pandemii. Odwracanie się od takich pieniędzy przez konflikty wewnętrzne, bieżącą politykę byłoby według nas sprzeczne z polską racją stanu.

To samo powie pani o głosowaniu nad ustawą o Sądzie Najwyższym? Lewica wstrzymała się od głosu.
– Wspólnie z Koalicją Obywatelską i PSL, bo jeśli jest chociaż cień szansy, że ta ustawa przyspieszyłaby odblokowanie środków unijnych, to nie należało jej blokować.

A na pytanie, z kim może rządzić po wyborach, PiS odpowiada: „Mamy poprawne stosunki towarzyskie ze starą lewicą”. To możliwe?
– Nie. To niemożliwe, nie ma na to szans. To ewidentna prowokacja ze strony marszałka Ryszarda Terleckiego. Chciał coś wrzucić, żeby było komentowane, ale w imieniu własnym i Lewicy mówię: to niemożliwe.

Donald Tusk wzywa do jedności opozycji. Posłuchacie go?
– Jesteśmy otwarci na wszelkie możliwości, lecz szanujemy również zdanie reszty demokratycznej opozycji. Jeśli PSL nie chce jednej listy, to się nie obrażamy. Kiedy mówi to Hołownia, to także nie lamie nam serca. Z kolei Donald Tusk podkreśla, że jeśli nie wszyscy razem, to KO także idzie do wyborów samodzielnie. Wyciągamy logiczny wniosek, że jednej listy nie będzie.

Czyli własna?
– Jesteśmy na to gotowi. Nowa Lewica poszerzona o PPS, Unię Pracy, ruchy społeczne o konotacjach lewicowych, związki zawodowe.

Przed ostatnimi wyborami prezydenckimi na pomysł kandydowania Donalda Tuska zareagowała pani krytycznie. Co się zmieniło?
– Udało mu się swoją partię jakoś skonsolidować, ale i KO, i sam Tusk nadal stoją na pozycjach umiarkowanego konserwatyzmu, bo nawet kiedy zaczyna mówić o dystansowaniu się państwa od Kościoła, to uzasadnia to troską o Kościół, a nie o państwo, i zmartwieniem, że dużo ludzi z Kościoła odpływa. Tusk jest europejskim chadekiem. I to nie jest jakaś obelga, to opis. Uważam Tuska za sprawnego polityka, jestem daleka od symetrycznego zestawiania go z Kaczyńskim, który niszczy państwo, demokrację i odbiera ludziom ich podstawowe prawa i wolności. Jednak faktem jest, że od 30 lat polska polityka wygląda jak ten sam film dokumentalny, w którym występują Kaczyński i Tusk, a debata publiczna jest zogniskowana na sporach między nimi. Tymczasem te prawdziwe problemy, które najbardziej rozpalają młode pokolenie, to kwestie pracownicze, klimat, odblokowanie energetyki wiatrowej, decyzje o budowie elektrowni atomowej, które powinny zapaść co najmniej dekadę temu. Te nierozwiązane kryzysy, które dziś spadają na barki młodego pokolenia, upichcili Kaczyński i Tusk, dlatego jestem zwolenniczką zmiany, by polska polityka nie była postsolidarnościowym zjazdem tych samych prawicowych polityków, którzy wymieniają się stołkami.

Przeszedł projekt zmian w kodeksie wyborczym. To też nie pomoże ani wam, ani całej opozycji.
– Ułatwienia w nim zawarte, dla osób starszych czy z niepełnosprawnościami, nie są niczym złym kierunkowo, ale intencje PiS są jasne – foruje swój elektorat i dla niego szykuje ułatwienia. Bo ułatwień dla np. głosujących za granicą w tym projekcie nie ma, a wiadomo, że to często osoby, które wyjechały, bo były niezadowolone z tego, co się dzieje w kraju.

Komisja etyki poselskiej stwierdziła, że słowami: „Młode kobiety nie rodzą

dzieci, bo dają w szyję”, poseł Jarosław Kaczyński naraża na szwank dobre imię Sejmu. Panią jego słowa zaskoczyły?
– Skala bezczelności mnie trochę zaskoczyła, bo prezes PiS wie, że w Polsce jest zbyt mała dzietność nie dlatego, że kobiety „dają w szyję”, tylko dlatego, że Kaczyński, Morawiecki i Ziobro nie dają rady z jakąkolwiek polityką, która nakłaniałaby kobiety do zakładania rodziny. Kaczyński jest człowiekiem złym, ale nie głupim – musi wiedzieć, że kobiety, Polki, kiedy wyjadą za granicę, to wśród cudzoziemek prawie najczęściej decydują się na założenie rodziny i posiadanie dzieci. Polki nie chcą rodzić dzieci w Polsce, na tym polega problem.

Statystyki GUS mówią, że w ciągu 10 lat jedną grupą wiekową, której liczebność wzrosła, i to aż o 30,2 proc., są osoby w wieku poprodukcyjnym.
– A badania CBOS pokazują też, że o 10 proc. wzrosła liczba Polek, które deklarują, że nie chcą mieć dzieci. Ale powody są przecież różne. 45 proc. młodych Polaków dalej mieszka z rodzicami, bo nie ma szans na kredyt. Jak myśleć o założeniu rodziny, gdy brakuje żłobków, przedszkoli, w szkołach nauczycieli, a minister Czarnek ma, delikatnie mówiąc, inne priorytety.

Choćby „lex Czarnek”. Trudno w nim o nadzieję dla młodych.
– To polityczna indoktrynacja z dyrektorami obsadzonymi przez kuratorów, podwładnych ministra. Na szczęście ustawa została dwukrotnie zawetowana, bo to bat na każdego w dół tej hierarchii, a na końcu na uczniów. Szkoła musi budować wspólnotę otwartą na społeczność lokalną, organizacje społeczne i pozarządowe. To nie może być eksperymnt pana Czarńka i jego doradców, takich jak prof. Roszkowski.

Jeszcze przed tymi pomysłami Czarnek próbował w trakcie protestów kobiet wyciągać konsekwencje za zmianę awatara na symbol strajku, uczniowie i uczennice byli szykanowani, a kurator miał za zadanie sprawdzać, kto po lekcjach chodzi na protesty. To by się działo do potęgi, gdyby ta ustawa weszła w życie. Czarnek to cynik zorientowany na własne korzyści. Bez skrupowania sięga po publiczne pieniądze na „wilę plus”, żeby transferować je do zaprzyjaźnionych fundacji czy podmiotów związanych z jego drugim miejscem zatrudnienia, czyli Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. A o samej edukacji nie ma zielonego pojęcia.

Mijacie się na korytarzu, w komisji edukacji?
– Ależ jego jako posła na komisji edukacji nigdy nie było, a pojawił się dopiero, gdy został ministrem edukacji! I to raz, może dwa od tamtej pory. Nie mam żadnego osobistego stosunku do pana Czarńka, po prostu uważam go za bardzo złego i szkodliwego ministra edukacji. Jeśli kiedykolwiek osobiście mnie ruszają jego słowa, to wtedy, kiedy szczuje na młodych ludzi, kiedy ziele nienawiścią, np. gdy kilkukrotnie odmawiał człowieczeństwa osobom nieheteronormatywnym. Gdy po jego kolejnych obrzydliwych słowach o uczestnikach Marszu Równości weszłam na mównicę, żeby mu przypomnieć, jak wielu młodych ludzi z tego środowiska popełnia samobójstwa, popada w depresję, to mojej wypowiedzi towarzyszył rechot jego i jego kolegów. Jeśli to, że młodzi ludzie odbierają sobie życie, śmiesz posłanki i posłów PiS, to jasne jest, że nie ma szans na żaden dialog.

Mamy jeszcze demokrację?
– Nie w pełni, ale musimy uważać z językiem, bo jeśli dojdzie do jego eskalacji, to zabraknie nam narzędzi opisu rzeczywistości, gdy pojawi się ostrzejszy kurs. Dlatego mierzi mnie porównywanie Polski do Białorusi, bo nawet odrobinę znając środowisko tamtejszej opozycji, wiadomo, z czym muszą się mierzyć.

Czy kobiety w polityce się wspierają, czy raczej ze sobą rywalizują?
– Nie lubię tego oczekiwania, by kobiety tylko łagodziły relacje. Czemu kobietom odmawiać prawa do ambicji, rywalizacji? W polityce trzeba współpracować, ale także mieć ambicje. W sprawach strictly kobiecych nie wyobrażam sobie, żebyśmy nie współpracowały, wspieramy się, kiedy chodzi o zwiększenie udziału kobiet w partyjnych aktywnościach i polityce w ogóle, współpracujemy ponad partyjnymi podziałami w obronie praw kobiet. Jednak nie ma co udawać, że polityka w wydaniu kobiet jest wolna od rywalizacji, bo nie jest. Konkurujemy z innymi kobietami, z mężczyznami, bo to nieodłączna część polityki.

A doradza pani liderkom Strajku Kobiet wejście do polityki? Marta Lempart mogłaby być posłanką?
– Jego działaczki już dziś zasiadają w ławach poselskich, moją koleżanką z partii jest Katarzyna Kotula, która ze Strajku Kobiet się wywodzi, jest Monika Falej, aktywna w strukturach organizacji. Oczywiście, że wspieram taką ideę, chociaż wiem, że polityka parlamentarna to nie jest jedyna ścieżka. Są role dla aktywistek, dla działaczy pozarządowych czy dla związkowczyń. A jeśli są wśród nich dziewczyny, które chcą startować, to warto te chęci wspierać.

Co udało się wam zdziałać legislacyjnie dla kobiet?
– Przyjąć ustawę, o którą zabiegała przede wszystkim Anita Kucharska-Dziedzic – o natychmiastowej izolacji sprawcy przemocy. Utworzyłyśmy poselską sieć ratunkową dla kobiet wspólnie z Federacją na rzecz Kobiet i Ratowania Rodziny tak, by po tragediach śmierci kobiet, którym odmówiono aborcji, kolejne przyszłe matki w sytuacji zagrożenia mogły się z nami kontaktować. Interwenujemy w szpitalach i pomagamy potrzebującym takiego wsparcia. Staramy się dawać wsparcie ludziom na protestach, byliśmy obecne w komisariatach, pomagałyśmy zapewnić pomoc prawną uczestniczkom kobiecych demonstracji. Zebrałyśmy z organizacjami kobiecymi podpisy pod projektem „Legalna aborcja bez kompromisów”. W Sejmie odbyła się debata nad liberalizacją prawa aborcyjnego.

Co o walce politycznej mówi śmierć syna posłanki Magdaleny Filiks?
– Ta tragedia jest dla mnie niewyobrażalna i przede wszystkim należą się jej wyrazy głębokiego współczucia. Nie chcąc tej trage-

Wpis naszej
młodzieżówki
chwalący
Bieruta
też mnie
zszokował,
w samej
organizacji
młodych były
o to spory

dii upolityczniać, nie sposób jednak nie dostrzec, że zostały przekroczone granice, które powinny być bezwzględnie nienaruszalne.

Wyobraża sobie pani w tych okolicznościach rozmowy z dziennikarzami Radia Szczecin?
– Nie, nie wyobrażam sobie. A pociągnięciem do odpowiedzialności ludzi, którzy mogli przyczynić się do krzywdy dziecka, powinna się zająć przede wszystkim prokuratura. Naszą rolą jest doprowadzić do tego, żeby w Polsce była prokuratura, która nie będzie działać pod polityczne dyktando.

Jakie kroki powinna poczynić opozycja w tej sytuacji?
– Pytanie powinno brzmieć: co powinna zrobić klasa polityczna z władzą na czele. Powinna się opamiętać, skończyć z używaniem nienawiści. Czy tak się stanie? Wątpię.

A co będzie w takim razie z TVP i TVP Info, jeśli dojdziecie do władzy?
– Odpolitycznimy media publiczne, przywrócimy im standardy debaty, a nie propagandy. Kiedy okno jest brudne, to trzeba je umyć, a nie wybić. Dlatego jestem za odbudową mediów publicznych – w miejsce tu by propagandowej. Dla tych nowych mediów potrzebna jest jakaś forma kontroli obywatelskiej i parlamentarnej. Media muszą być różnorodne i transparentne na tyle, na ile jest to możliwe. Ale teraz w przypadku TVP nie rozmawiamy o stronniczości, tylko rzucanej prosto w oczy propagandzie, często opartej na nienawiści. TVP to tylko jedna z branż, którą trzeba będzie oczyścić, jak tę szybę. Jest ich więcej. Możemy się śmiać z memów na temat granatnika czy wysięgnika policji, ale jeśli komendant główny policji będzie żartem, to obywatel straci zaufanie także do dzielniczowego.

Sto lat temu zamordowano prezydenta Narutowicza, w Sejmie kilka tygodni temu odsłonięto tablicę pamiątkową. Słyszysz pani jakąś refleksję na ten temat?
– Niedawno była też rocznica zamordowania prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza i chociaż jest to wydarzenie mniej odległe czasowo, to i tak nie wszystkich skłania do refleksji. Dzień przed rocznicą śmierci Adamowicza minister Czarnek wszedł na mównicę sejmową, żeby poszczuć na europosłankę tylko dlatego, że ma niemieckie nazwisko. I ta nienawiść, która się sączy – czy to pod adresem kobiet, czy nauczycieli, czy społeczności LGBT – jest stałym elementem komunikacji PiS. Jest to szalenie niebezpieczne, bo może być zachętą do kolejnej przemocy.

Boi się pani eskalacji agresji Rosji w naszym kierunku?
– Oczywiście, że bliskość wojny, która dzieje się tuż obok, wzbudza także mój lęk. Jednak lęki związane z wojną należy rozumieć, a nie podsycać. Informacja o możliwym zagrożeniu jest lepsza niż brak wiedzy, bo to doskonała pożywka dla dezinformacji. A z tym jako państwo mamy problem i z tym, że media publiczne zostały doprowadzone do takiego stanu, że właściwie nikt im nie ufa, a to w sytuacji zagrożenia ogromna strata. Najbardziej obawiam się właśnie dezinformacji. Te same konta, które rozsiewały antyszczepionkowe treści o fałszywej pandemii, rozsiewają dziś rosyjską propagandę przeciwko Ukrainie. ●

PO PRAWDZIE

Opozycja się stara. O trzecią kadencję PiS

Tusk wyjeżdża i zostawia po sobie pustkę.

Agnieszka Kublik



Brak nadziei na odsunięcie Kaczyńskiego od władzy po dwóch tragicznych kadencjach to skutek. Skutek braku umiejętności walki o wyborców w opozycji.

Bo co dziś elektorat anty-PiS dostaje od swoich liderów? Naprawdę wiele złych wiadomości, co tam złych, fatalnych wprost. Za wiele, by się nie dać chęci machnięcia ręką na cały ten zgiełk partyjnych awantur. Czyli nie angażować się na żadnym etapie – od chodzenia na wiece, przez pracę w kampanii, aż po wrzucenie karty do urny.

Elektorat opozycji demokratycznej stanowi dziś większość tych, którzy chcą głosować, ale ma poczucie, że wszystko zmierza w coraz gorszym kierunku – Kaczyński będzie rządzić trzecią kadencję.

Historyczna chwila – bo to precedens, po 1989 roku żadna ekipa tak długo nie utrzymała się u władzy. I historyczna porażka – bo demokratyczna, liberalna większość nadal będzie znosić kajdany nacjonalistycznych katolików, którzy chcą się nazywać konserwatystami.

Liderzy opozycji już powiadomili elektorat, że się nie dogadają, bo mają różne zdania w sprawie Krajowego Planu Odbudowy, Sądu Najwyższego, aborcji, Jana Pawła II i... I na pewno jeszcze w wielu innych sprawach, co uniemożliwi nie tylko przedwyborcze sojusze, ale także powyborczą koalicję.

A przecież koalicyjne bloki z zasady oznaczają pluralizm, czyli akceptację różnic. Tymczasem dzieje się wszystko,

by utracić wszelką nadzieję na jakąkolwiek zgodę.

Na przykład to dopominanie się Hołowni od PO programu jest po prostu niemądre. Wyborca Tuska wie, czego Platforma chce w sprawie sądów, mediów publicznych, edukacji, służby zdrowia, finansów publicznych... Hołownia i jego elektorat też to wiedzą, więc chodzi tylko o atakowanie.

Dziś PL 2050 jest średnio blisko czterzy razy słabsza od KO. A przed powrotem Tuska do polskiej polityki latem 2021 r. partia Hołowni miała nawet 5 pkt przewagi. To widać, słysząc i czując – Hołownia jest autentycznie zazdrosny o to, jak radzi sobie Tusk.

Tymczasem PiS właśnie snuje nową wielką narrację – teraz będzie „bronić papieża Polaka przed atakami”. Czyli przed prawdą, ale co z tego, skoro ma ogromne umiejętności ubierania kłamstw w prawdę, ma ludzi gotowych do wszystkiego najgorszego, ma narzędzia o wielkim zasięgu. I ma zapal.

A opozycja nie ma żadnej odpowiedzi. Bo jak reaguje na partyjną paradę ze świętymi obrazkami z papieżem Polakiem? Jaką ma ripostę na beczelną próbę sprowadzenia kościelnej ochrony pedofilów i ignorowanie losu ich ofiar do „gry brudnymi esbeckimi teczkami”?

Tusk ma niewątpliwy talent wiecowy, ale organizacyjny już nie. Bo choć przemawia charyzmatycznie na spotkaniach z wyborcami, choć żadnych pytań się nie boi, to potem wyjeżdża i pozostawia po sobie pustkę. Ci ludzie zachęcani do walki o Polskę bez Kaczyńskiego nie mają jak, gdzie i komu swojej energii przekazać. Partia nie jest zainteresowana, by ten ich zapal wykorzystać – skrzyknąć kluby o chwytliwej nazwie (na przykład PBK, jak Polska bez Kaczyńskiego), zrobić w nich spotkania, zaprosić do rozwieszania billboardów, chodzenia z ulotkami... Tyle wielkich rzeczy w małych miastach można robić, jest tylu chętnych, ale musi być ktoś, kto to zaplanuje i przeprowadzi. KO ma 126 posłów. Ilu z nich skrzykuje w swoich okręgach wolontariuszy gotowych już teraz pracować przy kampanii?

W tych wyborach trzeba zawałczyć o każdy głos, ale PO to kompletnie lekceważy. Bo jak inaczej nazwać fakt, że partia nie chce skorzystać z gotowej i darmowej aplikacji, która może wskazać, gdzie konkretnie, przy jakiej ulicy mieszkają ci, o których głosy warto zabiegać, bo nie są toksycznie wiernymi Kaczyńskiego? Albo z darmowych rad socjologów, politologów, marketingowców gotowych analizować sytuację, tak by wiedzieć, jak najskuteczniej zabiegać o głosy? Ci ochotnicy wiedzą też, jak poprowadzić akcje pro-frekwencyjne, jak skutecznie poruszać się w mediach społecznościowych. Dlaczego w PO nie są tym zainteresowani? Wszak to PiS ma wyborców silniej zmobilizowanych, a po stronie opozycji jest wyraźnie gorzej.

Skrajna nieodpowiedzialność. Powtarzane błędy są po prostu niewybaczalne. Pisałam przed laty, że do Platformy przed poprzednimi wyborami zgłaszali się ludzie szkoleni m.in. przez Lexa Paulsona, amerykańskiego demokratę, wykładowcę retoryki i myśli politycznej w Instytucie Nauk Politycznych w Paryżu. Tego, który pracował przy zwycięskiej kampanii Obamy w 2008 r. i Macrona w 2017 r.

Bez reakcji. A ilu w PO jest tak dobrych wiecowych mówców jak Tusk? Ilu potrafi błyskotliwie i dowcipnie godzinami rozmawiać z nieznanymi sobie ludźmi? Czy naprawdę jeden Tusk ma objechać wszystkie blisko 2,5 tys. gmin? Reszta sądzi, że wystarczy od czasu do czasu być gadającą głową w telewizji?

Do tej pory nie działało, więc i teraz nie zadziała. Jeden Tusk, który na TikTok zbiera ponad 2 mln odsłon swojego żarciku („Kiedy wnuczka pyta, co będzie, jak dziadek wygra wybory...” – i pokazuje okładkę książeczki dla dzieci „Mateuszek w tarapatach”), tego nie zmieni.

Bo na razie to Donald jest w kłopotcie, a jak przegra, będzie w tarapatach. A my razem z nim. ●

Wielka Sobota
z małym Rudnickim

Nekrolog

Janusz Rudnicki

Pograżony w głębokim smutku zawiadamiam. O tragicznej śmierci żony mojej. Która zginęła rozszarpana przez dziki. Którą to śmierć nieumyślnie spowodowałem ja sam.

Małżonka moja zwykła dojeżdżać do pracy z Kędzierzyna do Koźla na rowerze. W styczniu tego roku zaatakowana została przez dziki w liczbie dwóch po raz pierwszy, gonili ją aż pod sam dom. Udało jej się uciec, ale była tak zdenerwowana, że nie umiała kluczem trafić do zamka. Nie zastanawiając się długo, podjąłem natychmiastowe czynności zapobiegawcze na Allegro, zamówiłem „gwizdek ultradźwiękowy, odstraszacz na sarny i dziki”. Dostawa akurat w przededniu urodzin małżonki, więc dodałem drugi, od razu jako prezent, na kierownicę i bagażnik.

Rano złożyłem jej życzenia i wręczyłem prezent, nie posiadała się z radości. Ostatnie zdanie, którym mnie uraczyła, było takie: pamiętaj, ja jestem jak Litwa, ile mnie trzeba cenić, ten tylko się dowie... Wieczorem z Koźla już nie wróciła.

Nie dawał mi spokoju ten gwizdek ultradźwiękowy. Wiem, nekrolog to nie miejsce na takie tematy, ale jak już zapłaciłem „Wyborczej” wcale nie małą opłatę za ogłoszenie, to sobie na to pozwolę. Otworzyłem „Twoje zamówienia” i na dole małym drukiem przeczytałem to, na co nie zwróciłem uwagi. Zdanie: „Powietrze przepływające przez urządzenie będzie wydawać odstraszający zwierzęta gwizd przy prędkościach powyżej 50 km/h”. Zacząłem czytać komentarze: mam wrażenie, że działa to na odwrót; mijalem sarny stojące na poboczu, nie ruszyły się na centymetr; na losie nie działa, a czy na inną zwierzynę, to nie mam zdania, bo po akcji z losiem to się już nie wypowiem. I ktoś, kto chyba samotny i pragnący skupić na sobie chociaż raz uwagę: dopiero montuję, więc jeszcze nie wiem.

W związku z tym, że udział w śmierci żony mojej jest bezsporny, prosba o nieskładanie mi kondolencji wydaje się zrozumiała. ●

Pinokio z disnejowskiej klasyki jest najbardziej zatrważający. Dlaczego? Wyjaśnia Marcin Wicha

Czy warto pisać książki, ale się pod nimi nie podpisywać?
Natalia Szostak o losie ghostwriterów

Po co nam portrety, skoro mamy selfies?
Maria Poprzęcka zastanawia się, dlaczego wciąż wolimy, żeby ktoś nas namalował

Co nas zachwyca. Najciekawsze powieści i oczekiwane premiery

Zamów magazyn z darmową dostawą na:
Prenumerata24.pl

Więcej na:
Wyborcza.pl/ksiazki

Magazyn w sprzedaży!

Harry & Meghan: księżciu się udało
Witajcie na Wyspie Orgazmów

KSIAŻKI
MAGAZYN DO CZYTANIA

Marcin Wicha:
Dlaczego
Pinokio
mnie przeraża

+ 7 baśni dla dorosłych wybiera Radek Rak

Wściekła jak Jelinek
Weronika Murek o wyjątkowej Austriaczce

Sponsorka numeru
Wisława Szymborska
nieznany wiersz noblistki

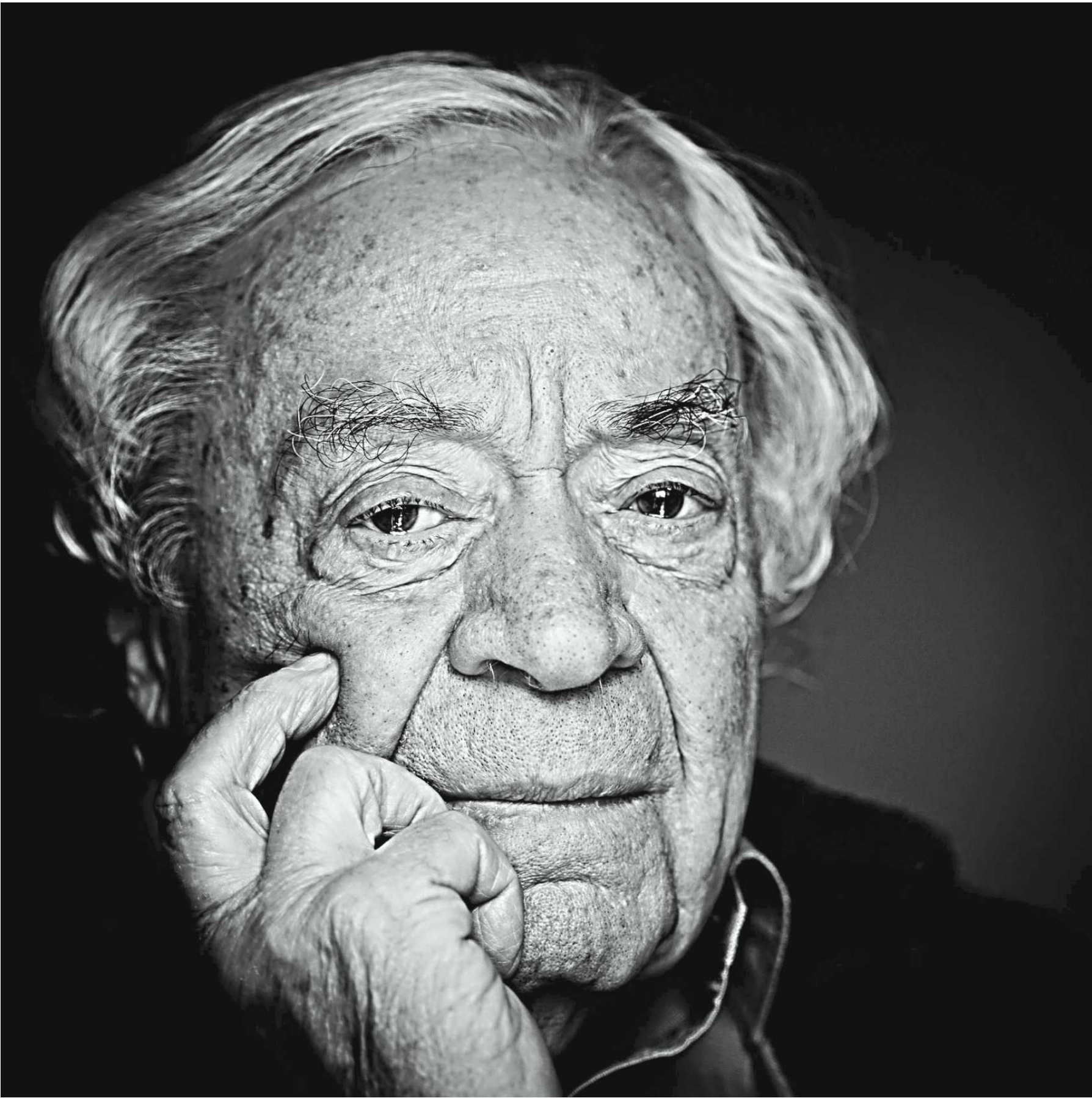
Premiery przedwiosnia dla dużych i małych

NAJLEPSZE BYŁO PRZED MOIM URODZENIEM

Wiem, że wiecznie żyć nie będę. Byle tylko ten koniec nie sprawił bólu moim bliskim. Te chwile ostatnie są całkiem niezłe.

Z JÓZEFEM HENEM* ROZMAWIA DONATA SUBBOTKO

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL



Panie Józefie, setka?

– Zdarza mi się to po raz pierwszy. Tak jak starość – co stwierdziłem, przypomnę, wiele lat temu – i wpisałem, zaczynając dziennik „Bez strachu”. Jak na setny rok życia czuję się nieźle, jak pani widzi, możemy rozmawiać.

Nie wychodzę z domu. Nie płaczę nad sobą. Nawet podczas wojny, w najcięższych warunkach, chyba nie płakałem: wiedziałem, że trzeba walczyć. Pisać. W pisaniu nie moralizuję. Dzielę się swoimi doświadczeniami. Czytelnik może z moich przeżyć wyciągnąć wnioski dla siebie, ale nie musi. Jego sprawa.

Szybko zleciało?

– Kiedyś miałem taki sen, że jestem w towarzystwie i mówię: „Jak ten czas się wlecze – powiedziała jętką jednodniówka”, a Artur Międzyrzecki – w moim śnie – na tor „O, doobre, doobre”.

Panu się wlecze?

– Nie. Mieszka ze mną Maciek, mój syn, jak pani wie, świetny pisarz. Układamy czas tak, żeby mógł dalej pracować, ale on jednak zajmuje się mną po synowsku. Śniadanie, obiad, kolacja. Kąpiel, golenie. Ja czytam. Ciągłe nie mam ochoty umierać, pożyczę sobie jeszcze troszkę, jeśli pani pozwoli.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu dziwiłem się, że wciąż żyję. Potem myślałem, że będę żyć ze 30 lat, potem – no, może 70.

W 1944 r., w Uzbekistanie, zatrzymał mnie taki wróżbiarz brodaty z księgą, w księdze dłonie, linie dłoni. Dwadcać rublię. „W ciągu miesiąca będziesz w podróży, która wszystko zmieni – co się sprawdziło. – Będziesz robił to, co chcesz. Będziesz żył...”. I tu mu przerwałem: stop, nie chcę wiedzieć.

Bóg okrutnie to urządził, bo świat jako taki człowiekowi się podoba, a ten człowiek jest w tym świecie tylko na pewien odcinek czasu. Ładnie Różewicz pisał o naszym odchodzeniu w tym wierszu dla mnie „boję się bezsensnych nocy”.

Polonistka wezwała do szkoły moją mamę: „Pani syn jest altruistą”. Mama wróciła przerażona: to pewnie ktoś jeszcze gorszy niż komunista

Spotkania z ludźmi, których cenilem i którzy mnie cenili – z Tadeuszem Różewiczem, Ksawerym Pruszyńskim, Ludwikiem Stommą, Ludwikiem Flaszenem – to były największe dla mnie nagrody. Z Andrzejem Wajdą znaliśmy się od lat, od jego debiutu w „Pokoleniu”, i dobrze się rozumieliśmy. Tak się złożyło, że nie byliśmy na ty. I naraz, przechodząc obok mnie, wykrzykuje: „Czytam twoją książkę! Świetna!”.

Teraz nie lubią wspomniania o Wajdzie: protestował przeciwko pochówkowi Lecha Kaczyńskiego i jego żony na Wawelu – zginęli w katastrofie, więc niby dlaczego mają leżeć obok królów.

Śledzi pan, co się dzieje?

– Mało. Wolalbym, żeby było inaczej.

Czyli jak?

– Wiadomo, że ludzie chcą mieć pewność, że będą mieli gdzie mieszkać i co jeść. Powinni sobie uświadomić, co się dzieje – ale są tacy, którzy nie chcą sobie tego uświadamiać. Jakoś to życie im się toczy. Nawet moja żona mawiała: „Ja martwię się tylko o to, czy będę mogła nakarmić moje dzie-

ci”. Ale raz, kiedy taksówkarz jej powiedział – w 1968, roku zacieklej antysemickiej propagandy partyjnej – że będą bić Żydów, to mu odpowiedziała: „To chyba ich będą szukać przez mikroskop!”.

Nie była łatwą osobą. Po wojnie poszła najpierw na chiński w Leningradzie, ale się okazało, że jest dla niej niemożliwy do nauczzenia, była niemuzyczna, tam jak coś się wymawia inaczej, to znaczy co innego. A po lwowsku, bo Rena była spod Lwowa, można mówić jak się chce. Przeniosła się na rusycystkę, też w Leningradzie, aż jej powiedziałem, że jeśli jeszcze raz tam pojedzie, to rozejrzę się za jakąś inną. I została ze mną w Warszawie.

Ludzie nie chcą sobie uświadomić, co się dzieje?

– Napisałem książkę „Mój przyjaciel król” – o Stanisławie Augustcie – i ludzie czytają, bo są pewni, że to nareszcie prawda o nim. Entuzjastą tej książki był Tadeusz Mazowiecki: „Napisał pan książkę ważną także politycznie”. Rakowski do mnie zadzwonił i mówi: „Napisałeś wspaniałą książkę, ale przerażającą”. Dlaczego przerażającą? „Bo pokazuje czas obecny”.

Pan prezydent rozdaje order Orla Białego, więc przypominam, że ten order został ustalony przez Augusta Mocnego, króla Sasa, po nim nadawał go August III, a potem caryca Katarzyna zażądała, żeby Stanisław August przyznawał ten order jej kolejnym kochankom. Gdy się pokazała z kimś w łóżu, kto nosił Order Orla Białego, to znaczyło, że jest jej obecnym faworytem. Kogoś takiego Aleksiej Bestużew, kanclerz Rosji, nazywał „monsieur Pompadour”.

Dlaczego to się panu teraz przypomina, kiedy pytam o dzisiaj?

– Bo rozmyślałam o tamtych czasach. Polska wtedy padła zupełnie, w 1792 r. była targowica, Katarzyna zmarła w 1796 – jej biograf pisał, że kłamała całe życie, od dzieciństwa. Stanisław August przeżył ją o dwa la-

ta, syn carycy zrobił mu królewski pogrzeb, uważał, że jest jego synem – chociaż data przybycia młodego Poniatowskiego do Rosji to wykluczała.

BO TO SĄ ŻLI LUDZIE

Kto jest dzisiaj takim „faworytem”? Ma pan na myśli Macierewicza czy kogo?

– Myślę, że każdy z nich wie, o kogo chodzi.

Znowu mamy czas jak ten przed rozbiorami?

– Podobieństwo jest o tyle, że rządzący krajem chcą, abyśmy zostali wyrzuceni albo sami wystąpili z Unii Europejskiej, którą nazywają nowym zaborcą. Dziesiątki lat marzeniem Polaków było NATO i Unia, a oni nawet nie podają nazwisk ludzi, którzy nam to załatwili, Geremka i innych. Widać, że chcą nas z tej Unii usunąć. Dlatego, że tam, kiedy ma się dać pieniądze, zwraca się uwagę na praworządność.

Dlaczego to robią?

– Bo to są źli ludzie.

W jakim sensie?

– Traktują część Polaków jak wrogów. Nie liczą się z Polakami. Chętnie by urządzili dzisiaj getto ławkowe, ale nie ma Żydów – to może dla gejów? Niebezpieczna jest dla państwa głupota rządzących, którzy tak bardzo wierzą w siebie.

To co będzie z Polską?

– Polska istnieje od Mieszka, chociaż wtedy miała inne granice. Polska jeszcze potrwa, wszystko potrwa – o ile ludzkość przez pomyłkę nie popełni samobójstwa zbiorowego.

Kim Jarosław Kaczyński będzie w historii, jak to się skończy?

– Każdy się kiedyś kończy, Kaczyński też.

Ale jak zostanie w historii?

– To zależy, kto ją będzie pisał. W Pięcio-ksiegu, w Księdze Wyjścia, Mojżesz rozbił ją w gniewie tablice z dziesięcioma przykazaniami. Żydzi mówili, że na rozbite tablice rzucili się bogacze, wzięli „cudzołóz”, „kradnij”, „pożądaj” itd., dla biednych zostało „nie”, „nie”, „nie”. I to się powtarza w historii, człowiek jest taki sam, jaki był za dzikich czasów, tyle że obyczajność trochę inna. Ale Polska przetrwa. Rządzącym chodzi o pieniądze – to znaczy pieniądze dla siebie.

Było kiedyś tak, żeby aż tak grabili dla siebie?

– Było tak, że Polska nie rządziła się sama.

No właśnie.

– Ale kiedy się czyta pisarzy z połowy XIX wieku, to oni byli pozytywni – pozytywiści. Chcieli coś zrobić z tym biednym krajem. Wielcy ludzie, chociaż i im można dużo wytknąć. Żeromski np. miał parę opowiadań dobrych, ale jego dzienniki są strasznie antysemickie. Podczas I wojny napisał trytomową „Walkę z szatanem”, a w niej dużo o tym, że Żydzi to tchórze.

Nie miała tego w sobie jego córka Monika, którą dobrze znałem, kochała ojca, ale wychowywała ją matka, dobrze mi znajoma pani Anna. A wcześniej Żeromski się ożenił z poręką Prusa z Oktawią, którą Prus opisał w „Emancypantkach” jako Madzię. Prus ni- by ten lepszy, ale w „Faraonie” pokazał Żydów, jak oszukują itd. Nie przewidział, że Ramzesa będzie grał Jerzy Zelnik.

Znałem Jana Zelnika, jego ojca, był w pewnym okresie moim szefem, kiedy robiłem w Polskim Radiu audycje dla wojska. Na początku lat 50., w rocznicę 1 września, chciałem nadać Broniewskiego „Bagnet na broń”, ale w redakcji tego nie chcieli, bo w tym wierszu „są w ojczyźnie rachunki krzywd...”.

No są. Kiedy przyjdą podpalić dom?

– Nie przyjdą. Trzeba być optymistą. Gdy ktoś pyta dlaczego, to odpowiadam: „Nie mam wyboru”.

Mimo że mamy czas chaosu?

– Rozbiory jak się dokonały, to potem już był inny rodzaj chaosu, ich chaos – zaborcy rządząli siłą.

Ale co robić, żeby tak nie było?

– W różnych czasach było inaczej, zależy, kto rządził. To może zadziwiające, ale najlepiej rządził Jagiello, który przecież nie był Polakiem, był Litwinem – Jogajłą. Wiedział, co to jest państwo. Napisałem o tym serial „Królewskie sny” z Gustawem Holoubkiem.

Nie umiemy robić państwa sami?

– Ksawery Pruszyński uważał, że wszystkiemu są winne czasy saskie, kiedy August III był królem dwóch państw, a Francuzi się śmiali, że powinien wydać sobie wojnę – jako król Polski królowi Saksonii. Artykuł Ksawerego miał tytuł „Puścizna czasów saskich” i był, między innymi, o głupocie elekcji, kiedy koronę można było kupić.

Toteż gdy Stanisław August chciał zrobić monarchię dziedziczną, to sprzeciwiła się Katarzyna II, tak jak nie chciała zniesienia liberum veto, przez które jeden przeku-

piony poseł mógł zerwać Sejm. Ona i Fryderyk II występowali przeciwko polskiej konstytucji i przeciwko dziedziczności władzy królewskiej w Polsce, bo nie mogliby wpływać na wybór władcy. Urodzi się dziecko – i jest król!

Anglik Joseph Yorke, z rodziny blisko zaprzyjaźnionej ze Stanisławem Augustem, mówił o Polakach: „Ci ludzie nie zasługują na państwo, państwo im się rozleciało, a oni nic, tylko bawią się, piją...”.

I teraz jest podobnie?

– Teraz mamy w Polsce króla nawet bez wyborów.

HAJLI-HAJLO – MALI-I-I-NY!

Kto wygra wybory?

– Nie wiadomo, czy wybory nie będą w ostatniej chwili sfałszowane. Bo inaczej mogą być procesy – ale jeśli będą, to będą trwały latami.

Finansują bojówki neofaszystów, ciekawe dlaczego?

– Ci rządzący nie chcą, żeby była jakaś partia na prawo od nich. A ONR to młodzi głupcy, byli też tacy za okupacji. Polska była przegrana, a oni wolali, że ma być od morza do morza.

ONR rozkwitł w XX-leciu międzywojennym, a już w jego początkach zamordowano Narutowicza.

– Teraz też może coś takiego być, bo Tusk w Europie wiele się nauczył i wiele zrozumiał. Wcześniej nam, literatom, on i jego minister zlikwidowali ulgę podatkową. Ale on z tej Europy wrócił inny. I taki Tusk przeszkadza rządzącym.

Narutowicz też był z tych, którzy wrócili do Polski – on ze Szwajcarii. Na prośbę Piłsudskiego, z którym był w PPS-ie w swoim czasie. Prezydenta wybierał Sejm. No i nie będą nam tu Żydzi i mniejszości narodowe, a dużo ich było w Polsce, wybierać głowy państwa. Doszło do walk ulicznych, co bardzo dramatycznie pokazał Kawalerowicz w filmie „Śmierć prezydenta”.

I Eligiusz Niewiadomski pierwszego prezydenta Polski zabił. Co załamało Piłsudskiego, wycofał się w życie prywatne, z córeczkami w Sulejówku. Ale jego legioniści przyjeżdżali i błagali: „Wracaj i ratuj ojczyznę!”. Bo wbrew temu, co mówią – a ja to wiem, zajmując się Boyem-Żeleńskim – inteligencja była za zamachem majowym, Boy pisał do pani Staniewskiej, wielbicielki z Kalisza: „Lżej jest oddychać”. Ale potem właśnie on protestował przeciwko znęcaniu się nad uwięzionymi posłami. Ja za mały byłem, żeby to śledzić, pamiętam tylko, że jak był przewrót majowy, to na podwórku chłopcy się bawili w strzelaninę.

Ogląda pan wiadomości z Ukrainy?

– Rzadko. Wolę coś poczytać. Widzi pani, ile mam książek. Czytałem teraz wspaniałą książkę Jarosława Kurskiego „Dziady i dybuki”, on mi ją podpisał i widział, że mój egzemplarz jest zaczytany. Piękne jest to, że on szuka swoich korzeni, wiedząc, czym to pachnie, jaka jest sytuacją w Polsce, i przypomina, jak matka, pół-Żydówka, krzyczała: „Musisz to o mnie wykreślić! Ty nie wiesz, jaki w Polsce jest antysemityzm”.

Jestem przejęty tą książką i czuję dla autora wdzięczność. Kiedyś Daniel Pas-sent napisał mi dedykację w książce „Kochanemu Józkowi na kolanach, z podziwem i wdzięcznością”. Wdzięczność to ważne słowo.

Ale wie pan, co się dzieje w Ukrainie? Pan Ukrainę dobrze zna.

– Putin się skończy, jak wszyscy. Niektóre decyzje dyktatorzy podejmują nie dlatego, że są korzystne, ale że sprawiają im przyjemność. Jego ludzie już mówią: rządził prawie 25 lat – i dosyć.

Ukraina ma prawo być osobnym państwem, naturalnie. Ale ja tego świata nie naprawię – jak powiedział Montaigne.

Co się panu przypomina, kiedy pan słyszy o tej wojnie?

– Zbombardowane miasta. Gdy wróciłem po wojnie do Warszawy, to już jej nie było. Tylko Praga była, tam spotkałem mamę.

I przejazd przez Charków. W Charkowie studiował medycynę Piłsudski. W czasie II wojny to było miasto rosyjsko-ukraińskie. Nasze wojsko w Sumach w 1944 stacjonowało właśnie na granicy, której nie było, chłopki ze strony rosyjskiej sprzedawały nam kurczaki.

Trafiali do nas Polacy wcieleni do Wehrmachtu. Jeden nazywał się Alojzy Zwiernik z Tczewa, był w Afrika Korps, prowadził z nami ćwiczenia wojskowe, bo na tym się znał. Wołał: „Wojsko śpiewa!”, i śpiewał polską pieśń o dziewczynie zbierającej maliny, a w refrenie dorzucał: „Hajli-hajlo – mali-i-i-ny!”. Po wojnie przyjechał do mnie, żebym mu dał zaświadczenie, że był u nas, w Sumach, podoficerem.

I przypomina mi się, jak w 1940 r. byłem w ukraińskiej szkole pedagogicznej w Dąbrowicy na Wołyniu, w klasie większość dzieci była z sierocińców, z Czernihowa i Horodni – to byli moi przyjaciele. Nauczyciele Rosjanie musieli wyklądać po ukraińsku i trochę się z tym męczyli. My też mieliśmy zostać nauczycielami w ukraińskich szkołach wiejskich.

Miałem zadanie przygotować referat „Dosliżdienija radianskoj Arktiki”, czyli badania radzieckiej Arktyki, oczywiście po ukraińsku. Nauczycielka geografii, towarzysza Stepanenko, była żoną komendanta NKWD w Dąbrowicy. Opowiedziałem o latających w tamtym rejonie bohaterских pilotach, Czkałowie, Gromowie i Lewoniewskim, i dodałem, że ten był Polakiem i miał bliską rodzinę w Polsce. Mówiłem też o ludziach, którzy dryfowali na kurczącej się krze lodowej: Papanin, Szyrszow, Krenkel, Fiodorow – w nocy może pani mnie obudzić i podam te cztery nazwiska.

W Dąbrowicy była moja siostra Mirka, ona i jej mąż mieli dobre stosunki z Ukraińcami, dlatego nie chcieli się stamtąd ewakuować, mówili, że po najeździe hitlerowskim nic ze strony Ukraińców nie grozi. I tak było, w Dąbrowicy nie było żadnego pogromu, ale Niemcy zabrali ich do getta, a potem zagazowali w wagonach, spaliniami. Gdyby się bali miejscowej ludności, gdyby nie byli za przyjaźnienia, uciekliby i przeżyli.

Pan uciekł do Azji, był pan uchodźcą.

– Bardzo trudno było, ale to była wojna i wiedziałam, że trzeba przeżyć. Z tego potem zrodziła się powieść „Nikt nie woła”, złożona z dwóch części: „Boso” i „W butach”. Ciężko pracowałem, byłem głodny i nie miałem butów, ale sprawa była czysta – nie ludzie mi to zrobili, tylko wojna, i ja sam sobie.

Pod Taszkientem zgłosiłem się do batalionu pracy w nadziei, że dadzą mi 80 dag chleba dziennie i pracę, ale byłem osłabiony długą głodówką i nie mogłem dobrze pracować.

Pamiętam, jak raz szedłem polem, krzycząc. Bez słów. Jakby do niebios. Potem, gdy studiowałem Boya, przeczytałem, że zatrzymali go na ulicy Austriacy, bo chodził i krzyczał. A krzyczał prawdopodobnie dlatego, że Dagny Juel, poetka norweska, żona Przybyszewskiego, wołała swojego pijanego i zdradzającego ją męża. Teraz Tomasz Kot gra Boya w filmie i podobno mówi, że przeczytał książkę Hena o Boyu i wszystkiego się dowiedział. Dziękuję.

A pan krzyczał z rozpacz?

– Tak. Nie z głodu. Z tego, że mnie to wszystko spotyka. To było najgorsze w życiu.

Kiedy, co się wtedy stało?

– W Jungi-Julu, w 1942. Pierwsza komisja andersowska. Ten pan, który mówił: „Proszę odejść, bo bagnetem każę pana wyrzucić!”. Nie głód był najgorszy, tylko utrata tego, co się ma w sobie z przeszłości. Upokorzenie. Dlaczego w ten sposób to robili? Czulem, że się wali wszystko. Bo chciałem do Andersa, bić się.

Nie zasłużyłem sobie na to wyrzucenie. Przyznał mi potem rację komendant naszego strojbatalionu, Niemiec zresztą. Steinkopf się nazywał. Powiedział, że on ma gorzej niż ja, bo być Żydem i Polakiem to niedobra kombinacja, ale być komunistą i Niemcem to dopiero zła. Tego Steinkopfa wywieźli w końcu daleko na wschód jako Niemca – wcześniej niemieccy komuniści z naszego strojbatu, na ogół marynarze, walczyli w obronie ZSRR. Ale jak Hitler zajął długo broniący się Sewastopol, to w ich namiocie było głośnie pijaństwo.

Mojego brata Hipka Rosjanie wywieźli ze Lwowa do lagru w Rybińsku, a starszą siostrę Stellę zesłano na Syberię i dzięki temu się uratowała. Hipek został aresztowany za handel i oskarżony o nielegalne przekroczenie granicy sowiecko-niemieckiej, chociaż on nie przekroczył żadnej granicy, był na miejscu, kiedy granicę przekroczyło wojsko radzieckie.

Najpierw kilka miesięcy był skazany na zakaz korespondencji, co groźnie brzmiało, bo zapowiadało karę śmierci. Ale po napści Niemców na ZSRR jego lagier rozwiązano, mój brat popełnił lekkomyślność, bo zamiast pójść na wschód, chciał się chyba przedostać do Iranu, podobno widziano go w Astrachaniu. Potem ślad po nim zaginął. Zniknął. Bo gdyby żył, toby się zgłosił nad Okę do I. Dywizji, gdzie miał kilku przyjaciół z Nowolipia.

DYKTATORZY ZAWSZE KŁAMALI

W Rosji ciągle są lagry.

– W czasie wojny wielu Rosjan sprzyjało zesłańcom, bo oni sami byli zsyłani. W lagrze od 1937 r. był wybitny fizyk Aleksander Weissberg-Cybulski. Dzięki własnej zawziętości Stalin nie miał broni atomowej, bo uważał, że tacy komuniści jak Weissberg to trockiści. Potem, po pakcie Ribbentrop-Mołotow, wydał Niemcom Żydów, także komunistów, którzy pochodzili z terenów okupowanych przez Niemców. Zawieźli Niemcy Weissberga do Krakowa, gdzie się urodził. Z krakowskiego getta uciekł do Warszawy, tam zajęła się nim pani Cybulska. Działal w podziemiu.

Ale kiedy weszło wojsko radzieckie i utworzony został rząd PRL-owski podległy ZSRR, to bodajże Hilary Minc mu powiedział: „Uciekaj stąd, oni cię szukają, byleś ich więźniem”. I wyjechali z panią Cybulską do Paryża. Kiedy w latach 70. byłem w Paryżu, dziennikarz Gabriel Meretik zaprosił mnie na obiad z panią Cybulską. Miała cudowny samochód, bo książka Weissberga „Wielka czystka” doczekała się dzieśiątków tłumaczeń na świecie, przemyciłem ją sobie z Paryża.

W lagrach na Kołymie więźniów wital napis: „Praca to sprawa honoru i chwały, sprawa dzielności i bohaterstwa”, a w Auschwitz: „Arbeit macht frei”.

– To samo. Ale był Stalin – i upadł Stalin. Zwolnili ludzi, m.in. Henryka Jungerwirtha, który pracował w Polskim Radiu. Był zaprzyjaźniony z Wasowskim i Przyborą. Dziewięć lat był na Kołymie. I jak w 1956 r. przyjechał tutaj Chruszczow i rozeszło się, że na Warszawę idą czołgi sowieckie, to Henryk się przestraszył – znowu dziewięć lat na Kołymie? Pozwolono mu wyjechać do Izraela. I co robił w Izraelu? To samo, co w Warszawie: puszczał muzykę klasyczną w radiu.

Jestem u niego, Jerozolima, 22 listopada 1963. Popijamy sobie i nagle telefon, że ma przyjechać do radia, bo trzeba zmienić muzykę. Dlaczego, stało się coś? Tak, stało się. Zabito Kennedy’ego!

Dyktatorzy zawsze kłamali, zawsze byli obłudni. W czasie II wojny ZSRR mówił, że mała Finlandia im zagraża. Zawsze te wielkie mocarstwa są zagrożane przez małe, nigdy odwrotnie. I te wielkie biedaczyska muszą się bronić – wojować, żeby nie zginąć.

Putin kontynuuje politykę Stalina?

– To niezupełnie tak. Dla Putina pamięć o Stalinie jest konkurencyjna, propagują ją opozycyjni komuniści rosyjscy. Stalin przed śmiercią prowadził politykę śladem Hitlera, ogłosił nawet „spisek lekarzy kremlewskich” i planował obozy dla Żydów.

Putin nie jest wieczny. Ale jak może się rozpaść takie mocarstwo? Choć w pewnym sensie się rozpadło, wiele republik uzyskało niepodległość. Mój wnuk Tomek poje-

Traktują część Polaków jak wrogów. Chętnie by urządzili dzisiaj getto ławkowe, ale nie ma Żydów. To może dla gejów?

chał w podróż poślubną do Kirgizji. Słowacki w „Fantazym” wszystkich z Kaukazu nazywa Kirgizami. Ale Rosja to ciągle wielki kraj z ogromnym dorobkiem kulturalnym – proza z Turgienievem, Tolstojem, Czechowem, Gorkim, Buninem, muzyka, balet, sporty zimowe. Czy pani wie, że nazwa „panczeny” pochodzi od rosyjskiego łyżwiarza Panszyna?

JUŻ WIEM, PAN JEST MALTAŃCZYKIEM

Co pan lubi najbardziej w literaturze rosyjskiej?

– Gogola, który zresztą był Ukraińcem, po ukraińsku Hohol. Napisał antysemicką powieść „Taras Bulba”, ale był świetnym prozaikiem i dramaturgiem, bo „Rewizor”, „Ozenek”... Puszkin też był świetnym prozaikiem. I Lermontow, który napisał „Bohatera naszych czasów”. To jest przewaga prozy rosyjskiej nad polską, że tam prozą pisali wielcy poeci. Oni są fundamentem prozy rosyjskiej. U nas takim fundamentem mógł być Słowacki, „Fantazy” to jest niedokończony dramat pisany wierszem.

Najważniejszy jest jednak Czechow. Ale bardzo dobrze znam Gorkiego, Lwa Tolstoję, chociaż jego „Annę Kareninę” Czechow krytykował, Gorki też. Gorki nie chciał brać udziału w 80-leciu Tolstoję, bo uważał, że jest to szkodnik, który chce w Rosji zniszczyć maszyny itd. Po dwóch latach Tolstoj zmarł i ten Gorki strasznie płakał: umarło słońce naszej literatury! Dla ludzi Gorki był przede wszystkim człowiekiem, który rozmawiał z Czechowem i Tolstojem.

Najlepsze rzeczy Czechowa to „Chłopi”, „Moje życie” i „Step” – te trzy opowiadania. I też takie genialne króciutkie opowiadanie o człowieku, który odkrył w sobie talent malarski i powiedział: „O Boże, jeszcze tego mi brakowało”.

Napisałem zresztą opowiadanie „Czechow”, ale jak Rosjanie wydawali moje opowiadania, to tego nie przetłumaczyli, mówią: „My sami znamy Czechowa”. O tym, jak młody człowiek przychodził do pewnych państwa i wszyscy myślą, że on się kocha w panience, dla niej zmusza się do wysłuchiwanie opowieści jej dziadka, który był na zesłaniu.

Ale gdy ten dziadek umiera, to on przestaje tam bywać – okazuje się, że przychodził dla tego dziadka, żeby go słuchać, brać z niego. Potem ci młodzi gdzieś się spotykają, dziewczyna do niego z nadzieją, mówi, że szuka pracy, bo pan pisał, że należy pracować itd., a on do niej: „Proszę pani, człowiek sobie coś napisze, żeby zarobić, a pani to bierze poważnie”.

Dwa komputery na biurku. Pisze pan?

– Tylko odbieram i odpowiadam na maile. Ale reszta w komputerze to dla mnie świat trudny do opanowania. Wołam Mac-

ka do pomocy, wyszukuje różne rzeczy. Wyśle pani mailem moje ostatnie opowiadanie „Irka z Lublina”, o miłości, z mojego życia, ono było drukowane w „Newsweeku”. Teraz już nie mogę pracować, za to kiedy usłyszę o czymś dawniej mi znanym – może to paradoks – od razu to zapisuję. Mam karteczki i zapisane nazwiska, tytuły, które znałem świetnie. Wciąż mi ucieka np. tytuł powieści Henryka Worcella o restauracji, bo

Worcell był kelnerem utalentowanym literacko, jak się okazało, i Majewski zrobił na podstawie jego książki film w Czechach ze świetnym młodym Markiem Kondratem jako kelnerem.

„Zakłęte rewiry”.

– Tak. A ja Worcella dobrze znałem, na jakimś zjeździe Związku Literatów w Krakowie dzieliłem z nim pokój, co nie było łatwe, bo wracał pijany. Kiedyś, za czasów Gomulki i Moczara, wiceminister kultury Kazimierz Rusinek, który był kapo w Oświęcimiu i nie mam o nim dobrych wspomnień, kazał stopić – bo wtedy jeszcze książki składało się w ołowiu, były linotypy – składy książek Worcella, Hena i, co ciekawe, Ilji Erenburga, czwartą część jego pamiętników, tę o wielkiej czystce. Moje stopili dwie – „Przed wielką pauzą” i „Mgielkę”.

Teraz też cenzurują, podsłuchują, kłamią. Ma pan jakąś radę na ten świat?

– Boy napisał, że im dłużej żyje na świecie – a miał wtedy 45 lat – tym bardziej inteligencja, dowcip bez dobroci wydają mu się niesympatyczne i niezajmujące. Dlatego nie oglądam już wiele telewizji. W „Wyborczej” są tłuste tytuły, dzięki którym wiem, co się dzieje. Ale nikt nie wie, co będzie. Ponad sto lat temu powstawały powieści o tym, co ma nadejść. „Wojna światów” Wellsa i inne. A ja powtórzę za Montaignem: świat jest niepoprawialny. Zwierzał się: „Piszę dla niewiele ludzi i na niewiele lat”. Dałem to na końcu książki „Ja, Michał z Montaigne”. I dopisałem: „Nie było w literaturze wspanialszej pomyłki”.

Ale co dobrego jest w tym świecie, po co to zawracanie głowy?

– Nigdy nie biadoliłem, czasem czulem niesprawiedliwość, niechęć. Moje życie było ciekawe, malownicze. I w jakiś sposób zwycięskie, bo ja wszystko wytrzymywałem, w dużym stopniu rozumiałem, co się działo. Życie bywa słodkie. Piękny film Felliniego „La dolce vita” to przecież film tragiczny. Osiem dolarów wydałem, żeby to zobaczyć, gdy byłem w Rzymie. Mastroianni, Anita Ekberg w tej fontannie...

Pan chyba zna włoski? I jeszcze parę języków.

– To zależy, czy trzeba pisać, mówić czy czytać, ale znam ukraiński, rosyjski, włoski, angielski, francuski... Kiedyś po włosku nieźle mówiłem. Raz do mnie mówi właściciel baru: „Już wiem, pan jest Maltańczykiem”. Dlaczego? „Bo pan ma akcent maltański”. Potem moje dzieci się ze mnie śmiały, że jestem maltańczyk.

A innym razem mieszkalem u takiego pana Bomby, i on do mnie, że coraz lepiej mówię po włosku: „Piano, piano – czyli powoli, powoli – i będzie dobrze”. A jego żona: „Piano, dla ciebie wszystko piano, a tu trzeba szybko!”. On, że żaden mężczy-

zna nie wytrzyma tego wrzasku, więc mówię do niej: „Signora, lei è molto emozionata”. A ona w krzyk: „Emozionata! Ja?! Ja jestem zawsze spokojna!!!”. Widzi pani, takie rzeczy mi się przypominają.

Ja byłem najszczęśliwszy, kiedy mi powiedziano, że córka mi się urodziła. Banalne, prawda? Chciałem, żeby była Madzia, wymyśliłem, że będzie blondynka z niebieskimi oczami. I tak było. A kiedy ktoś się ze mną droczył, skąd u nas taka blondynka, to mówiłem, że mam uczynnego sąsiada.

Szczęście bywa. Polemizuję tu z Kółkowskim, który mówił, że szczęścia nie ma. A po co to wszystko? Dziecko sobie uświadamia, że jest, i nie zadaje sobie pytania, po co. Ja wprawdzie narzekałem rodzicom: „Szkoda, że się nie urodziłem jako syn Piłsudskiego”, ale to był żart – nie żal. Czulem, że jestem. Że ciekawi mnie ta jasna plama na ścianie, ona trochę płynie, czasem przesłania ją cień drzewa. Plama słońca – moje pierwsze wspomnienie. I wiem, że ojciec trzyma mnie za rękę i że idę do babci na czulent, na Solną 9. Wszystko takie naturalne, spokojne.

NIECH PANI ZOBACZY, CO ON NAPISAŁ!

Jest pan starszy od Myszkki Miki. Pamięta pan bohaterów z dzieciństwa?

– Najbardziej Tomcia Palucha. Miałem sześć lat, gdy poszedłem do szkoły. Raz pani czytała nam „Tomcia Palucha”, ale był dzwonek i nie skończyła, do dzisiaj nie wiem, jaki jest koniec tej bajki. A ja sam byłem taki Paluch, najmniejszy w klasie, najmłodszy. Kiedyś ta sama pani przyszła do naszej klasy raz jeszcze, byłem już w czwartej klasie, i chłopcy zaczęli krzyczeć do niej: „Niech pani zobaczy, co on napisał!”. Jakieś wypracowanie. Ona czyta i mówi: „No, no”.

Raz źle się zachowywałem i pan Krelman, dyrektor szkoły, kazał mi czekać na siebie w swoim gabinecie. Więc czekałem i podziwiałem dużą wspaniałą suszkę do atramentu, a naprzeciw wisiała mapa Palestyny, biblijna, z zaznaczonymi miastami, które są wymienione w Biblii, Jerycho, itd. Dyrektor przyszedł i mówi: „Idziemy do mnie”. Wiem: tam dostanę!

Wchodzimy do niego do domu, on woła synów, córkę i żonę, i do mnie: „Opowiedz o Bolesławie Chrobrym. A wy słuchajcie”. Chciał się pochwalić, że ja, dziewięcioletni, wiem, co trzeba. No i jękać się, opowiedziałem. A potem kazał synowi, który chodził do gimnazjum, odprowadzić mnie do domu przez kocie łby. Ze 20 lat temu napisała do mnie z Ameryki pani Paulette Krelman, że ten chłopak, który mnie odprowadził, jest jej mężem – ucieszyłem się, że przeżył – i pytała, gdzie jeszcze coś znajdzie o swoim teściu.

W piątej klasie – mimo że moja szkoła była czteroklasowa, pan Krelman uznał, że trzeba zrobić piątą oddział – polonistka, pani Nudelmanaowa, kazała nam napisać, z czym nam się kojarzy wiosna. Miałem już z dziesięć lat i pomyślałem: po co ona nam zadaje takie ograne tematy? Napisałem, że wiosną kończy się ochrona lokatorów, zaczynają się eksmisje, i opisałem jakąś eksmitowaną rodzinę, chociaż nigdy takiej nie widziałem. Polonistka wezwała do szkoły moją mamę i powiedziała jej z poważną miną: „Pani syn jest altruistą”. Mama wróciła do domu przerażona. Domyślała się, że to musi być ktoś jeszcze gorszy niż komunista.

Ale chyba rozpieszczała pana?

– Kiedy kupowała mi nowe paletko czy welniane ubranko, była dumna, że jej synek ładnie wygląda, a ja nie chciałem tego nosić, bo mnie ta welna gryzła. Płakałem. A jeśli dziecko płacze, to ma rację.

Mówiła do mnie Józio albo Izio. Rodzice rozmawiali z nami po polsku, ale wyklócali się ze sobą w jidysz. Kochali się, ale ojciec bywał surowy i zazdrośny. Jak kiedyś matka wyszła w Michalinie na stację po ojca – bo żydowscy letnicy zjeżdżali tam w piątki na

sobotni wypoczynek – i jakiś facet prowadził mamę pod rękę, to ojciec zrobił matce awanturę, i ja byłem po stronie ojca.

Ja i mama jeździliśmy w Michalinie ze stacji bryczką. Pamiętam, że spod kół unosił się kurz, trudno było oddychać – a mama: „Co za powietrze! Jak miód!”. No, ale w porównaniu z Nowolipiem... Wcześniej rodzice mieszkali w Wilanowie. Mama opowiadała, że tam był staw, po którym pływała łódką w białej sukience, a ja jej powiedziałem: „Wszystko, co dobre, było przed moim urodzeniem”.

Do kogo pan był podobny?

– Wszyscy mówili, że do mamy, bardzo. Hampłowie, warszawiacy z rodziny mamy, handlowali porcelaną – babcia Chana Hampel uderzała przy kliencie talerzem o talerz i orzekała: „Ćmielów!”, poznawała po dźwięku. Oni, ci Hampelowie, byli czytający, słuchali muzyki, mieli poczucie humoru.

Ci z Radzyna – rodzina ojca – byli zupełnie inni. Na ogół rzemieślnicy. Bab-



ka trzymała się tradycji żydowskiej. Kuzyńni ojca, wszyscy bardzo przystojni, porzucili w latach 30. Radzyna i wyjechali do Paryża. Opowiadali mi, kiedy ich w Paryżu poznałem, że moja mama, nie zawiadamiając ojca, przyszła do nich na dworzec i każdemu dała jakieś pieniądze. Nie mogli tego zapomnieć.

Pierwszy raz do wypożyczalni książek poszedłem z mamą. Był tam pięknie wydany „Pan Twardowski” Mickiewicza. Zaczęłem czytać na ulicy i byłem zły, bo w połowie drogi miałem już przeczytane. Potem sam chodziłem do wypożyczalni Parnas na Nowolipiu 5. Nie czytałem bajek ani Karola Maya, ale np. „Buddenbrooków” Thomasa Manna, bardzo wcześnie. I sowieckie książki: Gładkowa, „Taszkient – miasto chleba” Niewierowa, później Szolochowa. Nie mogłem zjeść obiadu, nie mając książki przed sobą.

Nawet kiedy wybuchła wojna i bombardowali, to wszyscy w rodzinie patrzyli, czy schować się tam, czy tu, a ja im powiedziałem, chroniącym się w naszej suterenie, że trafić mogą mnie wszędzie – i, ku ich zgorzszczeniu, czytałem. Nie miałem jeszcze 16 lat, kiedy wybrano mnie na komendanta domu, jak pani wie.

Pamięta pan, co czytał we wrześniu 1939?

– Emila Zolę, „Pogrom”, po wojnie to wyszło jako „Kłeska”, bo to się dzieje po klęsce Napoleona III w 1870 r. Parę lat po tej książce Zola napisał ten słynny artykuł „J'Accuse...!” – w obronie Dreyfusa.

Obchodzono w domu pana urodziny?

– Mogli wtedy przyjść do mnie koledzy ze szkoły i ojciec pozwalał nam grać w ping-ponga.

Ale gdzie?

– W jadalni. Wszystko odsuwano i rozkładano stół, zamiast siatki ręcznik. Dostawa-

liśmy ciasteczka i graliśmy. Ja byłem w ping-pongu najlepszy. Raz kiedyś w zakopiańskiej Astorii grałem z krytykiem Tadeuszem Drewnowskim i zrobiłem straszne głupstwo, bo wygrałem z nim w obecności jego młodej żony. Zawsze miał trudności, żeby o mnie dobrze napisać.

Zajmował się Marią Dąbrowską.

– Tak. A jego żona była Poznańska z rodziny przemysłowców, którzy zbudowali ten dom tutaj obok mnie, w Alejach Ujazdowskich. Mieszkał tam młody Artur Rubinstein i miewał różne romanse, co opisał w swoich pamiętnikach, a opiekował się nim w tym czasie pan Karol Jaroszyński, bogaty Polak, obszarnik z Ukrainy, jego syn był potem kierownikiem SPATiF-u.

I pan mówi, że jak się ma sto lat, to z pamięcią gorzej?

– Druga moja historia z ping-pongiem: w 1950 r. dr Zlotnicki uznał, że jestem przemęczony, i wysłał mnie do sanatorium woj-

Ja lubiłem kuczki, Święto Szalasów. Bo wtedy stawiano drewniane kwadratowe domki na podwórzu, między którymi myśny biegali. Gdy przychodziła do nas rodzina mamy, to musiałem mówić wiersze i śpiewać, a wujek Henryk zawsze domagał się: „Ale ze słowami!”.

Przed I wojną ten wujek przez pewien czas pracował w kibucu w Palestynie i jak wrócił do Warszawy, uważał się za komunistę – a handlował szkłem na Gnojnej, przy Hali Mirowskiej. I kiedy byłem u niego w sklepie, to – nie zapomnę tego obrazu – on mówi do swojego subiekta, który stał na drabinie i coś zdejmował z półek, że trzeba w końcu popędzić tę burżuazję. Na co ten chłopak: „Szeffie, a dlaczego pan mi daje 35 zł tygodniowo, a sam pan zarabia Bóg wie ile?”. A wujek: „A to co innego”. I ja to często cytuję, komunizm komunizmem, ale „ja to co innego”.

Powiedział pan, że musiał pan śpiewać.

– Ale nie pamiętam co, byle „ze słowami”. Zaśpiewam pani coś, co pamiętam. Gdy kawalerowie przyjeżdżali do mojej siostry Mirki na rowerze, chcieli tańczyć, ale nie było patefonu – bo to było latem w Świdrze – i ja im śpiewałem: „Jak ty, mój śnie./ Wiem dobrze, że/ Nie znajdę drugiej, ni trzeciej./ Jak ty, mój śnie...”. Zwykle ja, taki mały, stałem pośrodku, a oni wokół mnie tańczyli, ze trzy, cztery pary.

Śmieszna scena.

– To było przedwojenne tango: „Że kochasz znów./ Spojrzeniem mów,/ Gdy na mnie patrzysz./ Mój świat jest bogatszy/ I marzę znów./ To przecież prawda, nie żart./ Zastanów się dziś./ Może nie jestem cię wart./ To każ mi iść”.

Zawsze lubiłem muzykę sentymentalną. Taki byłem. Gdybym musiał wybrać jeden utwór ze wszystkiego, co stworzono, byłaby to „Serenada” Schuberta.

A co najpiękniejszego pan widział w życiu?

– Pieniny. I Góry Dynarskie w Chorwacji. Ale to Pieniny były dla mnie odkryciem pięknym. W 1938 r. byłem na kolonii w Krościenku. Przełom Dunajca, potem jakiś szczyt. Spojrzałem w dół, doznałem lęku wysokości, ale patrzyłem.

Jakie jeszcze wspomnienia dzisiaj do pana wracają?

– Skrzydelka anielskie. We freblówce, czyli przedszkolu, mąż kierowniczkiszykował z nami przedstawienie „Jaś i Małgosia”. W scenie, kiedy śpią, śnią im się aniołki, które są w bieli i machają skrzydłkami, i ja byłem jednym z tych aniołków.

Wyszędłem, zobaczyłem zrobione na scenie granatowe niebo, księżyc w nowiu, i z wrażenia przestałem tymi skrzydłkami ruszać, pan był na mnie strasznie zły. Co ciekawe, w filmie „Brzdąc” Chaplin czeka na chłopca, którego gra kilkuletni Jackie Coogan, i też śnią mu się aniołki, które ruszają skrzydłami, ale nagle policjant go budzi: tu nie wolno spać! Ale ja tego filmu unikam, jest nazbyt cikliwy, a w jednej scenie Chaplin kładzie się z chłopcem spać i całuje go w usta.

Ale pozostaje pan fanem Chaplina?

– Był największym twórcą w historii kina, dwa jego filmy, „Dzisiejsze czasy” i „Światła wielkiego miasta”, o niewidomej dziewczynie, to wielkie dzieła.

Pierwszy raz w kinie byłem chyba w 1929 r. na filmie „Skrzydłata flota”. Z babcią ze strony mamy, tą z Warszawy. Babcia chciała zobaczyć Ramóna Novarro i nie wypadało jej pójść samej. Novarro był w tym filmie pilotem, latał. Oczywiście wszystko kręcone w studiu.

A polscy aktorzy, których się przed wojną lubiło, to Dymśa, Bodo, Ćwiklińska, no i Bogda i Brodzisz, czyli Maria Bogda i Adam Brodzisz, o których radiowa Wesoła Lwowska Fala mówiła: „I znowu ta Bogda i znowu ten Brodzisz./ O, filmie polski, ty na

psy schodzisz”. Grali bohaterskie role, ona to zawsze była ta piękna Polka...

Pan się przyczynił do powstania „Rękopisu znalezionego w Saragossie” Wojciecha Jerzego Hasa.

– „Rękopis” to się podoba bardziej innym, na całym świecie. Jest w czołówce moje nazwisko, bo pisałem do Zenona Kliszki, który nie chciał dać na ten film pieniędzy, a po mojej eksplikacji dał – 18 mln zł. Byłem wtedy zastępcą kierownika literackiego w zespole Kamera, Stawiński kręcił coś własnego. Napisałem w eksplikacji, że „Rękopis” przedstawią światopogląd laicki, dowód: tłumaczył to z francuskiego naczelny mikiewiczowskiej „Trybuny Ludów” w Paryżu, Edmund Chojecki. Pamiętam, że Has zaczął ten film z jakimś aktorem francuskim, ale mu się nie spodobał i wziął Cybulskiego. Jednak dla mnie „Śmierć prezydenta” Kawalerowicza to najlepszy polski film.

A które filmy pan lubił na podstawie swojej prozy?

– „Prawo i pięść” Hoffmana i Skórzewskiego, „Kwiecień” Lesiewicza i „Krzyż Walecznych”, czyli film Kutza złożony z moich nowel: „Krzyż Walecznych”, „Kłopot z psem” i „Wdowa po Joczysie”, nagrodzony jako najlepszy film roku.

Od początku byłem zdania, że aby pokazać, co nas czeka na Ziemiach Odzyskanych, nasze zdobycie Zachodu, powinniśmy pomyśleć o westernie. W Ameryce mieli w westernach prawdziwych gwiazdorów: Yul Brynner, Steve McQueen („Siedmiu wspaniałych”), Robert Mitchum, John Wayne, Henry Fonda, Kirk Douglas, Clint Eastwood. Gdy Jane Fonda, która grała też kowbojki, wyszła za Rogera Vadima, miałem do niej pretensje, podobala mi się. Była tak podobna do ojca, że mówiłem: „Henry zaczyna się upodabniać do swojej córki”.

Dla nas wyprawa na Zachód to zdobycie ziemi, którą trzeba nie tyle orać, ile bronić przed tymi, którzy chcą kraść, szabrować, rabować. Czy to w „Prawie i pięści” grał takiego obrońcę Gucio Holoubek? Tak, to on właśnie grał.

Tak, i tam była ta piękna piosenka „Nim wstanie dzień”, śpiewana przez Edmunda Fettinga z muzyką Komedy.

– Tak, słowa są Osieckiej, mnie się też podobała. Ale nie przez ten film poznałem Holoubka, tylko parę lat wcześniej, w Rzymie, podczas olimpiady. Żeby wyjechać na olimpiadę z wycieczką Sports-Touristu, trzeba było mieć jakąś protekcję, by dostać się na listę. O mnie wystarał się tygodnik „Świat”, byli tam też Maciek Ślomszyński i Holo-

ubek. Bardzo się ze Ślomszyńskim gorszyliśmy, że Holoubek, zamiast zwiedzać Rzym, nic, tylko ogląda boks.

A gdy Krzyszkowiak biegł po złoty medal na 3 km z przeszkodami, to na trybunach pojawił się Gregory Peck z piękną kobietą. Krzyszkowiak biegnie, a publiczność, która znała już „Rzymskie wakacje”, zaczęła krzyczeć: „Gregory cza-cza-cza”. I Holoubek pobiegł w jego kierunku, ja mówię: „Czego ty tak biegiesz, może jesteś lepszym aktorem niż on”.

Mieliśmy dobre relacje z Guciem. Opowiadał w Czytelniku anegdoty, dowcipy, np. taki: jest pogrzeb, ktoś wygląda przez okno, za konduktem idzie samotny człowiek, i ten z okna: „Co, żona?”. „Nie, teściowa”. „Też dobrze”. Żydowskie dowcipy przedwojenne też opowiadał – i wszyscy się śmieli, a ja nie zawsze.

PO CO MNIE URODZIŁAŚ!

Czegoś pan z życia żałuje?

– Wielu rzeczy. Czasem myślę, że nieładnie postąpiłem, że chcąc nie chcąc krzywdziłem kogoś. To przypomina opowiadanie Karela Čapka „Zamach” z tomu „Opowieści z różnych kieszeni”. Facet siedzi w gabinecie i nagle przez okno pada w jego kierunku strzał, ale go nie trafia. Przychodzi inspektor policji i mówi: „Ktoś chciał pana zabić”. Ten facet: „Ale kto, ja nie mam wrogów”. A potem, już samotny, sobie przypomina: ten sąsiad z lewej jest czegoś na mnie zły, może to on? Tamtemu coś chlapnąłem nieładnego o żonie. Tamtego zwymyślałem. I tak przypomina sobie chyba 12 osób, które mogłyby chcieć go zabić. Idzie do tego inspektora i mówi: panie, dajmy spokój, człowiek nawet nie wie, ilu ludzi skrzywdził. Genialny Čapek. Czytałem go po rosyjsku w „Mieżdunarodnoj Literaturie” w czasie wojny.

Kiedy był pan bliski śmierci?

– Najbliżej, gdy mnie zmobilizowali do Armii Czerwonej i w styczniu 1942 r. mieliśmy iść do ataku, byłem cekaemistą, ale w ostatniej chwili Stalin wycofał z frontu bieżerców, uchodźców. Stalin mnie wyratował, bo to była rzeź, zginął prawie cały mój oddział. Ale ja wtedy nie myślałem o śmierci, myślałem, że trzeba wrócić do mamy, do ojca.

Śniła mi się nie tak dawno mama, byliśmy w tym śnie na froncie w Rosji, podawała mi jajecznicę. Myślę sobie w tym śnie: ależ głupi byłem, taki byłem głodny, a wystarczyło powiedzieć mamie i byłaby jajecznicą. Bo czasem, bez snu, wołałem: „Ma-

mo, po co mnie urodziłaś!”. W mrozie, leżąc w nocy na śniegu, nade mną Wielka Niedźwiedzica – uczył nas znajdować ją kapral Mysiak na przysposobieniu wojskowym. Wie pani, jakie miał powiedzenie? „Tu nie ma ojca, nie ma matki, ja wasz ojciec, ja wasza matka, kurwa wasza mać!”. On nie czuł komizmu tego, co do nas mówi.

Ładne te sny pan ma.

– Niektóre bardzo realistyczne. Przecho-dzę przez ulicę, wchodzę do sklepu, kupuję coś, budzę się i myślę: byłem w sklepie czy nie. Śnią mi się wytworzone postaci, np. ojciec Giny, w której się kochałem przed wojną. A ja go przecież nie znałem, oni zginęli. We śnie jej ojciec ma ze 40 lat i mówi: „Ona jest tam”. A Gina do mnie: „Czytałam twoją książkę, to nie tak było”.

Kiedy pan się zetknął ze śmiercią pierwszy raz?

– Dziadek z Radzyna leżał u nas na podłodze, miałem ze cztery lata. Ubrany już do pogrzebu. Piękny mężczyzna. Przyjecha-li po niego wozem z końmi, konie czarne, z czarnym płótnem zamiast siodła. Dziadka się nie bałem, to było naturalne, ale poza tym bałem się trupów. U nas na drugim piętrze, a myśmy mieszkali na trzecim, mieszkał technik dentystyczny, który zmarł. Wi-działem z balkonu, przez okno, jak leżał martwy, i bałem się przechodzić koło jego drzwi.

Wierzący – trzeba im to wybaczyć – wyobrażają sobie piekło i niebo. Niektórzy boją się piekła, bo narozrabiali i trzeba będzie odpowiadać. W „Królewskich snach” napisałem rozmowę Jogajły z umierającym Witoldem, który pyta, czy po drugiej stronie nie ma nic. Jagiello do niego, że może trafi do nieba i będzie jak bańka powietrzna. A Witold, że marne takie istnienie bez ciała. I mówi: „Najbardziej żal, że już się nią nie nacieszę”. „Koroną?”. „Jaką koroną? Swoją nową piękną dziewczyną”. Jogajla pyta: czy to miłość? A Witold: „Tak, najprawdziwsza, kupiłem ją od jej rodziców, dużo zapłaciłem”.

To nie umieranie, to życie.

– Montaigne napisał, że śmierć to naturalna sprawa, patrzy na nią, wydałoby się, obojętnie. Ale dla niego to także pożegnanie z kubkiem, z którego pił wodę, z psem, koniem, książką i wieloma rzeczami, do których jest przywiązany.

Boi się pan?

– To nie jest strach. Boję się zapomnienia, chociaż na razie zapominam jakieś nazwiska, ale i pani pewnie zapomina?

Panie Józefie, częściej niż pan.

– Więc nie myślę o tym umieraniu. To coś do myślenia dla moich dzieci i wnuków. Wiem, że wiecznie żyć nie będę, chociaż chciałbym, żeby koniec nie sprawił im bólu. Mam dobrze, dzieci mnie kochają, nie muszą mówić, ja to czuję. Te chwile ostatnie są całkiem niezłe.

A potem?

– Moja Rena – przecież niewierząca – mówiła: „A wiesz, Stanisław August powinien powitać cię z czułością. I Boy. Będziesz miał dobre powitanie”. Chciała powiedzieć, że coś mi się udało.

A pan na kogo chciałby trafić?

– Na Tadeusza Różewicza i Ksawerego Pruszyńskiego. Różewicz, gdy dzwonił po raz ostatni, źle się czuł, więc mówię: „Chciałbym, żebyś szybko wrócił do zdrowia, życzę ci tego”, a on: „I ja sobie też tego życzę, bo chciałbym z tobą jeszcze porozmawiać”.

Na stulecie jego urodzin poproszono mnie, żebym wybrał jeden jego wiersz. Wybrałem „Na ścięcie drzewa” – o tym, że drzewo nie może uciec przed nami, drżą liście, nie ma gdzie się schronić, uciec przed toporem. Piękny wiersz.

Wiersz o panu zamykał słowami: „Hej!

Józek kupmy se koturny/ a potem...

marsz marsz/ do urny...”.

– To było trochę zabawne. Mnie jest obojętne, co to będzie, to sprawa moich dzieci. A grób już mam.

Z panią Reną.

– Gdy moje dzieci, Maciek i Madzia, zobaczyły go pierwszy raz, powiedziały: piękny. Na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Obok leży Jerzy Stefan Stawiński, napis na płycie: scenarzysta. U nas, na sterczącej tablicy jest tylko wyryty pokrętny ślad pisma, kilka szlaczków. A na leżącej tablicy duży napis: „Irena Hen, 1922-2010, ur. w Nawarii koło Lwowa”. Poprosiłem, żeby u mnie było: „ur. na Nowolipiu w Warszawie”.

Ale na razie żyję. ●

*Józef Hen

• ur. 8 listopada 1923 r., pisarz, scenarzysta. Autor powieści, opowiadań, wspomnień. Wydał m.in.: „Nowolipie”, „Najpiękniejsze lata”, „Nikt nie woła”, „Mój przyjaciel król. Opowieść o Stanisławie Augustie”, „Ja, Michał z Montaigne...”, „Błazen – wielki mąż”, „Nie boję się bezsennych nocy”, „Dziennik na nowy wiek”, „Ja, deprawator”, „Bez strachu”



NIE TYLKO JAN PAWEŁ II WIEDZIAŁ

Śledztwo Overbeeka wyjaśnia, dlaczego tuszowanie przestępstw na nieletnich w polskim Kościele było możliwe na tak wielką skalę.

SPOTKANIE ONLINE Z EKKE OVERBEEKIEM

21.03 (WTOREK) / GODZ. 17.30

FACEBOOK WYBORCZEJ



Wydawnictwo
Agora



LIVE

Daniel Craig to nie tylko Bond – w filmie „Opór” gra Tewje Bielskiego, przywódcę żydowskiej partyzantki. W jednej ze scen partyzanci pojmują niemieckiego żołnierza, wokół którego zaczyna się gromadzić tłum kryjących się w lesie kobiet, mężczyzn i dzieci. Ofiary otaczają kogoś, kto jest symbolem całego cierpienia, którego doświadczyli. Zaczyna się lincz. Tewje rozważa powstrzymanie tłumy, jednak pozwala zatłuc Niemca. Rozumie, że w jakimś wymiarze ci ludzie potrzebują brutalnego odplacenia za krzywdy, których doświadczyli.

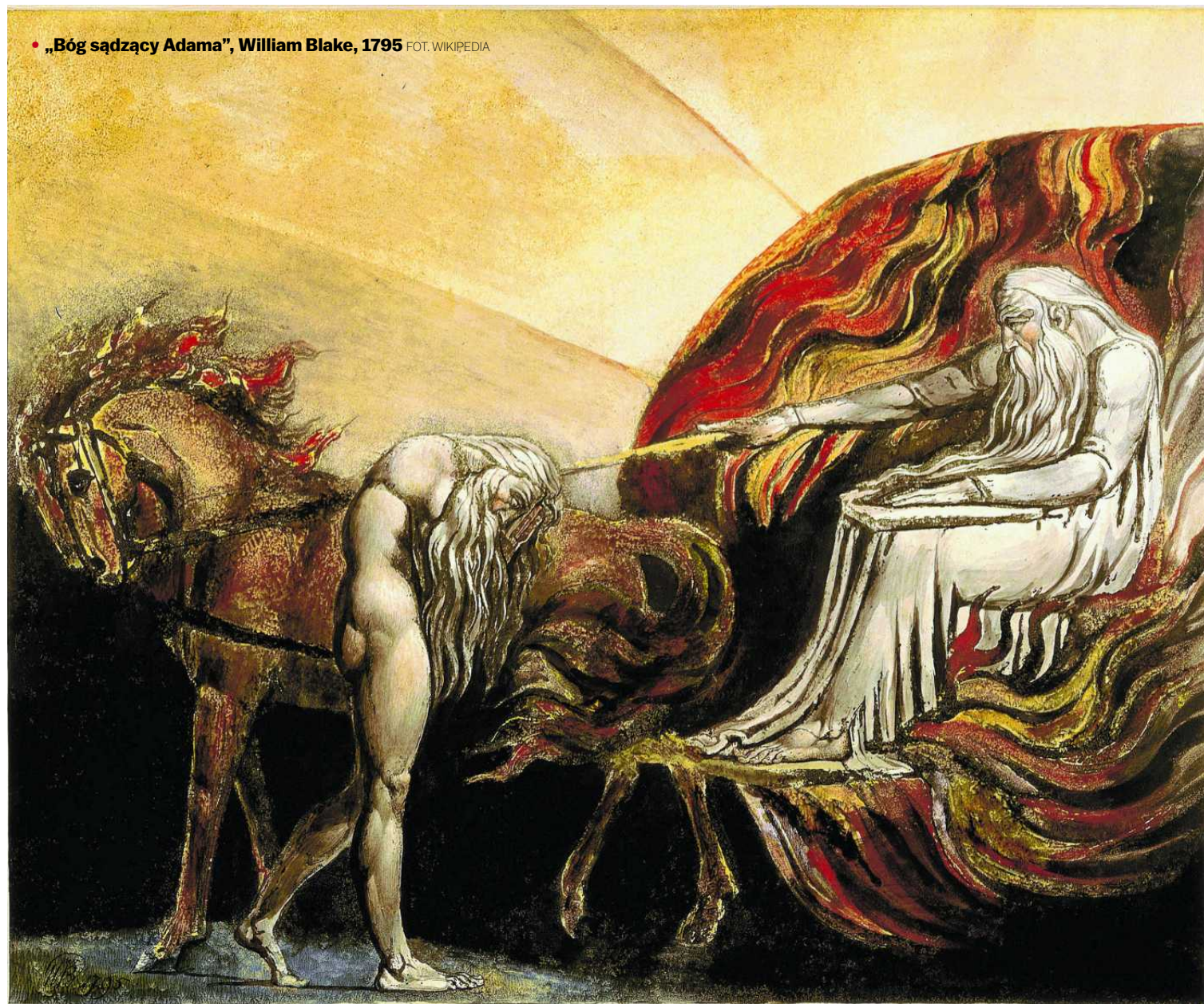
Ta scena porusza, bo gra na skonfliktowanych uczuciach. To, co w nas racjonalne, nie chce na lincz pozwolić. Dostrzega w nim szaleństwo nienawiści, wybuch emocji naruszający zasady, którym nasza cywilizacja chce być wierna. Z drugiej strony rozumiemy tych ludzi – jak Tewje. Wiemy, czego doświadczyli, czujemy, że jakiś inny wymiar sprawiedliwości czyni ten atak furii zasadnym.

Czy ten zatłuczony chłopak zasłużył na taką karę? Czynił zło – brał udział w przedsiewzięciu, ewidentnie niemoralnym. Czy zatłuczenie go było współmierne do tego, co zrobił? Nie – furia linczu ma w sobie eksces wynikający z niekontrolowanych emocji. Karany jest traktowany jako reprezentant zła większego od siebie. Stąd dostaje więcej niż to, na co zasłużył. Ta różnica między karą zasłużoną a niezasłużoną to różnica między prawdziwą sprawiedliwością a niesprawiedliwością. Tej różnicy przeciwdziałać ma nowożytna tradycja osądzania ludzi za zło, którego się dopuścili.

To, co dzieje się w sprawie Wojtyły, jest strukturalnie podobne do sceny z „Oporu”. Narastające grzechy Kościoła zbudowały napięcie sięgające zenitu: sojusz z tronem, narzucanie przekonań siłą, wrogość wobec odmienności, tuszowanie pedofilii. Ludzie mają dość. A tu okazuje się, że lider tego Kościoła dopuścił się moralnego zła – zamiast bezwzględnie działać w sprawie księży pedofilów, stosował półśrodki, które nie dbały wystarczająco ani o przeszłe, ani o przyszłe ofiary.

I tłum zaczyna wymierzać sprawiedliwość, a Wojtyła właściwie staje się potworem. Czy może liczyć na sprawiedliwy osąd? Czy też jak bohater grany przez Craiga powinniśmy pozwolić go zatłuc? Gdy publikowałem kiedyś na YouTube film: „Czy adwokat powinien bronić pedofila?”, nie przypuszczałem, że będzie trzeba nakręcić drugą część: „Czy adwokat powinien bronić papieża?”.

Wojtyła nie reagował na informacje o pedofilii tak, jak powinien człowiek o moralności najwyższej, i było to zło o potencjalnie porażających skutkach. Nie ma tu żadnego „ale”, jeśli chodzi o czyn: mógł zrobić dużo więcej. Pomijam tu ważne wątpliwości co do faktów, które w obronie Wojtyły można podnieść, i wątpliwości co do ocen, np. to, czy skierowanie ukaranego już księdza pedofila do pracy przy



• „Bóg sądzący Adama”, William Blake, 1795 FOT. WIKIPEDIA

Adwokat w sprawie papieża

A JEDNAK TRZYMAŁ GŁOWĘ NAD WODĄ

To zło zostało popełnione przez kogoś, kto – jak każdy z nas – czynił też dobro. Jak je zważyć?

Marcin Matczak

przepisywaniu ksiąg jest dopuszczalne moralnie.

Jednak to zło zostało popełnione przez kogoś, kto – jak każdy z nas – czynił też dobro. Jak je zważyć? Czy da się oddzielić sąd nad czynem od sądu nad człowiekiem? Jak dotąd się nie udaje i dlatego ten sąd przypomina lincz. Oczywiście w przypadku Wojtyły chodzi o odpowiedzialność moralną, nie prawną. Ta pierwsza wymaga więcej, ale problem sprawiedliwego osądu jest podobny. Ten sam jest również problem linczu: nie pozwala racjonalnie ocenić, czy odpłata nie przekracza miary. Gdy przekracza, pozwala potencjalnym okrutnikom na upust emocji. A chodzi o to, by sądzić bardziej jak sędzia, nie jak okrutnik.

Sprawiedliwy sędzia opiera się na przesłaniu Solżenicyna: „Linia podziału między dobrem a złem przecina serce każdego człowieka. W trakcie życia linia ta ulega prze-

sunięciom, to ustępując wstecz przed rozpierającym się radośnie złem, to zostawiając więcej pola światającemu dobru”. Nikt nie jest więc ani całkowicie zły, ani całkowicie dobry – złe lub dobre mogą być czyny.

Okrutnik i sensat nie chce osądzić zła, ale wykorzystać je, by zniszczyć człowieka. Jego wizja świata jest czarno-biała: dokonane zło czyni sprawcę całkowicie złym, bez szansy na odkupienie, i potwierdza zło wszystkiego, co sprawca sobą reprezentuje. Z tego okrutnik czerpie przyjemność. Okrutnie osądzał Waleś PiS: zły czyn (podpisana lojalka, współpraca ze służbami – abstrahując od tego, czy to zarzuty prawdziwe, bo dla okrutników to nie ma znaczenia) był powodem do otwierania szampana. Oni już wcześniej uważali Waleśa za człowieka złego i zwalcza- li wszystko, co sobą firmował.

Odkryte zło tylko potwierdzało przyjętą wcześniej tezę.

Okrutnie i sensacyjnie osądza- ją zwolennicy kultury „woke”. Jedno zdanie pozwala całkowicie potępić człowieka, np. J.K. Rowling, bez względu na to, jak wiele dobra uczynił. Kwalifikuje się go do grupy „transfobów”, „opresorów”, „toksycznych mężczyzn” i karze za realne zło, które wyrządziły transfobia, opresja czy macyzm. To odpowiedzialność zbiorowa, która ma w sobie coś z paniki moralnej, znanej z procesów czarownic. Czarownica była winna temu, że reprezentuje zło absolutne. To zło emanowało przez nią, a jej ukaranie było w rzeczywistości walką z tym, co rzekomo reprezentowała.

Zły czyn jest jak znamię, które kwalifikuje sprawcę do znienawidzonej grupy, a ona musi być jednolicie zła. Nie ma tu miejsca na światłocień, bo zbiorowa niena-

wieść wobec innej grupy pełni swą funkcję, gdy oczernia absolutnie. Tylko wtedy może wybielać absolutnie grupę własną.

Tak jak ludzie zwalczający Waleśa zwalczają zło, które ich zdaniem za nim stoi, tak ludzie zwalczający papieża zwalczają nie tylko jego, ale też zło, które ich zdaniem reprezentował. Tym złem jest dla nich katolicyzm. A ponieważ nie odróżniają człowieka od zła, potępią i człowieka, i katolicyzm całkowicie.

Zatem wali taki Dehnel papaja metaforycznym bejsbolem, odpłacając za realne cierpienia, których doznał od katolickiej bigoterii, i mocno czuje, że robi słusznie. Bo oto wyszło na jego – to nie on jest nienormalny, to katole, to nie on odstaje od normy, to oni. I można Dehnela zrozumieć, jak można zrozumieć ludzi z filmu „Opór”. Ale to, że można ich zrozumieć, nie ozna-

cza, że trzeba im na lincz pozwolić.

Sprawiedliwy osąd nie pozwala, by jednostka rozplynęła się w grupie, której nienawidzimy. Żeby kara była jak wybuch gniewu, w którym zdesperowany człowiek odpłaca jednej osobie za ból sprawiony przez wielu. A lincz jest formą zbiorowego gniewu ludzi, którzy skupiają na kimś konkretnym sumę wszystkich swoich cierpień.

To błąd, którego cała nowożytna tradycja sąđenja chce uniknąć. Przecież pod osądem, w którym jeden zły czyn przekreśla wszystko, nikt by się nie ostał. Gdyby każde zło, które popełniamy, oznaczało potępienie na zawsze, wszyscy bylibyśmy potępieni. To jest sedno filozofii chrześcijańskiej: zło może zostać odkupione. I nie chodzi tu o wymiar religijny, ale ludzki. O szansę na zmianę swojego życia, o to, żeby zło nie było końcem wszystkiego.

Sądzenie okrutne nie zna jednak idei wybaczenia, która nie oznacza przecież zapomnienia czy ukrywania zła. Zna za to poczucie moralnej wyższości i pełne satysfakcji oburzenie. Żeby było jasne – najczęściej okrutnie oceniają ci, którzy błędnie mienią się chrześcijanami. Stać nas jednak na więcej.

Nie chodzi więc o to, czy Wojtyła uczynił w swoim życiu jakieś zło. To oczywiste nawet bez przedstawionych dowodów – był człowiekiem. Pytanie brzmi: czy zły czyn przekreśla wszystko, co zrobił. Czy oskarżający widzą różnicę między naiwnością Wojtyły, jego błędnym osądem, niewystarczającą wrażliwością a sytuacją, w której on sam dokonałby czynu pedofilskiego?

Wątpię. Dla wielu ludzi każde zło dyskwalifikuje tak samo, bo tylko potwierdza dyskwalifikację, której dokonali wcześniej. Bo gdy zwalczasz to, co uznajesz za złe – religię, macyzm, homofobię, historię „Solidarności” – jedynie, czego potrzebujesz, to pretekst, by to coś przekreślić. I każde zło, bez względu na rozmiar, jest do tego wystarczające.

Sprawiedliwy proces ma potępić czyn, ale nie przekreślić człowieka. Stąd art. 53 kodeksu karnego zawiera dyrektywy wymiaru kary, które balansują między indywidualną winą i społeczną szkodliwością, między wychowaniem sprawcy a kształtowaniem „świadomości prawnej społeczeństwa”.

Dla wielu okrutnie osądzających te dyrektywy są niezrozumiałe. Piosenkarka prowadzi po pijanemu, a sąd bierze pod uwagę „właściwości osobiste sprawcy” i „sposób życia przed popełnieniem przestępstwa”. Ludzie kpią: „Ładnie śpiewała, więc dostanie niższy wyrok”.

Tak samo kpią z Wojtyły. Przykładem jest post Matki Niepolki, który spotkał się z ogromnym poparciem w mediach społecznościowych. Zawiera on pozornie spójną linię argumentacji:

„Obserwuję moralne zagubienie wśród niektórych katolików, więc postanowiłam wyciągnąć do Was rękę i pomóc Wam odróżnić kilka rzeczy. Na przykład zło od dobra. Otóż, jeśli ktoś zimą dokarmia sikorki, wyrzuca śmieci, a sąsiadom mówi zawsze »dzień dobry«, pięknie mówi o miłości do bliźniego, pisze liczne encykliki na

jej temat, robi sobie uroczyste zdjęcia z dziećmi, lubi kremówki i śpiewa Barkę, ale przy okazji również tuszuje pedofilię, jest potworem”.

Abstrahując od retorycznego upupiania Wojtyły (udział w obaleniu komunizmu, praca na rzecz ekumeniczności i potępienie win Kościoła to nie karmienie sikorek) – Matka Niepolka przedstawia klasyczne podejście sprawiedliwości tłum: nie ma takiej sumy dobra, która byłaby przeciwwagą dla dokonanego zła. Matka przekreśla argument: „Pamiętajmy, co dobrego również zrobił” – bo „NIC nie wyrównuje najokrutniejszej zbrodni na dziecku. NIC”.

Dla niej i tłum zło nie podlega miarkowaniu, więc papież jest pedofilem, a nawet pedofilem podniesionym do potęgi. Autorka pisze o argumentach, których „nie stosujemy, żeby bronić potwora” i „katów dzieci”. Między Wojtyłą, katem dzieci, a drapieżcą seksualnym internetowy vox populi nie dostrzega więc różnicy. Bo tłum ma moralną wadę wzroku: w jednym oku ślepotą, żadnego dobra nie widzi, w drugim oku lupa, każde zło powiększa.

Nie jest też argumentem to, że „jest martwy, więc się nie może bronić”, przy czym Wojtyła zostaje tu zestawiony ze Stalinem. Osądzając go trzeba, podkreśla Matka, bo elementem naszej cywilizacji jest „odróżnianie potworów od ludzi godnych szacunku”.

Ale jest również zaprzeczeniem naszej cywilizacji, by oskarżony nie mógł się bronić, a osądzanie ahistoryczne jest błędem poznawczym. Pozwala łatwo poczuć się lepszym, np. od takich potworów jak Thomas Jefferson czy Benjamin Franklin, którzy mieli niewolników.

Jak mówi prof. Maria Beisert, seksuolożka, w latach 70. Wojtyła mógł nie wiedzieć o tym, jak pułkoszy życie dziecka czyn pedofilski i że pozbycie się skłonności do pedofilii jest właściwie niemożliwe, bo nie wiedziała tego wtedy seksuologia. Stąd zarzut, że nie skupił się na ofiarach i że przenosił sprawców, jest słabszy niż współcześnie. Jeśli moralnie traktował przestępstwo pedofilskie jak seksualny występki księdza wobec osoby dorosłej, kontakt z ofiarami mógł wydawać mu się nieoczywisty, tak jak nie wydaje się oczywisty kontakt kardynała z każdą kobietą, z którą seksu dopuścił się ksiądz. A w przypadku Wojtyły sprawa osobistej relacji do pedofilii jest jeszcze bardziej złożona – wskazuje na to kłamra materiału TVN dotycząca Sapiehy, z której wrażliwy człowiek aż boi się wyciągnąć wnioski.

A jednak osąd tłum jest inny. Matka Niepolka: „Rzucimy kamieniem w każdy pomnik, dopóki nie runie. Bo nie godzi się stawiać pomników oprawcom najmłodszym”. A więc jednak jest tak, jak głosi tytuł Jasia Kapeli: „Jan Paweł II gwałcił małe dzieci”.

Powyższy post to nie wyjątek. Nazywanie Wojtyły „bestią z Wadowic” z memu staje się obecnie określeniem poważnym (niestety, „Krytyka Polityczna”...). Porównajmy to z podejściem Anny Karoń-Ostrowskiej, wychowanki papieża. Wojtyła otwarcie zarzuca zło: milczenie, brak reakcji. Ale jednocześnie widzi go jako człowieka, nie reprezentanta nienawidzonej grupy. Dlatego pyta: czy działania przeciwdziałające pedofilii w Koś-

ciele, które podjął w latach 80., są okolicznością łagodzącą? Czy to było jego „staranie o naprawienie szkody lub zadośćuczynienie w innej formie społecznemu poczuciu sprawiedliwości”? Takie pytania dla tłum nie mają znaczenia.

Wojtyła nie ma immunitetu – może i powinien być oceniany. PiS-owski Rejtan w obronie jego czci i zmasowany atak homiliami w TVP są równie dziecinne, jak tytuł Jasia Kapeli. Ale Wojtyła powinien być chroniony przed okrutnym, niewspółmiernym atakiem tłum i osądzany za swoje chwilowe zaślepienie moralne. Nie pedofilie, nie gwałt. To zaślepienie musi być rozpatrywane jako element całego jego życia, które na pewno nie było złe. Nie może być pretekstem dla upustu czyichś, nawet uzasadnionych, frustracji.

Zwłaszcza że wiele z tych frustracji nie ma związku z czynami Wojtyły, lecz z jego poglądami: na etykę seksualną i antykoncepcję, aborcję czy teologię wyzwolenia. Choć dla wielu ludzi te poglądy są karygodne jak przestępstwa i może bardziej niż reakcja Wojtyły na pedofilię dyskwalifikują jego życie, nie tworzymy świata, w którym potępiamy ludzi za to, co myślą, nie za to, co robią. Bo z doświadczenia wiadomo, że to bardzo zły świat jest.

Są jeszcze dwa problemy: systemowość i świętość. Wojtyła nie był szeregowcem jak ten załuczony przez partyzantów Niemiec. Był generałem generałów, głową Kościoła, człowiekiem, któ-



Czarownica była winna temu, że reprezentuje zło absolutne. To zło emanowało przez nią, a jej ukaranie było w rzeczywistości walką z tym, co rzekomo reprezentowała

Gdyby każde zło, które popełniamy, oznaczało potępienie na zawsze, wszyscy bylibyśmy potępieni

Jest zaprzeczeniem naszej cywilizacji, by oskarżony nie mógł się bronić, a osądzanie ahistoryczne jest błędem poznawczym. Pozwala łatwo poczuć się lepszym

rego ten Kościół uznał za świętego. Dla wielu niewspółmierną reakcją uzasadnia to, że pedofilia jest tuszowana w Kościele systemowo i że papieża otacza kult.

Akurat dla zwalczania systemowego krycia pedofilii Wojtyła w czasie pontyfikatu zrobił sporo. A oczekiwanie, by w każdym momencie życia wspinał się na wyżyny roztropności i brał odpowiedzialność za wszystko, co nadzorował, jest bardzo wyśrubowane. Asertywnie reagować na zło i przewidywać wszystkie jego konsekwencje to nie umiejętność oczywista, ale wybitna moralnie. Pokazuje to niedawny proces Nelsa Hoegla, niemieckiego pielęgniara, który zabijał pacjentów. Mimo podejrzeń był przenoszony z kliniki do kliniki, a przełożeni wystawiali mu rekomendacje. Na początku XXI wieku podejrzewany o zabijanie, nie molestowanie był przenoszony, mimo że dalej zabijał. Przeniesiony przez Wojtyłę Sądus, o ile wiadomo, dalej nie molestował. To możliwe przy tzw. pedofilii zastępczej. Nie chodzi o what aboutism. Po prostu oczekiwanie, by przełożeni odpowiadali moralnie za skutki działań swych podwładnych, nie jest oczywistością, ale wyśrubowanym standardem.

Co do świętości – święty to dla krytykujących człowiek bez skazy. A świętość to nie idealność. Gdyby tak było, nie byliby świętymi ani Piotr (zdradził Jezusa), ani Paweł (wcześniej Szawel), ani Augustyn (w młodości rozpustnik). Świętość to sygnał, że danego człowieka warto naśladować – nie dlatego, że był idealny, ale dlatego, że dobro, które czynił, zdecydowanie zbalansowało zło. Że był osobą, której zmaganie się z demonami w świecie i w sobie zakończyło się zwycięstwem.

Alergia na kult to emocja niska. Argument, że trzeba uwypuklać winę Jana Pawła II, żeby zwalczać wszechobecne jego uwielbienie, jest przekorą, robieniem na złość „prostaczkom”. To, jak bardzo Wojtyła był wielbiony, nie ma wpływu na jego winę ani na jej skutki. A jego kult nie jest kultem zła, ale kultem dobra, które czynił.

Jakie są konsekwencje ekscesu odpłaty, instrumentalnego potępienia jednostki, by zaatakować ideę, która za nią stoi? Ci, którym ta idea jest bliska, czują okrucieństwo tego ekscesu. Uznają osąd, który pomija to, co było dobre, za niesprawiedliwy, bo widzą, że kryje się za nim coś więcej – tak samo w przypadku Wałęsy i Wojtyły. I trochę tak jest. Okrutne sąđenje ukrywa w sobie jakąś nowoczesną formę kozła ofiarnego. Ofiarę składa się tu z jednostki, która odpowiada za rzeczywistość i wyimaginowane grzechy zbiorowości.

I to jest problem większy, niż zazwyczaj się dostrzega. Bo jeśli osądenie papieża jest okrutne i sensoryjne, to znaczy, że w części jest ono zemstą na tym, co papież reprezentuje. Druga strona to widzi i dlatego protestuje niby nie na temat „Atak na papieża jest atakiem na Kościół, na polskość itd.”. Choć często ta narracja jest kłamliwa, jak w przypadku posła, który każdy atak na siebie uważał za atak na polskie rolnictwo, tu ma nieco więcej sensu. A PiS to czuje i wykorzystuje.

Jak pisze Karen Stenner, konserwatyści gorzej znoszą ataki na

swoje autorytety niż liberalowie. Liberalny obraz świata po prostu nie jest tak czarno-biały. Konserwatyści mocniej utożsamiają się ze swoimi idolami, a tym samym boleśniej odczuwają atak na nich, odbierając go jako atak na własną tożsamość. A skoro atak odbierają jako bardziej bolesny, bronią się przed nim bardziej agresywnie.

Zaatakowani konserwatyści zwierają szeregi i są bardziej podatni na straszenie, że oto świat się wali. Wtedy poparcie dla populistów rośnie. Ataki na Jana Pawła II mogą więc przynieść trzecie zwycięstwo PiS. Nie jest to najważniejszy powód, dla którego Wojtyłę należy oceniać sprawiedliwie, ale ten proces trzeba rozumieć.

Czy zatem nie należy ujawniać prawdy, bo kogoś to dotknie albo pozwoli to zbić polityczny kapitał? Nie. Pytanie, jak to robić, aby zbliżyć się do osądu sprawiedliwego. Na pewno oskarżający nie może pominąć tego, co w życiu oskarżanego było dobre, bo wtedy ułatwia zarzut, że to, co robi, to sąđenje okrutne, nie sprawiedliwe.

Moralność tłum to odwrotność źródłowej moralności chrześcijańskiej. Dla tłum jeden zły czyn przekreśla wszystkie dobre, dla założyciela chrześcijaństwa jeden czyn dobry przekreślał wszystkie złe. Przykładem jest św. Dykma, dobry łotr, który niezrozumiałym dla wielu rzutem na taśmę przeszedł na jasną stronę mocy. Bo prawdziwa moralność chrześcijańska zło traktuje śmiertelnie poważnie. I wie, że życie idealne nie istnieje – niewiarygodnym osiągnięciem jest już takie, w którym dobra było o wiele więcej niż zła.

Życie papieża nie było idealne, bo żadne nie jest. Ale nie zasługuje na potępienie. Dla wielu z nas było życiem, z którego można czerpać inspirację i nadal takie będzie. I nie ma w tym żadnej hipokryzji ani samooszukiwania się.

Lubię sobie wyobrażać Solżenicynową linię między dobrem a złem nie kardiologicznie, ale hydrologicznie. Nie jako linię przecinającą serce każdego człowieka, ale jako linię wody. Indywidualne życie jest jak pokonanie tej wody wpływ, utrzymanie się ponad nią. Zło obciąża i zanurza, dobro jest jak oddech, który pozwala trzymać głowę nad powierzchnią. Jest taka suma zła, która zatapia. Jest taka suma dobra, która pozwala dopłynąć do celu. Wojtyła dopłynął, i to w całkiem niezłym stylu. I nie zmienia tego fakt, że był pod wodą częściej, niż nam się wydawało. ●

„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”. Nowa książka Marcina Matczaka już w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



NASI UKRAIŃCY

Musimy przywyknąć, że ze śpiewnym akcentem będą mówili lekarz, adwokat, urzędnik w gminie i nasz szef

Witold Gadomski

W latach 2015-16 do Europy przybyło około 2,5 miliona uchodźców, głównie z Syrii, co wywołało napięcia w wielu krajach i było uznane za sytuację kryzysową. Do Polski nie zawitali, a mimo to muzułmańskimi uchodźcami straszyl Kaczyński w kampanii wyborczej 2015 r. W 2015 i 2016 r. wnioski o azyl w 28 krajach UE oraz w Szwajcarii i Norwegii złożyło 1,3 mln ludzi. Wielu polityków martwiło się, że Europa nie udźwignie kosztów napływu imigrantów i że zwiększa on poparcie dla ugrupowań skrajnych.

Kryzys uchodźczy spowodowany wojną jest znacznie dotkliwszy. Po ataku Rosji 24 lutego 2022 r. w ciągu niespełna miesiąca Ukrainę opuściło 3 mln osób. Skala exodusu jest niespotykana od czasów II wojny światowej.

Według danych Straży Granicznej w 2022 r. przez granicę polsko-ukraińską przeszło prawie 8,1 mln Ukraińców. 6,2 mln do Ukrainy powróciło. Z pozostałych 1,9 mln część przeniosła się do innych krajów Unii, a około 1,5 mln znalazło w Polsce stałe miejsce zamieszkania.

Polska przyjęła więcej ukraińskich uchodźców niż jakikolwiek inny kraj i na razie nie wywołało to większych napięć. Według portalu Agencji ds. Uchodźców ONZ w lutym 2023 r. w Polsce przebywa 1563 tys. uchodźców z Ukrainy, 1055 tys. w Niemczech, 487 tys. w Czechach, 169 tys. we Włoszech, 161 tys. w Hiszpanii, 158 tys. w Wielkiej Brytanii, 119 tys. we Francji, 109 tys. w Rumunii, w Mołdawii 109 tys., 108 tys. na Słowacji.

CI SOLIDNI PRACOWNICY I SĄSIEDZI

Polskę Ukraińcy wybierali z trzech powodów. Jesteśmy krajem najbliższym i mamy najdłuższą wspólną granicę, podobne są języki i mentalność (starsze pokolenie w Polsce uczyło się w szkołach rosyjskiego, którym mówi większość Ukraińców, a dla dużej części to wciąż pierwszy język). I powód najważniejszy – jesz-

cze przed wojną ponad 1 mln obywateli i obywateli Ukrainy szukało w naszym kraju pracy, nauki i lepszego życia. A istniejąca w danym państwie sieć migrantów zawsze przyciąga kolejne fale.

Napływ imigrantów zmienił wrogość nastawienie Polaków do uchodźców, które ujawniło się podczas fali imigrantów z Syrii w latach 2015-16. Według ankiety Ipsos przeprowadzonej w kwietniu i maju 2022 r. (wyniki podaje Transition Report sporządzony przez Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju) pozytywne nastawienie do imigrantów wzrosło o 19 pkt proc. w porównaniu z 2021 r. Odsetek Polaków popierających prawo do szukania schronienia w innym kraju wzrósł z 66 do 85 proc.

Pozytywne nastawienie Polaków – nawet jeśli badania pokazują rosnące w naszym kraju zmęczenie tą sytuacją – wynika nie tylko z jednoznacznego potępienia rosyjskiej agresji, niezależnie od opcji politycznych. Ukraińców pracujących w Polsce od lat poznaliśmy i zaakceptowaliśmy jako solidnych pracowników i sąsiadów.

Polskie państwo wydało do końca 2022 r. 18 mld zł na pomoc ukraińskim uchodźcom. W sumie tej są wypłaty świadczeń, organizacja edukacji dla ukraińskich dzieci, zapewnienie opieki zdrowotnej. To wszystko otrzymują na równi z obywatelami Polski.

W rzeczywistości Polacy wydali na pomoc znacznie więcej, ponieważ setki tysięcy rodzin uczestniczy w akcjach humanitarnych, od jednorazowych darowizn i zbiorów niezbędnych artykułów po długoterminowy wynajem mieszkań lub pokoi we własnych domach.

POLSKA ZATRUDNIA WIĘCEJ UKRAIŃCÓW NIŻ NIEMCY

O tym, kim są przybysze z Ukrainy, wiemy z badań kilku instytucji publicznych i prywatnych.

Według EBOiR 71 proc. ukraińskich uchodźców w Polsce to kobiety, a mediana wieku wszystkich uchodźców to zaledwie 22 lata. To znaczy, że połowa przybyszów ma mniej niż 22 lata, a połowa więcej. Częściowym wyjaśnieniem tego jest zakaz opuszczania kraju przez Ukraińców w wieku od 18 do 60 lat. Dekret prezydenta Ukrainy w tej sprawie wprowadził jedynie nieliczne wyjątki od tej regu-

ły, np. zezwolił na wyjazd ojcom przynajmniej trójki dzieci w wieku poniżej 18 lat.

Zgodnie z ustawą o pomocy obywatelom Ukrainy osoby, które przekroczyły granicę, mogą legalnie przebywać w Polsce 18 miesięcy, pod warunkiem że wjechały (nie wcześniej niż 24 lutego) w związku z konfliktem zbrojnym na terenie Ukrainy i deklarują zamiar pozostania w Polsce. Zresztą, choć Ukraina nie jest członkiem UE, uchodźcy mają prawo podejmować pracę we wszystkich krajach Wspólnoty. To duża zmiana w stosunku do reakcji Europy na falę uchodźców z Syrii, którzy nie otrzymali łatwego dostępu do rynku pracy. Także nasi rodacy już po wejściu Polski do Unii musieli kilka lat czekać na możliwość podjęcia legalnej pracy w większości krajów Wspólnoty.

Na początku lutego minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg poinformowała, że od początku wojny około 900 tys. uchodźców zostało zatrudnionych na uproszczonych zasadach. Zatrudnienie u nas znalazło niemal sześciokrotnie więcej uchodźców, niż miało to miejsce w Niemczech.

To jednak nie znaczy, że przybyło nam tylu pracowników. Sprawa jest bardziej skomplikowana. Według danych resortu w 2022 r. zmniejszyła się o 140 tys. liczba zezwoleń na pracę dla cudzoziemców. Łączna liczba różnych pozwoleń dla migrantów zarobkowych spadła do 2,2 mln wobec niemal 2,6 mln rok wcześniej. To efekt wyjazdu z Polski ukraińskich mężczyzn, których objął pobór.

Do 30 czerwca 2022 r. zatrudnionych było około 32 proc. uchodźczyń z Ukrainy. Wskaźnik zatrudnienia mężczyzn był wyższy (61 proc.), ale stanowili znacznie mniejszą grupę (około 65 tys.) w wartościach bezwzględnych. Co więcej, sześć na dziesięć kobiet przyjechało do Polski z dziećmi, co ograniczyło im możliwość pracy. Niemniej wskaźniki mężczyzn i kobiet stale rosły, co świadczy o dużym postępie integracji uchodźców.

DO POLSKI UCIEKAJĄ WYKSZTAŁCONE KOBIETY

W kwietniu i maju 2022 r. oddziały okręgowe NBP przeprowadziły badanie na próbie 3165 dorosłych uchodźców z Ukrainy. Ankietowane były osoby spotykane w urzędach oraz miejscach zbiorowe-

go zakwaterowania w 16 miastach wojewódzkich.

Badanie potwierdza to, co wiemy z innych raportów. Uchodźcy to przede wszystkim kobiety, z których ponad 60 proc. przyjechało razem z dziećmi, najczęściej z jednym lub dwoma. Prawie 24 proc. kobiet przyjechało samotnie. To głównie osoby poniżej 29. i powyżej 60. roku życia. Znaczna przeważka kobiet sprawiła, że najczęściej podejmowały pracę poniżej wykształcenia i kwalifikacji. Główny problem stanowi bariera językowa, która utrudnia im znalezienie pracy zgodnej z kompetencjami, a więc lepiej płatnej.

50 proc. uchodźców ma wyższe wykształcenie, co jest poziomem znacznie wyższym niż średnia w Ukrainie.

Według danych Państwowej Służby Statystycznej Ukrainy w 2021 r. 30 proc. Ukraińców powyżej 25. roku życia miało wykształcenie nie niższe niż odpowiednik naszego licencjatu. Może to sugerować, że na emigrację najczęściej decydowały się osoby o wyższym od średniego statusie intelektualnym, a zapewne też materialnym. Szukają pracy wymagającej wyższych kwalifikacji, co nie jest łatwe bez płynnej znajomości polskiego. W naszym interesie jest, by Ukraińcy podejmowali pracę zgodnie z kwalifikacjami. W ten sposób mogą bardziej partycypować w tworzeniu polskiego PKB.

Przybywszom trzeba zapewnić dobre warunki adaptacji, szanując ich narodowość, kulturę i religijną odrębność. Jesteśmy już przyzwyczajeni, że sprzedawczynie mówią z wyraźnym wschodnim akcentem, że na budowach równie często słychać język polski co ukraiński. Wiele rodzin z klasy średniej i wyższej korzysta z usług Ukrainek sprzątających w ich domach. Wkrótce przywyknemy, że ze śpiewnym akcentem będą mówili lekarz, adwokat, urzędnik w gminie i urząd skarbowy, a także nasz szef. Polska przestanie być (już przestaje) etnicznie jednolita. Zresztą ta jednolitość to w polskiej historii epizod trwający kilkadziesiąt lat.

Zdecydowana większość przybyszów pracowała lub szukała pracy wcześniej w swoim kraju. Jedynie ok. 5 proc. nie było aktywne zawodowo (nie pracowało i nie szukało pracy), a blisko 9 proc. pracy w Ukrainie szukało. Najłatwiej pracę w Polsce znaleźli informatycy, budowlańcy i pracujący w hotelach i restauracjach. Według firmy OTTO Work Central Europe, zajmującej się pośrednictwem

18 mld

• polskie państwo wydało do końca 2022 r. na pomoc ukraińskim uchodźcom. W sumie tej są wypłaty świadczeń, organizacja edukacji dla ukraińskich dzieci, zapewnienie opieki zdrowotnej. To wszystko otrzymują na równi z obywatelami Polski.

8,1 mln

• Ukraińców przeszło w 2022 r. przez granicę polsko-ukraińską. 6,2 mln do Ukrainy powróciło. Z pozostałych 1,9 mln część przeniosła się do innych krajów Unii, a około 1,5 mln znalazło w Polsce stałe miejsce zamieszkania.

pracy, 59 proc. wskazało, że w 2022 r. łatwo im było znaleźć pracę w Polsce – to spadek w porównaniu z 2021 r., kiedy to aż 75 proc. deklarowało tę łatwość.

Dwie trzecie zapewnia, że zamierza pozostać w Polsce nie dłużej niż rok. Pozostaniem na stałe częściej zainteresowani są mężczyźni oraz ludzie młodzi. Kobiecy, zwłaszcza samotne z dziećmi, chciałyby wrócić do domów jak najszybciej.

Chęć powrotu częściej deklarują też osoby z wyższym wykształceniem, którym może być trudno znaleźć w Polsce satysfakcjonującą pracę w zawodzie, zapewniającą utrzymanie siebie i rodziny na przyzwoitym poziomie. Co ciekawe, osoby pracujące w Ukrainie w służbie zdrowia częściej deklarowały chęć pozostania tu na stałe.

Tylko ok. 5 proc. zamierza wyjechać z Polski do innego kraju. Zapewne ci, którzy traktowali nasz kraj jako przystanek, już znaleźli miejsce poza Polską. Dotyczy to m.in. informatyków, z których wielu zna biegle język angielski, a rzadziej polski.

Wśród osób zdecydowanych na wyjazd do innego kraju niemal trzy czwarte badanych wskazało Niemcy. Holandię wybrało 34 proc., a kraje skandynawskie 27 proc. Spośród tych, którzy zamierzają pozostać w Polsce dłużej, największą grupę stanowią wysoko wykwalifikowani specjaliści (22 proc.), pracownicy sektora usług (16 proc.), pracownicy fizyczni i technicy (14 proc.), nauczyciele i pracownicy sektora edukacji (12 proc.) oraz pracownicy sprzedaży i handlu (10 proc.).

FRYZJERKI, INFORMATYCZKI I PRZEDSIĘBIORCZYNIĘ INTERNETOWE

Ukraińcy w Polsce są nie tylko pracownikami, ale też pracodawcami i przedsiębiorcami. Według danych Polskiego Instytutu Ekonomicznego między styczniem a wrześniem 2022 r. powstało w Polsce 3,6 tys. spółek z kapitałem ukraińskim oraz 10,2 tys. jednoosobowych działalności gospodarczych założonych przez obywateli Ukrainy. 75 proc. badanych firm otworzyło działalność, żeby pozyskać środki dla siebie i rodziny. Jednocześnie 66 proc. z nich deklaruje kontynuację działalności w Polsce niezależnie od sytuacji w Ukrainie.

Liczba zakładanych przez obywateli Ukrainy jednoosobowych działalności gospodarczych w 2022 r. rosła lawinowo z miesiąca na miesiąc. Największy skok nastąpił w pierwszych tygodniach po wybuchu wojny – w kwietniu 2022 r. takich firm było już 4,5 razy więcej niż w styczniu. We wrześniu – 2,6 razy więcej niż w kwietniu. Wśród branż dominuje budownictwo (24 proc.), informacja i komunikacja (16 proc.) i usługi (14 proc.).

Często firmy ukraińskie – w związku z wojną – relokowały swój biznes do Polski i pozostawały w branży, w której funkcjonowały w Ukrainie. W przypadku załamania łańcuchów dostaw firmy musiały przebudowywać je w Polsce.

Warto odnotować, że właścicielkami 41 proc. ukraińskich jednoosobowych działalności gospodarczych są kobiety. Przedsiębiorstwa kobiet działały przede wszystkim w branżach: pozostała działalność usługowa (31 proc.), informacja i komunikacja (11 proc.) oraz handel (11 proc.). W ramach „pozostałej działalności” aż 89 proc. firm zajmowało się fryzjerstwem i zabiegami kosmetycznymi. W branży informacyjno-komunikacyjnej kobiety najczęściej zakładały firmy związane z oprogramowaniem, w handlu – ze sprzedażą detaliczną wysyłkową i internetową.

Mężczyźni przede wszystkim zakładali jednoosobową działalność związaną z budownictwem (38 proc.), informacją i komunikacją (19 proc.) oraz transportem i gospodarką magazynową (10 proc.). Z informacji Polsko-Ukraińskiej Izby Gospodarczej wynika, że większość kadry w ukraińskich firmach przyjeżdżała do Polski wraz z tymi firmami z Ukrainy. Innych rekrutowano na miejscu, głównie spośród ukraińskich studentów, których jest obecnie aż 34,7 tys. (wliczając w to osoby, które przyjechały do Polski przed 24 lutego 2022 r.), lub wśród małżeństw mieszanych polsko-ukraińskich. Ale według PISM na niektóre stanowiska Ukraińcy wolą zatrudniać Polaków niż Ukraińców. Chodzi głównie o działy obsługi klienta i handlowe, gdzie zatrudnienie Polaków pomaga uniknąć bariery językowej.

KUPUJĄ MIESZKANIA, NAKRĘCAJĄ HANDEL

Pod koniec listopada 2022 r. BIK, firma analizująca rynek bankowy, podała, że kredyty zaciągnięte przez Ukraińców w polskich bankach stanowiły szacunkowo 0,8 proc. całego ich portfela kredytowego i są warte 6,34 mld zł – czterokrotnie więcej niż w 2018 r. Dane obejmują także Ukraińców, którzy byli w Polsce przed wojną. Ponad trzy czwarte ukraińskich kredytów to kredyty mieszkaniowe, a 18 proc. kredyty gotówkowe.

Napływ uchodźców wsparły popyt wewnętrzny i zakupy detaliczne. Z danych GUS wynika, że w marcu 2022 r. sprzedaż tekstyliów, odzieży i obuwia wzrosła o 41,9 proc. w porównaniu z 2021 r., a w kwietniu aż o 121,4 proc. Miało to pewien (zapewne niewielki) wpływ na wyższą inflację, ale pracujący przybylsze z Ukrainy tworzą wspólne bogactwo, a także wzbogacają podatkami budżet państwa i kasę ZUS.

Około 30 proc. uchodźców przekazuje pomoc rzeczową lub finansową rodzinie lub organizacji humanitarnej w Ukrainie. Dlatego rosną przepływy pieniężne z Polski. W III kwartale 2022 r. pracujący imigranci wysłali za granicę 6,9 mld zł. Transfery do Ukrainy wyniosły 4,8 mld zł i stanowiły 69,3 proc. wszystkich środków.

401 NAUCZYCIELI ZASILIŁO POLSKIE SZKOŁY

Prawie 47 proc. uchodźców to dzieci poniżej 18. roku życia. Dużym wyzwaniem jest

ich integracja z systemem szkolnym i zapewnienie im lekcji języka. Według opracowania GUS „Oświata i wychowanie w roku szkolnym 2021/2022” w polskich szkołach kształciło się w końcu czerwca 182,5 tys. ukraińskich dzieci, z czego 78,6 proc. w miastach. Najliczniejszą grupą byli uczniowie podstawówek (64,1 proc. ogółu uczniów uchodźców) i przedszkolaki (27,4 proc.). Uczniowie szkół ponadpodstawowych to 8,3 proc. wszystkich uczniów z Ukrainy. Co piąty uczeń uczęszczał do oddziału przygotowawczego ze względu na brak znajomości języka polskiego lub problemy adaptacyjne związane ze zmianą środowiska. Najwięcej uchodźców uczuło się w szkołach w województwach: mazowieckim (18,4 proc.), śląskim (11,2 proc.) oraz dolnośląskim i wielkopolskim (po 10,4 proc.). Zatrudnienie w polskich szkołach podjęło 401 nauczycieli z Ukrainy, w tym 393 kobiety.

W miastach pracę rozpoczęło 81,8 proc. spośród wszystkich nauczycieli ukraińskich szukających azylu. 45,1 proc. otrzymało etaty w szkołach podstawowych, 19,2 proc. w zespolach szkół i placówek oświatowych, a 14 proc. w szkołach ponadpodstawowych.

Problemy dzieci i młodzieży z Ukrainy pokazuje raport Centrum Edukacji Obywatelskiej „Wyzwania i potrzeby związane z napływem uczniów z Ukrainy”. Zdarzają się w szkołach przypadki konfliktów między uczniami polskimi i ukraińskimi, choć mają charakter incydentalny i postrzegane są raczej jako „zwyczajne” procesy zachodzące między młodymi ludźmi, nie w kontekście narodowościowym. Niemniej pojawiają się w wypowiedziach polskich uczniów i rodziców nieprzychylnie uwagi, a niektórym nauczycielom brakuje umiejętności rozpoznawania i rozwiązywania konfliktów na tle etnicznym.

Jednym z najpoważniejszych problemów jest brak wsparcia psychologiczno-pedagogicznego ukraińskich uczniów. Przydatna byłaby instytucja asystenta międzykulturowego; w nielicznych szkołach są tacy, ale zatrudniani dzięki organizacjom pozarządowym, a nie systemowym decyzjom Ministerstwa Edukacji. Dominuje przekonanie o podobieństwie kultur polskiej i ukraińskiej, ale wielu nauczycieli nie dostrzega istotnych różnic. Do jednego z warszawskich przedszkoli przyjęto dwójce dzieci z Ukrainy. Były w różnym wieku, ale przydzielono je do tej samej grupy, by mogły się wzajemnie wspierać. Okazało się jednak, że jedno dziecko mówi tylko po ukraińsku, a drugie tylko po rosyjsku.

Badani przez ekspertów CEO ukraińscy uczniowie podkreślali liczne różnice na poziomie kultury szkoły. Próby edukacji międzykulturowej w szkołach często sprowadzają się do dni kuchni ukraińskiej al-

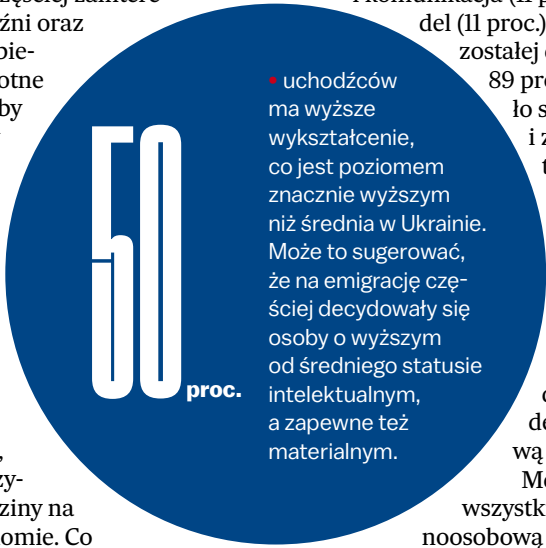
bo incydentalnego podejmowania tematu na lekcjach geografii czy przyrody. Działa to też w drugą stronę – poza nauczaniem zintegrowanym Ukraińcy nie mają w szkole wielu okazji do poznawania kultury polskiej.

NIE OBSTAWAJMY ZA NADZWYCZAJ SZYBKĄ AKCESJĄ

Otwartym pytaniem jest, jak napływ uchodźców zmieni polskie społeczeństwo i politykę. Niektórzy politycy, zwłaszcza prawicowi, z satysfakcją mówią, że Polska dzięki imigrantom, z których część przyjmie obywatelstwo, a ich dzieci staną się Polakami, będzie 40-milionowym krajem, jednym z najsilniejszych militarnie w Europie. Wojna zmusza bowiem Polskę do przyspieszonych zbrojeń. Ba, pojawiają się pomysły unii polsko-ukraińskiej nawiązującej do jagiellońskich tradycji. Nie uwzględniają one stosunkowo słabego potencjału gospodarczego i politycznego Polski, a także ambicji samych Ukraińców, których większość widzi swój kraj w Unii Europejskiej, a nie w unii z Polską.

Trzeba się też liczyć z ewolucją nastrojów w społeczeństwie. Badania przeprowadzane m.in. przez Sławomira Sierakowskiego i Przemysława Sadurę „Polacy za Ukrainą, ale przeciw Ukraińcom” sporządzone jesienią 2022 r. pokazują, że w społeczeństwie narasta niepokój o utratę pierwszeństwa w dostępie do świadczeń i usług publicznych na rzecz przybyszów. Panuje przekonanie, że uchodźcy są wspierani zbyt hojnie, nie będą chcieli wrócić do swojego kraju, przeciążą i tak niewydolne systemy usług publicznych. Takie nastroje, jeśli będą się masowo ujawniały, mogą spowodować negatywną reakcję Ukraińców. W stosunku do gości w trudnej i przymusowej sytuacji konieczna jest delikatność. To samo odnosi się do relacji między Polską i Ukrainą. Politycy nie powinni naszego wschodniego sąsiada traktować protekcjonalnie, ale też nie powinni obstawać za nadzwyczajnym trybem akcesji Ukrainy w nadziei, że zmieni to w Brukseli układ sił na naszą korzyść.

Wiele rzeczy może nas jeszcze zaskoczyć, niekoniecznie pozytywnie. Nie zapominać o tym, że w 1920 r. ukraińscy i polscy żołnierze walczyli z bolszewikami ramię w ramię, a kilkanaście lat później konflikt ukraińsko-polski okazał się nie do przezwyciężenia. ●



N A S Z A E U R O P A

The New York Times:

„MAŁA ROSJA”
KWITNIE NAD ZATOKĄ PERSKĄ

W ekskluzywnych dzielnicach i bombastycznych centrach handlowych największego miasta Zjednoczonych Emiratów Arabskich zamożni Rosjanie mogą budować nowe życie, i to bez konieczności zrywania więzi z ojczyzną. „Sankcje dobiją Rosję? Stąd widać, że nieprędko” – mówią.

Anton Troianowski

Na sztucznej wyspie u wybrzeży Zatoki Perskiej Dima Tutkow czuje się bezpiecznie. Nie ma tu antyrosyjskich postaw, o których wie, że są powszechne w Europie. W przeciwieństwie do tego, co widział w Los Angeles, na ulicach nie ma dziur ani bezdomnych. I nawet gdy jego agencja reklamowa działająca w Rosji przynosi mu nadal duże zyski, nie musi się już martwić, że zostanie powołany do armii, która wysłała go na front w Ukrainie.

„W Dubaju jest znacznie bardziej swobodnie, pod każdym względem”, mówi Dima, ubrany w designerską koszulkę, siedząc w kawiarni, którą właśnie otworzył w arabskim mieście, posławszy dzieci do tutejszej brytyjskiej szkoły. „Jesteśmy tu niezależni od Rosji i tego, co się tam teraz dzieje – i to jest kluczowe” – dodaje.

Mija rok nakładania bezprecedensowo ostrych sankcji Zachodu na Rosję za jej napasę na Ukrainę, a bogaci Rosjanie są nadal bogaci. W Dubaju, największym mieście Zjednoczonych Emiratów Arabskich, znaleźli swoją wojenną przystań.

Miliarderzy i klasa średnia

Na nadmorskich bulwarach, w luksusowych centrach handlowych i w willowych zaułkach język rosyjski staje się tu nowym lingua franca. Oligarchowie spędzają tu coraz więcej czasu, więc restauratorzy z Moskwy i Petersburga ścigają się, by otworzyć tu swoje lokale. Przedsiębiorcy tacy jak Tutkow prowadzą z Dubaju swoje rosyjskie firmy i otwierają nowe.

Nowa rosyjska diaspora w Dubaju obejmuje zarówno miliarderów, którzy zostali ukarani sankcjami, jak i personel techniczny, menedżerów niższego szczebla czy co bardziej rzutkich przedstawicieli klasy średniej, którzy uciekli przed mobilizacją zarządzaną przez Władimira Putina. Ale wszyscy do pewnego stopnia mają te same powody, aby być w Emiratach: ten kraj utrzymał bezpośrednie loty do Rosji, zajął „neutralną” pozycję wobec wojny w Ukrainie i, jak zaznaczają moi rozmówcy, nie wykazuje żadnej wrogości wobec Rosjan.

„Po co robić interesy w miejscu, w którym nie jesteś mile widziany?” – pyta Tamara Bigajewa, która niedawno otworzyła w Dubaju dwupiętrowy salon kosmetyczny



• Widok na Dubaj z Palm Tower FOT. REUTERS/CHRISTOPHER PIKE

i już ma zastępy stałych klientów. „Wolę być tu, skoro w Europie wyraźnie nas nie chcą”.

Rzeczywiście, główną atrakcją Dubaju jest to, że jest „apolityczny”, jak zaznaczają Rosjanie, którzy się tam osiedlili. W przeciwieństwie do Europy Zachodniej nie ma tam ukraińskich flag wywieszanych publicznie i żadnych wieców solidarności z bombardowanymi Ukraińcami. Wojna wydaje się odległa, a nawet jeśli jest tu ktoś, kto żywi antyrosyjskie uczucia, prawdopodobnie i tak zachowa je dla siebie – jakiegokolwiek publiczne demonstracje poglądów politycznych w tej autorytarnej monarchii są de facto nielegalne, a wolność zgromadzeń bardzo mocno ograniczona.

Masowa obecność zamożnych Rosjan w Dubaju w czasie, gdy są oni w dużej mierze odcięci od Zachodu, to element taktyki, dzięki której Putinowi udało się utrzymać umowę społeczną będącą kluczem do jego poparcia w kraju: w zamian za lojalność wybrani Rosjanie mogą nadal się szybko bogacić.

Politolożka Ekaterina Schulmann dodaje, że Putin wręcz sygnalizuje „swoim”, że jest gotów usunąć jeszcze więcej przeszkód stojących na ich drodze do pomnażania majątków. Na przykład niedawno uchwalona ustawa zwalnia parlamentarzystów i ich rodziny z obowiązku podawania do publicznej wiadomości swoich dochodów i aktywów.

„Kreml mówi im: tak, nasze działania odcięły was od tzw. pierwszego świata, ale wynagrodzimy wam to gdzie indziej” – tak Schulmann tłumaczy przeformułowanie kontraktu Putina z rosyjską elitą. „Po pierwsze, jest wiele innych krajów, które są Rosji przyjazne. Po drugie, będziecie mieli mnóstwo okazji, by jeszcze bardziej i równie nieprzejrzyste się wzbogacić, a my nie będziemy już ścigać was za korupcję”.

Putin oficjalnie: „Wracajcie do ojczyzny”. Tak naprawdę Kreml pozwala elitom na wiele

Publicznie Putin wzywa rosyjskie elity do przeniesienia swojego życia i inwestycji do Rosji. Ale zamożni Rosjanie, którzy już przenieśli się do Dubaju, mają na siebie inne pomysły.

„Dla nas wszystkich jest to wyspa bezpieczeństwa, przynajmniej na pewien czas” – mówi Anatolij Kamienskich, biznesmen z branży obrotu nieruchomościami, który chwali się, że jego firma sprzedawała w zeszłym roku w Dubaju domy i mieszkania o wartości 300 mln dol. – większość obywatelom Rosji. „Každy próbuje teraz bezpiecznie zaparkować swoje aktywa”.

Należąca do niego firma deweloperska Sobha Realty świętowała napędzany przez Rosjan boom na rynku nieruchomości w Dubaju, ustawiając miniaturową kopię soboru Wasyla Błogosławionego z placu Czerwonego i rozsypując sztuczny śnieg wokół swojego biura sprzedaży. Najbardziej znana na świecie sztuczna wyspa usypiana dla luksusowych osiedli, Palm Jumeirah, jest pełna rosyjskich restauracji i nocnych klubów. W środową noc w ubiegłym tygodniu widziałem, jak goście jednego z nich zamawiali kolejne butelki szampana Dom Pérignon o wartości 1,2 tys. dol. każda, które tańczący kelnerzy dostarczali im z zapalonymi minifajerwerkami. Kiedy jeden z podpitych gości nagle krzyknął: „Chwała Ukrainie!”, został szybko usunięty przez ochronę.

Bo w Dubaju jest też sporo Ukraińców. „Ma się wrażenie, że ci Rosjanie tutaj chowają głowę w piasek” – mówi Dmytro Koteleniec, ukraiński producent programów rozrywkowych, który wraz z rodziną przeniósł się do Dubaju. „Albo nie chcą zauważać, co się dzieje między Rosją a Ukrainą, albo wychodzą z założenia, że to niczego nie zmienia”.

W swoim przemówieniu o stanie państwa w zeszłym miesiącu Putin wzywał bogatych Rosjan do „bycia z ojczyzną” i sprowadzenia swoich aktywów do kraju, a nie postrzegania Rosji „po prostu jako źródła dochodów” zarządzanych z zagranicy.

Prawda jednak jest taka, że wielu rosyjskich bogaczy po prostu przenosi całe swoje życie do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, które – podobnie jak reszta Bliskiego Wschodu – odmówiły przyłączenia się do sankcji Zachodu wobec Moskwy. „Jestem w Dubaju, robię chill out. Tak, jestem bogata i nie ukrywam tego” – głosi tekst piosenki, która obecnie jest hitem nr 1 w Rosji według Apple Music.

1 mln obywateli, 9 mln ekspatów

Emiraty zamieszkuje około 10 mln ludzi, z czego tylko około 1 mln to obywatele tego kraju. Reszta to ekspatrianci, w tym miliony Hindusów i Pakistańczyków oraz mniejsza liczba Europejczyków i Amerykanów.

Analiza lotów pasażerskich przeprowadzona przez „NYT” wiosną ubiegłego roku wykazała, że Emiraty stały się głównym celem prywatnych samolotów z Rosji w tygodniach po inwazji, która rozpoczęła się 24 lutego. Wszystko wskazuje, że od tego czasu atrakcyjność tego kraju dla Rosjan tylko wzrosła. Rosyjskie oficjalne statystyki pokazują, że 1,2 mln Rosjan odbyło podróż do Emiratów w ubiegłym roku, podczas gdy przed pandemią, w 2019 r., – 1 mln. Wielu z tych ludzi zapuściło tu korzenie: Rosjanie byli na czele listy nierezydentów kupujących nieruchomości w Dubaju w 2022 r. – podaje Betterhomes, pośrednik tej branży w Dubaju.

Ta fala dzieli się na kilka grup. Po pierwsze, są potentaci. Andriej Mielniczenko, miliarder z branży węglowej i nawozowej, przeniósł się do Emiratów w zeszłym roku, gdy sankcje zmusiły go do porzucenia domu w Szwajcarii. W zeszłym miesiącu w cichym lobby ekskluzywnego hotelu spotkałem innego rosyjskiego biznesmena wciągniętego na czarną listę, który przyjechał do miasta, by urządzić swoje urodzinowe przyjęcie.

Rosyjscy urzędnicy różnych szczebli i ich rodziny to kolejna grupa, choć starają się nie zwracać na siebie przesadnej uwagi. Nie bez powodu: niedawno w północno-zachodnim regionie Rosji kremlowska partia Jedna Rosja wyrzuciła ze swoich szeregów dwóch lokalnych urzędników, gdy pochwalili się swoim pobytem w Dubaju w mediach społecznościowych. Jeden z nich, jak donosili rosyjscy dziennikarze, spędzał tam wakacje z Ksenią Szojgu, córką rosyjskiego ministra obrony.

Sankcje zniszczą rosyjską gospodarkę? „To iluzja”

Ścieżki członków rosyjskich elit często krzyżują się w Angel Cakes, kawiarni, którą Dima Tutkow, moskiewski przedsiębiorca z branży reklamowej, otworzył na sztucznej wyspie zwanej Bluewaters, w cieniu

NASZA EUROPA

najwyższego na świecie diabelskiego młyna. Jeden z częstych gości lokalu, były prezes dużej rosyjskiej firmy, zażartował: „Dubaj staje się rosyjską enklawą”.

Tutkow nazywa iluzją pogląd, że sankcje zniszczą rosyjską gospodarkę. Jego agencja reklamowa, jak mówi, czerpie rekordowe zyski, ponieważ korporacje spoza świata zachodniego próbują wypełnić próżnię pozostawioną przez firmy zachodnie, które wycofały się z Rosji. Wśród jego klientów jest m.in. Haier, chiński producent sprzętu AGD, który właśnie wchodzi na wielki rynek do tej pory zdominowany przez bardziej uznane marki.

Sankcje nakładane na rosyjski system finansowy również nie okazały się przeszkodą. Latem ubiegłego roku rubel osiągnął historyczne maksimum w stosunku do dolara, a Tutkow skorzystał z dobrego kursu za pośrednictwem tych rosyjskich banków, które nie zostały objęte sankcjami, i przeniósł dużą część swojego kapitału do Dubaju. „Wymienialiśmy ruble na dolary i przelewaliśmy je na lokalne depozyty” – powiedział i dodał: „Uzyskiwaliśmy kolosalną nadwyżkę zysków, rozumiesz? Wszyscy to robili”.

Tutkow i jego rodzina zamierzali spędzić tegoroczne lato w Moskwie. Ale po mobilizacji ogłoszonej przez Kreml jesienią nie jest już pewien, czy dobrym pomysłem jest powrót do kraju nawet na chwilę. „To teraz kolosalne ryzyko” – mówi 39-letni biznesmen. „Nie ma pewności, czy nie odbiorą ci paszportu i nie posła w kamasze czy coś w tym rodzaju...”.

Rosyjska diaspora obejmuje również znacznie mniej zamożnych, wśród których są ludzie ze świata sztuki, z branży IT i pracownicy zachodnich firm, które przeniosły swoje moskiewskie biura do Dubaju.

Dmitri Bałakiriew, który pracował w branży technologicznej na Uralu, opuścił Rosję, ponieważ, jak powiedział, sprzeciwiał się wojnie, a wybrał Dubaj, bo znalazł tu miasto z wcześniejszych pobytów dzięki bezpośrednim połączeniom lotniczym z jego miasta. Bałakiriew postanowił założyć tu agencję nieruchomości. Oceniał, że bezpośrednio loty do Rosji prawdopodobnie zostaną utrzymane, co pozwoli mu na kontakty z krewnymi. Widzi, że Emiraty to miejsce, w którym można dobrze zarobić i ułożyć sobie nowe życie.

Rząd Emiratów utrzymuje, że banki w kraju przestrzegają wszystkich zasad związanych z amerykańskimi sankcjami. Faktycznie, wielu rosyjskich emigrantów mówi, że najtrudniejsze w przeprowadzce do Dubaju jest otwarcie konta bankowego – co trwa nawet miesiącami ze względu na rygorystyczne procedury sprawdzające.

„Jest wielu Rosjan, którzy nie są objęci sankcjami i są zainteresowani bezpiecznymi przystaniami” – mówił pod koniec zeszłego roku Anwar Gargash, doradca prezydenta Emiratów. Wśród tych, którzy znaleźli taką przystań w Dubaju w zeszłym roku, jest rosyjska gwiazda pop Daria Zotiejewa, wokalistka, która wykonuje wspomniany wyżej aktualny hit nr 1 Rosji. Mieszka teraz na niedokończonym luksusowym osiedlu na pustyni, ale w miejscu, z którego nocą widać oświetlony Burdż Chalifa, najwyższy wieżowiec świata.

Spotkaliśmy się na rozmowę na lawce w parku. Zotiejewa powiedziała: „Aby tworzyć muzykę, trzeba być w dobrym nastroju. A Dubaj jest słonecznym miejscem, gdzie wojna nie ma na ciebie wpływu”.

Przy czym odmawia zajęcia stanowiska w sprawie wojny, którą nazywa „całą tą sytuacją”. „Nie chcę zrażać do siebie mojej publiczności, za to chcę zarabiać pieniądze” – powiedziała, tłumacząc swoje milczenie. „Bo to są naprawdę duże pieniądze”. ●

Współpraca:
Vivian Nereim (Rijad) i Alina Lobzina (Londyn)
tłum. Łukasz Grzymiśławski
Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.
Artykuł ukazał się pierwotnie w „The New York Times”. ©2022 The New York Times Company

20. ROCZNICA INWAZJI NA IRAK

Kto płacze po Saddampie

To budujące, że jest w nas głęboko zakorzeniona potrzeba naprawiania zła. Ale czasem lekarstwo jest gorsze od choroby.



Robert Stefanicki

Dwukrotnie myliłem się co do Iraku. Najpierw do ostatniej chwili nie wierzyłem, że rząd George’a W. Busha zdecyduje się odpalić wycelowaną w Bagdad strzelbę. Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że straszenie bronią masowego rażenia ukrywaną rzekomo przez Saddama Husajna to humbug, ale i tak wojna wydawała mi się absurda. W lutym 2003 r. pojechałem do irackiego Kurdystanu napisać kilka reportaży – i niespodziewanie zostałem tam dwa miesiące.

Drugi raz pomyliłem się, gdy wyszło na jaw, jak amerykańscy żołnierze upokarzali Irakijczyków, żywych i martwych, w więzieniu Abu Ghraib pod Bagdadem. Na jednym ze zdjęć widać leżącego na ziemi nagiego mężczyznę, którego żołnierka ciągnie jak psa na smyczy. Na innym Amerykanin, wykrzywiając usta w szyderczym uśmiechu, kłęczy nad zwłokami więźnia, unosząc zaciśniętą dłoń z kciukiem podniesionym do góry. W pierwszym odruchu uznałem to za jednostkowe wynaturzenie zdemoralizowanych żołdaków. Jednak zdjęcia obiegły świat i ostatecznie to one, a nawet bardziej niż obalony w Bagdadzie pomnik Saddama, stały się symbolem tej wojny i okupacji. Tak jak Bucza jest pomnikiem wojny ukraińskiej.

Oczywiście oba wydarzenia są nieporównywalne. Podłość upokorzenia nie jest równa podłości mordowania. Ale wtedy dla opinii publicznej, zwłaszcza arabskiej, Abu Ghraib było ostatecznym dowodem na to, że Amerykanie to najeźdźcy, a nie wyzwoliciele. To nic, że Saddam torturował bardziej. Saddama już nie było (wówczas czekał na proces i egzekucję). Złość, upokorzenie to uczucia subiektywne.

W Ameryce, w Europie, w Polsce wielu szanowanych – wtedy i później – postaci życia publicznego poparło interwencję w Iraku. Wspierająca USA „koalicja chętnych” liczyła 46 państw.

To budujące, że w ludziach tkwi pragnienie naprawiania zła. Dyktatura Saddama niewątpliwie była zła. Ale czasami lekarstwo jest gorsze od choroby.

Nie da się przewidzieć wszystkich konsekwencji interwencji, lecz trzeba próbować. Nieinterweniowanie też bywa kosztowne. Najgroźniejsze jest jednak sięganie po fałszywe dane i wyciąganie na ich podstawie fałszywych wniosków. Tak zrobił Putin w 2022 r. I Bush w 2003 r.

Kształtować świat do woli

Na wojnę było zamówienie polityczne. Podbój Iraku miał pokazać potęgę Ameryki po atakach Al-Kaidy z 11 września 2001 r. W Afganistanie interwencja USA i sojuszników zdmuchnęła reżim talibów i administracja Busha poczuła, że może do woli kształtować świat.

Ameryka okresowo zapada na kompleks Boga, po czym przychodzi otrzeźwienie i samokrytyka, że w istocie jest tylko doktorem Frankensteina. Mania ustępuje depresji, mocarstwo wycofuje się w izolacjonizm, ale do czasu.

Można dostrzec pewne analogie między wybuchem wojny w Ukrainie i w Iraku. W lutym 2022 r. też mało kto wierzył, że Putin zdecyduje się iść na Kijów, zdawało się to czystym szaleństwem. Zresztą dalej trudno pojąć, w imię czego zginęły już dziesiątki tysięcy ludzi. Kierownictwo na Kremlu zahipnotyzowało się przekonaniem, że Ukraina stanowi zagrożenie dla Rosji i że to zagrożenie da się wyeliminować poprzez krótką, tanią interwencję. Podobne złudzenie żywił Waszyngton 19 lat wcześniej.

Dalej już było inaczej. Armia iracka nie stawiała oporu, władza Saddama pękła jak bańka mydlana. W kwietniu po drodze do Mosulu przebierałem w porzuconych na poboczu mundurach i wojskowych legitymacjach. Problemy zaczęły się później, bo właściciele tych mundurów i legitymacji nie rozplynęli się w powietrzu. Pokonane ćwierć narodu irackiego (mniej więcej tyle liczyła mniejszość sunnicka stanowiąca podstawę reżimu Saddama) zostawiono samemu sobie. Szybko powstał ruch, a raczej ruchy oporu przeciwko okupantowi – z jednej strony sunnicko-dżihadystyczny, na bazie korpusu oficerskiego upadłego reżimu, z drugiej szyicko-nacjonalistyczny pod wodzą Muktady as-Sadra, początkowo pod patronatem irańskim.

Amerykanie, jak to mają w zwyczaju, uwikłali się w beznadziejną walkę kontrpartyzancką za zainstalowany przez siebie nowy rząd, który tylko patrzył, jak ich okiwać z największą korzyścią dla siebie. W końcu, w 2011 r., władze w Bagdadzie wyprosiły wojska USA i zbliżyły się do Iranu, wroga USA.

Tymczasem rebelia przekształciła się w makabryczną wojnę domową. Dżihadysty z Państwa Islamskiego zdobyli kontrolę nad pokazywanym teryto-

rium w Iraku i Syrii, nim po paru latach zdołała ich pokonać połączona interwencja kilku-dziesięciu państw, z wojskami kurdyjskimi przede wszystkim.

Podobna historia, tylko bardziej rozciągnięta w czasie, rozegrała się w Afganistanie. Kabul padł szybko, po czym talibowie zorganizowali się w niepokonywalną partyzantkę, podczas gdy zainstalowany przez Amerykanów rząd był zainteresowany głównie napychaniem sobie kieszeni. Jedyne, co można tam zapisać plus, to to, że udało się wykształcić jedno pokolenie afgańskich kobiet.

Irak miał więcej szczęścia od Afganistanu. Dziś jest jakoś funkcjonującym państwem z jakąś tam demokracją i większość Irakijczyków – zwłaszcza Kurdowie – nie płacze po Saddampie. Płaczą rodziny zabitych w następstwie amerykańskiej inwazji – ich liczbę szacuje się nawet na ponad 400 tys. do 2011 r.

Zginęło też 4,4 tys. żołnierzy USA. Przez cały ten czas Amerykanie nie chcieli przyznać, że to ich obecność była główną przyczyną przemocy, z jaką się spotykali.

Biały Dom miał trzy argumenty za wojną: zagrożenie stwarzane przez iracką broń masowego rażenia, powiązania między rządem Saddama a Al-Kaidą oraz demoniczny charakter reżimu, który prześladował szyitów i Kurdów. Dwa pierwsze zapewnienia okazały się warte tyle, co opowieści Kremla o laboratoriach broni biologicznej w Ukrainie. Pozostał ostatni powód, używany jako listek figowy.

Żaden polityk za kłamstwa i wojnę nie odpowiedział i już nie odpowie. Wyroki po latach dostali tylko nieliczni amerykańscy żołnierze i najemnicy – za Abu Ghraib oraz za masakry ludności cywilnej.

Lawina nieprzewidzianych konsekwencji

W rezultacie grzechu pierwotnego interwencji oraz późniejszych błędów podczas okupacji operacja usunięcia Saddama zamiast wzmocnić pozycję geopolityczną USA, osłabiła ją niemal wszędzie. Irak pochłaniał energię, którą Ameryka mogła wykorzystać do rozwiązania innych problemów, od programu nuklearnego Korei Północnej po rosyjski rewanżyzm i ekspansję Chin. Pokierował też stosunki USA z sojusznikami w Europie i Azji.

Niedawny raport specjalnego generalnego inspektora ds. odbudowy Afganistanu na temat źródeł niepowodzeń armii afgańskiej w sierpniu 2021 r., gdy rozpierzchła się w ciągu kilku godzin pod naporem talibów, twierdzi, że wynikało to z rozproszenia uwagi spowodowanego wojną w Iraku, która odebrała misji w Afganista-

nie kluczowy zasób: czynne jednostki wojskowe do szkolenia armii afgańskiej.

Nielegalność wojny irackiej i bezkarność do dzisiaj ograniczają zaufanie do Stanów Zjednoczonych. Między innymi dlatego w krajach globalnego Południa jest tak duża niechęć do potępienia Rosji.

„Płaczę za Saddamem – napisał w magazynie „Outlook” B. Raman, były wysoki rangą urzędnik ds. walki z terroryzmem w indyjskiej agencji wywiadu zewnętrznego. – Był przyjacielem Indii. Zawsze był przy nas w najlepszych i najgorszych chwilach”. Raman wspomina dni po zamachach bombowych w Bombaju w marcu 1993 r., gdy terroryści pakistańscy zabili prawie 300 cywilów. „Chodziliśmy od jednej agencji wywiadowczej do drugiej, prosząc o pomoc w zbadaniu roli Pakistanu. Amerykanie nas odrzucili. Ochrona Pakistanu i jego wywiadu ISI była dla nich ważniejsza niż pomoc Indiom w pociągnięciu winnych do odpowiedzialności. Za to Saddam ruszył z pomocą i pomagał nam w każdy możliwy sposób”.

Brak zdecydowanej reakcji na zajęcie Krymu przez Rosję w 2014 r. także był w dużej mierze skutkiem irackiego kaca. Rok wcześniej Obama nie chciał interweniować w Syrii, gdy Baszar al-Asad użył broni chemicznej przeciwko własnemu narodowi, przekraczając nakreśloną przez Biały Dom „czerwoną linię”.

Czy obecne silne wsparcie dla Ukrainy oznacza, że kac minął? Tylko częściowo. Dziedzictwo wojny irackiej nadal ciąży na polityce zagranicznej USA. Tym razem amerykańska interwencja w Europie ma ograniczony charakter – na bieżąco podtrzymuje opór Ukraińców i nie naraża bezpośrednio Amerykanów. Jest to strategia rozważna i jak dotąd skuteczna.

Zaskakujące, że wojna iracka nie znikła jeszcze z politycznego krajobrazu samych Stanów Zjednoczonych. W obu izbach Kongresu trwają starania o uchylenie zezwolenia udzielonego w 2002 r. (bezterminowo) na użycie sił zbrojnych przeciwko Irakowi, tzw. AUMF. Niby jest za tym ponadpartyjna większość, ale idzie jak po grudzie.

Nie chodzi tylko o rozliczenie z historią, lecz o to, czy amerykańscy prezydenci mogą iść na wojnę bez prośbienia Kongresu o zgodę. Ostatnio AUMF zostało użyte przez Donalda Trumpa do usprawiedliwienia zabójstwa irańskiego generała Kasma Sulejmaniego w Bagdadzie w 2020 r. Ten zamach mógł doprowadzić do wojny z Iranem.

Uchylą czy nie, doświadczenie każe przypuszczać, że kiedy przyjdzie właściwy czas, Amerykanie pewnie znajdą sposób, aby kolejny raz popełnić stare błędy. ●

FOT. SHUTTERSTOCK

PROSIMY O OPUSZCZENIE POKŁADU

**63 francuskich miliarderów
emituje rocznie tyle
dwutlenku węgla, ile Dania,
Finlandia i Szwecja łącznie**

Francja zakazuje krótkich lotów. Brawo, tak trzymać. Problem w tym, że to zupełnie bez różnicy.

Edyta Bryła

Paryż dostał pozwolenie Komisji Europejskiej, by zakazać krótkich lotów krajowych. Chodzi o loty, które trwają mniej niż 2,5 godz. i są między miastami połączonymi koleją. Celem jest oczywiście obniżenie emisji CO₂. KE musiała ustalić, czy taki zakaz byłby legalny, i uznała, że tak.

Brzmi rewolucyjnie? Być może, jednak nic się nie zmieni. Dla czego?

Zakaz obejmie tylko trzy trasy – z Lyonu, Bordeaux i Nantes do Paryża-Orly. Już na pierwszy rzut oka wydaje się, że to mało, ale rzeczywistość jest jeszcze gorsza: na tych trzech trasach i tak nie latają żadne linie. Nie ma tam nawet prywatnych lotów, bo samoloty latają na lotnisko de Gaulle'a. Ślad węglowy zmieni się więc z 0 ton CO₂ na... 0.

No dobrze, ale może linie miałyby chęć przywrócić te połączenia i dzięki zakazowi do tego nie dojdzie? Albo zakaz spodoba się innym krajom, które faktycznie ograniczą latanie i emisje?

Tu też nie ma dobrych wiadomości. Wbrew powszechnemu przekonaniu krótkie loty (do 600 km) mają niewielki udział w produkcji szkodliwych emisji – to tylko 7 proc. emisji całego lotnictwa – a zdecydowana większość pochodzi z lotów długich. – Francuski zakaz jest wygodny, bo nie trzeba niczego zmieniać, a odwraca uwagę od większego problemu, jakim są emisje z długich lotów – mówi Jo Dardenne z ekologicznej organizacji Transport and Environment.

Osiągnięty został więc głównie efekt polityczny.

To lobby lotnicze pilnowało, by zakaz nie zmuszał nikogo do zmian. Lotnictwo nie chce tracić, a pomysły zakazów silnie oporotestowuje, bo boi się, że prędzej czy później się ucielesnią. Francuski zakaz miał np. objąć Marsylię, ale limity zmieniono tak, by ją ominąć, bo wciąż lata tam Air France. – Branża zależy, by przepisy nie zmuszały jej do robienia czegoś, co się nie spina biznesowo. Zakaz lotów we Francji jej pasuje, bo na zakazanych połączeniach i tak nie chce latać – mówi ekspert lotniczy Dominik Sipiński.

Czy więc urzędnicy we Francji i KE wykonali dużo dobrej, ale nikomu niepotrzebnej roboty?

Też nie do końca. Posłanka Lewicy Paulina Matysiak mówi, że to krok w dobrą stronę, nawet jeśli zakazane loty nie mają znaczenia w całym koszyku zanieczyszczeń. Kluczowa jest bowiem zmiana sposobu myślenia. W całym zabiegu ważniejsza niż zakaz jest promocja kolei jako niskoemisyjnej alternatywy, stawianie na jej rozwój. – Postulat Francji szeroko się poniósł i rozpalil wyobraźnię. Łatwiej teraz np. napiętnować loty parlamentarzystów na krótkich połączeniach, które są absolutnie niepotrzebne, skoro jest alternatywa w postaci pociągu. Krótkodystansowe loty to zbędne zanieczyszczenia i wydatki podatników – mówi Matysiak.

Także Jo Dardenne podkreśla, że zakaz ma znaczenie symboliczne, a jego główną zaletą jest nakręcanie debaty o wpływie transportu na środowisko.

Na przykład Austria również dyskutuje o sensowności krótkich lotów i chce regulować ceny biletów, ustanawiając cenę minimalną, a Holandia ustanowiła limit wylotów i przylotów. Co to zmienia? Temat nie schodzi z oczu, przypomina o konieczności dbania o środowisko i wpływa na decyzje transportowe.

Co jednak ciekawe, francuscy politycy nie pomyśleli – lub nie chcieli pomyśleć – o innym problemie. Gdyby się uprzeć, że z krótkimi lotami należy walczyć, to w pierwszej kolejności należałoby zaka-

zać prywatnych lotów bogaczy albo choćby je uregulować. Per capita produkują zanieczyszczenia jeszcze większe niż krótkie loty. Na 500-kilometrowym odcinku emisje CO₂ są od 4,5 do 14 razy wyższe niż podczas zwykłych lotów i 50 razy wyższe niż podczas podróży pociągiem. A Francja jest drugim największym skupiskiem prywatnych samolotów w Europie, tuż po Wielkiej Brytanii. Według niedawnego raportu Oxfamu i Greenpeace'u rocznie 63 francuskich miliarderów emituje tyle CO₂, ile Dania, Finlandia i Szwecja łącznie. Dlatego zeszłego lata prywatni właściciele samolotów we Francji byli ostro krytykowani, gdy kraj trawiły pożary.

W odpowiedzi politycy zapowiedzieli, że zamierzają poruszyć w Brukseli kwestię wyższego opodatkowania prywatnych samolotów. Francuzom – i nie tylko – może nawet by się to podobalo, bo latający bogacze ich irytują. Ktoś założył na Twitterze konto I Fly Bernard, na którym opierając się na danych publicznie dostępnych w sieci, raportował wszystkie prywatne loty Bernarda Arnaulta, najbogatszego człowieka świata, prezesa firmy LVMH, do której należy mnóstwo słynnych luksusowych marek, m.in. Hennessy, Dom Pérignon, TAG Heuer, Louis Vuitton, Dior czy Givenchy. Bilionera tak ten aktywizm znudził, że sprzedał odrzutowiec i od zeszłego lata samoloty już tylko wynajmuje, przez co znacznie trudniej namierzyć, kto akurat leci tym czy innym jetem. Na innym koncie śledzono loty Elona Muska, ale on z kolei skasował je, gdy kupił Twittera. Bill Gates natomiast prywatnym samolotem lata dużo i argumentuje, że gigantyczne sumy, jakie wydaje na walkę z ociepleniem klimatu, rekompensują ślad węglowy jego rodziny.

Także politycy nabijają zawstydzające statystyki. Jean Castex, do niedawna premier Francji, zdecydował się na prywatny lot z Paryża do Perpignan, produkując 4460 kg CO₂, a gdyby wybrał podróż TGV, emisja wyniosłaby tylko 6 kg w obie strony. Za szczyt hipokryzji uznano konferencję w Davos, na której władcy i bogacze mie-

li dyskutować o kryzysie klimatycznym. Jeden na 10 gości przybył prywatnym samolotem – to łącznie ponad tysiąc osób, z czego kilkaset z niedużych odległości. Rekordzista przeleciał 13 mil, a ponad połowa lotów była z miejsc odległych o mniej niż 750 km.

Tych lotów nikt nie reguluje. Nie ma nawet wzmianek, by objąć je opłatami za pozwolenia na emisje CO₂, którymi obłożono regularne loty i które są dodawane do cen biletów zwykłych obywateli.

Beneficjentem jest kolej, konsekwentnie wskazywana jako ekologiczna alternatywa. Beneficjentem teoretycznym, bo kolejarzom niespieszno korzystać z okazji. W większości państw wysiłki skupiają się na kolejach krajowych, a połączeniami międzynarodowymi mało kto się zajmuje. Nie ma bowiem urzędu, który by kolej nadzorował z poziomu unijnego, tak jak to jest w przypadku lotnictwa. A do ogarnięcia jest wielu operatorów, regulatorów i przewoźników kolejowych w poszczególnych krajach. Z tego powodu dużo trudniej zorganizować krótkie połączenie transgraniczne koleją niż krótki lot.

Same linie lotnicze wołałyby krótkich połączeń nie mieć, bo w większości są niedochodowe. Służą głównie temu, by dowozić pasażerów na dochodowe loty dalekodystansowe, które tę stratę niwelują. Inaczej nie byłoby np. lotów Wiedeń – Budapeszt czy absurdalnych 25-minutowych lotów Bruksela – Amsterdam (w rozkładzie jest 55 min, leci się najczęściej 25-35 min) cztery razy dziennie (pociąg dojeżdża w 2 godz., a mógłby być jeszcze szybszy). Ale KLM, narodowy holenderski przewoźnik, woli dowozić sobie pasażerów samolotem, niż ryzykować, że nie będzie im się chciało wsiąść w pociąg i polecą Brussels Airlines z grupy Lufthansy.

Krótki lot to też często preferowany wybór pasażerów. Przy lotach z przesiadką nadaje się bagaż przed pierwszym lotem i ma się spokój, a za ewentualne opóźnienia i skoordynowanie dwóch lotów odpowiada linie lotnicze. Podróż na jednym bilecie

z jednym przewoźnikiem daje poczucie bezpieczeństwa i wygody.

Kolej tego nie gwarantuje. Jeden z przykładów, jak źle to może być rozwiązane, znajdziemy w Polsce. Teoretycznie loty Kraków – Warszawa to absurdalny pomysł, bo z dojazdem na lotnisko Balice podróż jest bardziej uciążliwa i zajmuje tyle samo czasu, ile szybkim Pendolino (2,5 godz.).

Tyle że jeśli pasażer zechce zachować się ekologicznie i na warszawskie Okęcie jechać pociągiem, musi się martwić, czy nie spóźni się pociąg Intercity, a potem miejski pociąg SKM, czy nie zawiedzie taksówka. Musiałby również mieć ze sobą bagaż na dwóch przesiadkach. To tylko kilka niedogodności. Kto by się na to decydował, jeśli alternatywą jest lot z Balic na Okęcie i skoordynowana przesiadka na lot docelowy, już bez pilnowania walizki? – W Polsce pasażer potrzebuje trzech biletów, i to na różnych przewoźników, którzy nie są ze sobą skoordynowani. To opcja podróży tylko dla koneserów – mówi Sipiński.

Nie wszędzie warunki dojazdu są tak złe, ale nawet tam, gdzie są dobre (jak w Austrii), pasażerowie też się opierają. Na przykład zawieszenie lotów z Grazu do Wiednia i zastąpienie ich koleją (Austrian Airlines mają umowę z OBB, kolejami narodowymi) spowodowało, że pasażerowie woleli latać Lufthansą przez Frankfurt. Tak duża jest siła przyzwyczajenia do systemu przesiadkowego. AA połączenie lotnicze musiały przywrócić.

Swoją drogą to pokazuje, że żeby zakazy krótkich lotów działały, musiałyby być międzynarodowe, a nie tylko krajowe. Bez tego, wracając do przypadku Francji, gdyby np. zakazany był lot Strasburg – Paryż, pasażerowie mogliby latać przez tak samo odległy Amsterdam.

Choć biznesowo aktualny model dla lotnictwa się spina, mogłoby być o wiele lepiej. Przecież tylko na jednym kierunku, Bruksela – Amsterdam, KLM uruchamia 1,5 tys. lotów, na których ponosi stratę. Kosztem są też emisje spalin, hałas, który także ma limit, a Amsterdam wykorzystał go w 100 proc., przerost i zatłoczenie infrastruktury, marnowanie zasobów, inwestycje w samoloty.

Czy musi tak być?

Tu wracamy do pociągów. Linie lotnicze może zrezygnowałyby z krótkich lotów, gdyby pasażerów dowoziła świetnie skoordynowana, niezawodna kolej. Lecz kolej nie nadążyła za rozpędzającym się lotnictwem, zwłaszcza w latach 90., i nieoczekiwanym błyskawicznym rozwojem tanich linii.

Są jednak wyjątki. – Tam, gdzie jest naprawdę dobra alternatywa kolejowa, linie lotnicze zwykle nie chcą latać. W zamian nawiązują współpracę z koleją i sprzedają bilety na pociąg – mówi Sipiński.

Austrian Airlines zlikwidowały już loty z Linzu i zastąpiły je koleją – dzięki umowie między przewoźnikami jeździ się na jednym bilecie. Między Frankfurtem a Kolonią od lat pasażerowie jeżdżą pociągami, a Lufthansa nie straciła pasażerów. Po prostu dogadała się z Deutsche Bahn i firmy współpracują przy przewozach.

Kolej może robić konkurencję lotnictwu w nieoczywisty sposób. Taki efekt chcą osiągnąć Niemcy dzięki biletowi o wartości 49 euro za miesiąc na cały dotowany transport publiczny – kolej regionalne, kolej klasy ekonomicznej (odpowiedniki polskich IC i TLK) i transport miejski. To tak, jakby – w polskich warunkach – można było jeździć wszystkimi pociągami oprócz Pendolino i EIC.

Niemieckiemu rządowi zależy na zmianie nawyków turystycznych, żeby zamiast np. polować na tanie loty do Palermo, turyści wsiadli do pociągu i pojechali nad niemieckie morze czy w nie-

mieckie góry, do lokalnych winiarni, piwiarni, muzeów. To atrakcyjna alternatywa w dobie drogiego paliwa i drogich lotów. Przesiadając się, można przejechać kraj wzdłuż i wszerz, a przy okazji to turystyka przyjazna środowisku. – W tym sensie kolej jest alternatywą dla lotów, choć zdecydowanie stanowi konkurencję dla regionalnych autokarów. Ci przewoźnicy mogą czuć się zagrożeni – mówi Michał Beim, ekspert transportowy z Instytutu Sobieskiego.

Prototyp biletu kosztował tylko 9 euro na miesiąc i miał być testem, czy Niemcy zrezygnują z auta oraz ilu da się pozyskać pasażerów kolei niską ceną. Próba okazała się sukcesem – sprzedano 52 mln biletów. Emisje zmniejszyły się o tyle, ile rocznie produkuje 388 tys. samochodów w Niemczech. Nowa oferta ma być wprowadzona na stałe od 1 kwietnia, ale już za 49 euro.

Nikt nie zamierza objąć lotów prywatnych odrzutowców i podróży lotniczych polityków opłatami za emisję dwutlenku węgla, choć obłożono nimi regularne loty i doliczane są one do cen biletów zwykłych obywateli

Jo Dardenne mówi, że na rzecz środowiska korzystnie mogą działać przepisy zmuszające do ponoszenia kosztów za jego zanieczyszczanie. Bo na razie rozwiązania jakimś cudem wciąż omijają największych winowajców. Za kilka lat znikną co prawda darmowe pozwolenia na emisję CO₂ (ETS), ale tylko w granicach Unii i np. przewoźnik na trasie Paryż – Nowy Jork nadal będzie zanieczyszczał, nie płacąc za to. – Jesteśmy krok bliżej, lecz wciąż pominięte będzie 60 proc. emisji. To dużo – mówi Dardenne. Podkreśla, że środowiskowe szkody w lotnictwie nie zmieniają się, jeśli będziemy ignorować emisje związane z dalekimi lotami.

Według Dardenne kluczowa – i realna – jest zmiana paliw na ekologiczne, choć minie trochę czasu, zanim będą używane na większą skalę. Zmiana jest powolna i w obecnym tempie do 2030 r. wciąż 95 proc. lotnictwa będzie korzystać z paliw kopalnych. Jednak to jedyne, na co możemy liczyć: dalekich lotów nie da się bowiem zastąpić żadną czystą alternatywą, np. elektrycznym samolotem.

Paliwo lotnicze wciąż nie jest opodatkowane i nie zanosi się, by to się miało zmienić – musiałyby zgodzić się wszystkie kraje, a opór stawiają m.in. Malta i Cypr. Duże państwa zachodnie, którym ten podatek nie pasuje, także nie naciskają za bardzo. ●

Skąd się biorą piloci i czy ich życie to ciągła przygoda? Odpowiedzi szuka Jan Pelczar w reportażu **„Lecę. Piloci mi to powiedzieli”**. Książka w dobrych księgarniach i w formie ebooka na Publio.pl



Refutacja

Jan Paweł II nie mógł zrobić tego, co mu się zarzuca, bo był wielkim człowiekiem, w dodatku świętym.

Michał Rusinek

Reportaż Marcina Gutowskiego wyemitowany przez TVN spowodował niebywale wzmożenie wśród polityków i publicystów, nie tylko prawicowych. Zdaję sobie sprawę, że także wśród wielu z nas, niemniej proponuję, by spróbować owemu wzmożeniu (także być może własnemu) spróbować się przyjrzeć na chłodno. Chociażby po to, by przypomnieć sobie, jak wygląda retoryczny mechanizm apologetycznej refutacji, czyli obronne zbijanie argumentów przeciwnika.

Obejrzeliśmy program, z którego wynika, że Jan Paweł II tuszował przypadki pedofilii w polskim Kościele. Nawet jeśli o tym już sporo pisano, to jednak telewizyjny reportaż ma tę przewagę nad książką, że łatwiej się z nim zapoznać. I nie ma się co dziwić: badania pokazują, że Polacy czytają niewiele i niechętnie, za to często i chętnie kupują telewizory, co mnie skądinąd dziwi, bo ja swój kupiłem 20 lat temu i kolejny kupię, gdy ten mi się zepsuje, ale to pewnie dlatego, że jestem z Krakowa.

Tak czy owak, natychmiast ruszyła ofensywa, a właściwie: defensywa, przyjmując zarówno formy instytucjonalne, jak i indywidualne. Zaczniemy od tych pierwszych. Bardzo szybko zareagował Sejm, przegłosowując uchwałę „w sprawie dobrego imienia św. Jana Pawła II”. Zawarta w niej refutacyjna strategia polega na podważaniu wiarygodności przedstawionych w reportażu dowodów jako opartych na „materiałach sfabrykowanych przez system komunistyczny, któremu [Jan Paweł II] się sprzeciwiał”. Przede wszystkim autorzy uchwały postanowili nie tyle zbijać argumenty autora reportażu, ile przypominać, jak wielkim człowiekiem był papież (nazywany „Wielkim Papieżem”, „Papieżem Polakiem”), a także jak wielkie miał zasługi dla naszego kraju, Europy i świata. O ile wiem, zasług i wielkość papieża autorzy reportażu nie kwestionują, pokazują tylko, że w pewnych sprawach popełniał spore błędy, stojące w sprzeczności z tym, co pisał i mówił. Autor uchwały mówi więc: Jan Paweł II nie mógł zrobić tego, co mu się zarzuca, bo był wielkim człowiekiem, w dodatku świętym, co pojawia się już w tytule uchwały. Zarzucanie czegokolwiek tak zdehumanizowanej de facto, bo sprowadzonej do jednoznacznego symbolu, postaci staje się atakiem na Kościół, na Polskę, polskość i wszystko inne, co symbolizuje. Człowiek może się mylić i popełniać błędy, ale symbol – już nie.

Zaraz też zareagowało Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wzywając – chociaż właściwie: zapraszając – ambasadora USA, jako że to Amerykanie są właścicielami TVN. Wiceminister Piotr Wawrzyk stwierdził, że reportaż Gutowskiego „to jest działanie de facto w interesie Rosji, a nie Polski czy USA”. To już nie obrona, lecz atak, w dodatku zawierający insynuację, że reportaż był elementem antypolskiego spisku USA i Rosji. Niestety, nie wiadomo, jak przebiegła rozmowa ministra z ambasadorem, podobno była nader krótka. Domyślam się, że jej logika (o ile to można nazwać logiką) przedstawiała się następująco: 1) reportaż wyrządził szkody w naszym społeczeństwie, 2) najbardziej zależy na wyrządzaniu takich szkód Rosji, 3) skoro reportaż był „amerykański”, to USA działały tu – świadomie lub nieświadomie – w interesie Rosji. W tej logice najbardziej wątpliwa jest pierwsza przesłanka: celem reportażu było wyłącznie odkrycie pewnej niewygodnej prawdy. Co z tą prawdą robi społeczeństwo, to już przecież inna sprawa. A jeszcze inną sprawą jest dyplomatyczna niestosowność wezwania, chociaż właściwie: zaproszenia, ambasadora USA do MSZ.

Teraz garść refutacji indywidualnych. Senator Jan Żaryn, historyk i dyrektor Instytutu Dziedzictwa Narodowego im. Romana Dmowskiego, powiedział: „Karol Wożyła nie mógł tuszować przypadków pedofilii w Kościele”, ponieważ „był wierzący i wierzący, że byłby to grzech”. Papież (a wcześniej arcybiskup) nie jest w tej wypowiedzi ani świętym, ani symbolem czegokolwiek, ale po prostu osobą wierzącą. Mamy tu do czynienia z dość brawurową tezą, że osoby wierzące nie grzeszą. Idąc tym tropem, można by powiedzieć, że autor reportażu nie mógł nie ujawnić prawdy, bo, jak się zdaje, jest osobą wierzącą i wiedział, że byłby to grzech. Zatem dość niefortunna to refutacja.

Pojawiają się także argumenty per analogiam. Arcybiskup Marek Jędraszewski mówił, że „dokonał się drugi zamach na życie Jana Pawła II, inspirowany przez środowiska, które nie zgadzają się na głoszone przez niego wartości”. Tak więc Mehmet Ali Ağca strzelał do papieża za życia, a Marcin Gutowski strzela do niego po śmierci. To już jednak nie jest zamach na człowieka, ale na symbol, więc zamach o innym wymiarze i szerszym zakresie. Natomiast europoseł Ryszard Czarnecki stwierdził, że „nikt poważny w Ameryce nie oskarża ojców Stanów Zjednoczonych, że mieli niewolników”. Oto dowód na to, że z analogiami należy się obchodzić ostrożnie: nikt poważny nie podważa zasług Founding Fathers dla USA, ale nikomu poważnemu nie przyszłoby też do głowy negować faktu, że mieli niewolników. Czarnecki prawdopodobnie usiłował również posłużyć się zarzutem prezentyzmu, czyli przykładania współczesnych miar do decyzji podejmowanych w innych czasach, więc dodał: „Dzisiaj myślimy na ten bolesny temat oczami współczesnymi”. Panie pośle, do myślenia służy inny organ.

Najczęstszą strategią w refutacjach jest podważanie źródeł i dowodów. Ksiądz Kazimierz Sowa pisał na Facebooku o „zupełnym braku tzw. krytyki źródeł archiwalnych. Dotyczy to zwłaszcza archiwów IPN”, choć Gutowski kilkakrotnie zastrzega, że do tych źródeł podchodzi ostrożnie, a w jego reportażu wypowiada się wybitna ich badaczka prof. Joanna Tokarska-Bakir. Arcybiskup Grzegorz Ryś mówi, że „przyswoiło badania historyczne pokazały, że Jan Paweł II się obronił”, po pierwsze, sugerując, że badania Gutowskiego i Overbeeka nie są przyswoiłe (z pewnością są niepełne, bo obaj nie mieli wglądu w archiwa kościelne), po drugie, abp. Ryś uprząta tu myślenie życzeniowe, nie można bowiem przecież wykluczyć, że „przyswoiło badania” potwierdzą stawiane papieżowi zarzuty. Oczywiście można też zadać sobie pytanie, co właściwie znaczy „się obronić”, zwłaszcza jeśli się już nie żyje i nie można za nic przeprosić i niczemu zaprzeczyć.

Na koniec dwie refutacje posługujące się metaforami. Małopolska kuratorka oświaty Barbara Nowak napisała apel na Twitterze, który rozpoczyna się od zdania: „Trzeba, by Polacy stali się tarczą zasłaniającą św. Jana Pawła II przed plugastwem”. Tarcza służy raczej do osłaniania – siebie lub kogoś. Zasłanianie to czynność powodująca, że czegoś nie widać, np. niewygodnej prawdy. Czyżby to była czynność pomyłkowa? Nie można tego wykluczyć. Bardzo ciekawą metaforą posłużył się wiceminister kultury Jarosław Sellin, mówiąc, że „osobom atakującym [Jana Pawła II] uwiera gorset polskości”. Istotnie, polskość jest pewną abstrakcją, a abstrakcje dobrze jest sobie wizualizować i do tego służą metafory. Wybór akurat tego elementu garderoby damskiej jest dość zaskakujący: pomijając odniesienia erotyczne czy ortopedyczne, gorset kojarzy się z czymś ograniczającym wolność, z zakazami i nakazami, z narzuconymi przez społeczeństwo normami, konwencjami czy konwenansami. Czy wśród nich jest też niepisana umowa, że niewygodnej prawdy się nie ujawnia? Nie. To raczej niewygodna prawda ma skłonność do uwierania. Może to właśnie zestaw takich prawd tworzy nasz polski gorset, który czas wreszcie zrzucić? ●

DOBRCZE UMRZEĆ

Nikt jeszcze nie zgłosił się ze wspomaganym samobójstwem, ale spodziewam się, że to w Polsce wkrótce nastąpi

Z **ANJĄ FRAN CZAK**, TOWARZYSZKĄ UMIERANIA, EDUKATORKĄ ŻAŁOBY I OSTATNIEJ POMOCY ORAZ MISTRZYNIĄ HUMANISTYCZNYCH CEREMONII POGRZEBOWYCH, ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

Emil Cioran napisał, że uważa się za „specjalistę od problematyki śmierci”, a pani?

– Słowo „specjalista” nie jest mi bliskie.

Mam 38 lat, zawodowo zajmuję się tym od ponad pięciu, ale im bardziej zagłębiam się w temat śmierci, odkrywam, jak niewiele wiemy. W kontekście końca życia jest ogrom rzeczy, o których nie mamy prawie żadnej wiedzy, a czasami nawet nie wiadomo, jak sformułować do tego pytania.

W pani biogramie przeczytałem, że szkoliła się pani m.in. w Instytucie Duszpasterstwa Klinicznego i w Federalnym Stowarzyszeniu Towarzystwa Żałobie w Niemczech oraz jest pani certyfikowaną instruktorką międzynarodowej inicjatywy kursów ostatniej pomocy. To brzmi bardzo specjalistycznie, ale skoro nie chce być pani nazywana specjalistką, to jak panią tytułować?

– Szukam jeszcze nazwy dla tego zawodu. Wszystkie szkolenia dotyczyły tej samej dziedziny, ale każde było trochę inne, np. „grief counselor” można przetłumaczyć jako „doradca żałoby”. Niemiec-kim odpowiednikiem jest „trauerbegleiter”, a więc „towarzysz w żałobie”. Kolejnym „end of life doula”, czyli „doula końca życia”, oraz „sterbebegleiter”, co tłumaczę sobie jako „towarzysz umierania”. Ostatni kurs, który ukończyłam, to „ritual celebrant”, a więc mistrzyni ceremonii pogrzebowych.

Mam kontakt z osobami, dla których tematem jest zbliżająca się śmierć, a rodzina szuka informacji i edukacji, jak się na to przygotować, ale również z ludźmi, którzy straty doświadczyli. A pomiędzy prowadzę humanistyczne i świeckie ceremonie pogrzebowe. Brakuje mi jednego terminu, który to wszystko opisze. Najogólniej to wspieram ludzi, gdy pojawia się temat śmierci.

W mediach znalazłem nagłówki typu „położna śmierci”, co może jest najwier-niejszym tłumaczeniem z innych języków, ale brzmi jak tytuł horroru.

– Niestety tak, i mam z tym kłopot, bo stoi w kontrze do mojej działalności, bo we wszystkim, co robię, staram się wprowadzać atmosferę spokoju, ciepła i zrozumienia. Media, mam wrażenie, ogólnie obrały strategię przedstawiania śmierci jako

skandalu, kontrowersji i jakiejś makabry, z czym się całkowicie nie zgadzam.

Jak rozumiem, to jest pani pełnowymiarowa praca?

– Teraz już tak, chociaż sporą jej częścią jest współzarządzanie Instytutem Dobrej Śmierci, a więc organizacja i prowadzenie szkoleń, spotkań oraz administracyjno-merytoryczna koordynacja. Czasem jest więcej szkoleń, czasem więcej pogrzebów, a czasem indywidualnych spotkań.

A jakie cechy charakterologiczne pani zdaniem powinien mieć instruktor czy towarzysz śmierci?

– Ugruntowanie, empatię i łatwość w pozwoleniu na różne rodzaje emocji, zarówno swoje, jak i innych. Do tego łagodność i dydaktyczna cierpliwość, aby spokojnie przekazywać informacje ludziom, którym nierzadko będzie trudno ją przyjąć. Najważniejsze jest chyba zainteresowanie in-

nej wszystkie takie rady są kompletnie niewspierające. Dopiero później, kiedy zobaczyłam, jaki rodzaj pomocy systemowej otrzymała moja koleżanka w Niemczech, widziałam, że sprawy mogą wyglądać zupełnie inaczej. Nie zmienimy tego, że żyjemy w świecie, w którym ludzie umierają, ponieważ tak działa natura. Ale mamy wpływ na to, jak się wtedy zachowujemy, jak się wspieramy, na jakie emocje pozwalamy albo tabuizujemy ten obszar. W odniesieniu do własnych, negatywnych doświadczeń chciałam się przyczynić do tego, aby inni taką pomoc mogli otrzymać.

A skąd Polska w całym tym międzynarodowym równaniu?

– Mąż jest Polakiem, a w Polsce mieszkam już 13 lat. Zanim w ogóle zajęłam się zawodowo śmiercią, to pracowałam w branży filmowej. Dzisiaj jak o tym pomyślę, to mam wrażenie, że to było w innym życiu (*śmiech*).

Pytania, czy można umrzeć w dobry sposób, ludzie zaczęli sobie zadawać niedawno, bo w czasie pandemii

nymi ludźmi oraz czerpanie radości z intymnego spotkania z drugim człowiekiem. Jest to praca z pytaniami egzystencjalnymi i głębokimi emocjami, więc raczej nie będzie mogła jej wykonywać osoba, która jest niecierpliwa lub zwyczajnie nie lubi ludzi.

A jak pani się o tym dowiedziała i zdecydowała tym zająć?

– Jestem pół Chorwatką, pół Niemką, rodzinnie i towarzysko przebywam w różnych częściach Europy. W Niemczech i Anglii spotkałam ludzi, którzy zawodowo zajmują się tymi tematami. Tam poznałam doule umierania oraz towarzyszkę w żałobie i zwyczajnie mnie to zafascynowało. Im więcej poznałam osób, które w tym pracują, szczególnie ludzi, którzy prowadzą humanistyczne domy pogrzebowe, tym bardziej otwierał mi się w głowie jakiś nowy horyzont. Krótko później przyszła chęć nauki i stąd kolejne kursy. Teraz takie mniejsze i autorskie wersje tych szkoleń prowadzę sama i staram się ściągnąć moich niemieckich nauczycieli w ramach warsztatów do Polski.

Kilka lat temu straciłam dziecko w trakcie ciąży, a w szpitalu dostałam poradę, że nie powinnam go pochować, że powinnam pójść dalej, a najlepiej zapomnieć o całym zdarzeniu i jak najszybciej zająć w kolejną ciążę. Z perspektywy psychologicz-

Jak w praktyce wygląda takie wspieranie osoby na ostatnim etapie życia? Powiedzmy, że dzwoni do pani osoba w ostatnim stadium raka. Werdykt lekarzy mówi, że zostały trzy miesiące, ona chce się przygotować.

– Taka osoba może mieć wiele potrzeb, począwszy od zaplanowania własnego pogrzebu, po chęć świadomego pozostawienia czegoś po sobie, np. dla rodziny czy wnuków. Wtedy myślimy razem, co by to mogło być – może listy, może nagrania audio, a może pudełko z ważnymi rzeczami. Do tej pory tylko dwa razy zgłosiły się do mnie bezpośrednio osoby chore. Najczęściej kontaktuje się rodzina takiej osoby i mówi np.: „Moja mama czy babcia ma raka, nie wiem, co robić, boję się, potrzebuję się przygotować, ale nie wiem jak”. Po rozmowach z takimi rodzinami często jestem zaskoczona tym, jak mało informacji dostali ze strony personelu medycznego. Czasami mam wrażenie, że lekarze albo nie mają czasu na szczegółowe tłumaczenia, co się dzieje na ostatnim etapie życia, albo unikają takich rozmów, ponieważ się obawiają, że dla ludzi to będzie trudne i będą się pojawić silne emocje.

Najczęściej moja praca polega na edukacji, tłumacząc ludziom, co ich czeka i jak to może wyglądać, jakie objawy mogą się pojawić w ostatnich dniach i godzinach

i jak ciało się zmieni po śmierci. Co ciekawe, jeszcze około trzech pokoleń temu ta wiedza była czymś oczywistym, obecna w każdej rodzinie, ponieważ wtedy ludzie najczęściej umierali w domach. Dzisiaj większość ludzi nie ma pojęcia, jak wygląda ostatni etap życia.

Przygotowywanie do śmierci naturalnej to jedno, ale co z eutanazją, o której jest coraz głośniej? W zachodnich krajach podejście do niej jest bardziej liberalne niż w Polsce. Czy przygotowywała pani kiedyś kogoś do wspomaganego samobójstwa?

– Do mnie jeszcze nikt się nie zgłosił z takimi intencjami i ten temat zdecydowanie przekracza obszar mojej edukacji i moich działań. Osobiście uważam, że eutanazja może być formą dobrej śmierci, ale nie jest jedyną. Podstawą mojej pracy jest szacunek do naturalnego procesu umierania, odejście od perspektywy śmierci jako wroga, z którym należy walczyć za wszelką cenę. Założeniem całego Instytutu Dobrej Śmierci jest zaproszenie do zadania sobie pytania, czy dobra śmierć istnieje, a jeżeli tak, to jaka.

W ogóle mam wrażenie, że pytania, czy można umrzeć w dobry sposób, dużo ludzi zaczęło sobie zadawać niedawno, bo w czasie pandemii, gdy ludzie umierali.

Jak wyglądała pani praca w pandemii?

– Tak naprawdę nie ma zbyt dużych różnic między tym, jak działałam wtedy, a jak pracuję dzisiaj. Nadal kontaktuję się z ludźmi w dużej mierze online, ponieważ dzwonią z całej Polski. Jeżeli ktoś jest z Warszawy, to rzeczywiście mogą się spotkać, ale jeżeli nie, to najprostszy będzie jednak telefon bądź internet. Gdy skończyły się restrykcje epidemiologiczne, więcej organizuję stacjonarnych warsztatów i szkoleń, np. dla personelu domów opieki i hospicjów.

Powiedziała pani, że ludzie najczęściej dzwonią z pytaniem: co dalej zrobić?

O co jeszcze pytają i czy systemowa niewiedza jest największym problemem?

– Gdy zgłasza się do mnie rodzina osoby umierającej, to dopytuję o szczegóły, np. czy jeszcze ma siłę chodzić bądź robić rzeczy, które sprawiają jej przyjemność, aby w centrum naszej uwagi umieścić czas, który pozostał, i jak najlepiej go zagospodarować dla wszystkich członków rodziny. Zachęcam ludzi do tego, żeby wyrazić swoją miłość i wdzięczność – słowami, dotykami, obecnością. Może są jeszcze jakieś otwarte sprawy, może za coś chcemy przeproszać lub coś wybaczyć. Jeżeli osoba jest już raczej leżąca, to ważne jest też, aby stworzyć spokojną atmosferę. Więc dociekam: jaki to jest pokój, jakie jest w nim światło, zapach, czy ma być cicho, czy może lecieć muzyka. Dopytuję także o samą osobę, czy np. lubi być dotykana, a może jest w stanie nadwrażliwości i wrażenia sensoryczne są dla niej niekomfortowe. Proste rzeczy z otoczenia osoby u końca ży-

FOT. SZYMON ROGIŃSKI



cia potrafią mieć silny wpływ na jej dobrostan emocjonalny.

Największym problemem bliskich często jest rozdarcie między tym, czy jeszcze trzeba walczyć o każdy dodatkowy dzień z umierającą osobą, czy pozwolić jej odejść. Dla mnie fundamentem dobrej śmierci są zgoda i akceptacja. Kilka razy miałam szczęście doświadczyć, jak ktoś na ostatnim etapie życia był w stanie prawdziwego spokoju. Tu nie chodzi o poddawanie się, ale o oddawanie się temu, co nieuniknione. Moje koleżanki pracujące w hospicjach mogą opowiadać wiele historii o osobach, które umierały spokojnie i w stanie pogodzenia. Do tego często potrzebne jest pozwolenie ze strony bliskich. Nie pomożemy umierającej osobie, kiedy mówimy: „Nie zostawiaj mnie”. Największym darem są słowa takie jak np.: „Bardzo cię Kocham, dziękuję ci za wszystko, ale wiem, że teraz jest twój czas. Możesz iść”. Dla mnie to jest definicja dobrej śmierci – sytuacja, w której wszyscy z miłością mają na to zgodę. To jest możliwe, ale jednocześnie bardzo trudne i rzadkie, a moją rolą jako tej towarzyszącej jest pomóc ludziom chociaż zbliżyć się do takiego nastawienia. Żeby nie negowali czy nie wypierali smutku, bo to jest przecież wielka strata, ale żeby było w niej mniej oporu, a więcej pozwolenia.

Na szczytach list najczęstszych przyczyn śmierci w Polsce są różne odmiany nowotworów. Te łagodniejsze, ale także bardziej agresywne. Jak przygotować do śmierci kogoś, kogo ostatnie chwile to wyłącznie fizyczne cierpienie, dehumanizacja, wstyd i ranienie najbliższych?

– Szczerze mówiąc, jeszcze nie byłam w takiej sytuacji. Chcę podkreślić, że moja praca w żaden sposób nie zastępuje usługi medycznej, bo nie jestem lekarką. Podstawą pomocy dla osób na ostatnim etapie życia jest opieka hospicyjna, ale tutaj zaczynają się problemy. Już kilka razy zgłosiły się do mnie osoby, których członkowie rodziny, z różnych powodów, nie byli nawet pod opieką paliatywną. Zanim w ogóle zaczęłam im pomagać, musiałam wytłumaczyć, na czym ona polega i kto może z niej korzystać. Raz przyszła do mnie rodzina, która dostała skierowanie do hospicjum dla chorej mamy, ale nie skorzystali z niego, ponieważ nie wiedzieli, czym jest hospicjum, a nikt im nie wytłumaczył, jak to działa. Dalej w głowie mi się to nie mieści i uważam, że to potężny błąd systemowy. Nie mam także pojęcia, gdzie zaczął się ten brak przekazywania elementarnych informacji wobec osób terminalnie chorych.

A jak wyglądają szkolenia dla personelu hospicjum?

– Jakiś czas temu odkryłam – z dużym zaskoczeniem – w rozmowach z osobami wykonującymi zawód opiekuna medycznego lub pielęgniarzki, że oni podczas swojej edukacji nie poruszają tematu umierania. Jakby był wykluczony z kanonu. Uczą się, jak ratować i utrzymywać funkcje życiowe, ale wiedzę o samym procesie umierania ludzie zdobywają dopiero w pracy.

Spółeczna wiedza o hospicjach niestety nadal jest bardzo ograniczona i ludziom kojarzą się źle, jako umieralnie. Nieraz też spotkałam się z ludźmi, którzy usłyszeli od lekarzy czy personelu najgorsze, co można powiedzieć, czyli, że „już nic nie możemy zrobić”. Nie dość, że jest to krzywdzące, to jeszcze nieprawdziwe, bo zawsze można zrobić coś dla drugiego człowieka. Dlatego też w ramach moich szkoleń rozmawiamy nie tylko o biologicznych aspektach umierania, ale także emocjonalnych, społecznych i duchowych. Warsztaty prowadzę w formie grupowej, zachęcam ludzi do dzielenia się wiedzą, doświadczeniami, wątpliwościami i wnioskami. W ramach grupowego procesu staram się wspierać zespołowość personelu danego ośrodka. Po takich warsztatach zdarzyło mi się słyszeć, szczególnie od młodszych osób z personelu, że dowiedziały się czegoś zupełnie nowego albo że w ogóle nie wiedziały

że można działać w taki sposób. Niezmiennie mnie to zdumiewa, ponieważ dowodzi tylko braków w podstawowym systemie ich edukacji.

Pracowała pani z umierającymi młodymi ludźmi?

– Z tym, że ludzie umierają w różnym wieku bądź stanie zdrowia, mam do czynienia cały czas. Z umierającymi dziećmi nie pracowałam, ale często zgłaszała się do mnie rodzice po pomoc w przeżywaniu żałoby po śmierci dziecka. Podobnie ze śmiercią samobójczą. Często zgłaszają się do mnie rodziny, których strata jest na tyle nietypowa, że nie znają nikogo w swoim otoczeniu, kogo spotkało coś podobnego. Gdy komuś umiera babcia bądź dziadek, to zawsze znajdzie się znajomy, kto będzie mógł się utożsamić z tym uczuciem straty.

A jaka część pani pracy jest najbardziej wymagająca i obciążająca?

– Temat przemocy. Dwa razy zgłosiła się do mnie rodzina, której bliska osoba została zamordowana, i to było dla mnie bardzo trudne. Nie wiem skąd, ale jest we mnie duży spokój w związku z samym końcem życia. Natomiast to, jak ludzie się traktują, ból, przemoc czy okrucieństwo, które sobie nawzajem zadajemy, mnie naprawdę przerażają. Takie wątki są dla mnie najtrudniejsze do przepracowania.

I jak pani sobie z tym radzi?

– Jestem wyedukowana w systemie niemieckim i wedle tych standardów pracuję, a wymagają ode mnie stałej superwizji. Dlatego przynajmniej raz na miesiąc spotykam się ze swoim mentorem. W ogóle uważam, że taki system jest niezbędny dla wszystkich osób, które pracują w emocjonalnie i psychicznie wymagających zawodach. To już nawet nie jest kwestia radzenia sobie z trudnymi elementami pracy, ale raczej elementarna część profesjonalnej higieny.

Oprócz wymiany doświadczeń i bliskich relacji z ludźmi, którzy pracują w podobnych polach do mojego, mam swoje małe, prywatne rytuały. Zapalam świeczki dla zmarłych, dziękuję im i życzę im wszystkiego dobrego, gdziekolwiek teraz są. W ugruntowaniu siebie również mi pomaga regularna praktyka qigong.

Czym się różnią humanistyczne ceremonie pogrzebowe oraz osobiste rytuały pożegnania od tradycyjnych? Jaka też jest w tym rola pani jako mistrzyni ceremonii?

– A co ma pan na myśli, mówiąc o tradycyjnych pożegnaniach? To, jak większość pogrzebów wygląda obecnie, czy stare tradycje funeralne?

Choćby religijne.

– Humanistyczne pogrzeby oraz pożegnania nie są ściśle związane z jakąś konkretną religią, ale to nie oznacza, że nie ma w nich wymiaru duchowości. Ceremonie, które prowadzę, są za każdym razem zupełnie inne i stworzone wyłącznie dla zmarłej osoby. Podstawą jest to, że spędzam dużo czasu z jej rodziną, przyjaciółmi i najbliższymi, dowiaduję się jak najwięcej na jej temat, a potem wszyscy razem tworzymy najbardziej adekwatne pożegnanie. Czy i jaka ma być muzyka, kto ma być i czy ma coś powiedzieć, miejsce, dekoracje, okoliczności – wszystkie elementy są podyktowane osobowością i charakterem zmarłej osoby.

Najlepszym przykładem będzie pogrzeb, który prowadziłam jakiś czas temu. Cała ceremonia miała klubową atmosferę, ponieważ zmarły był didżejem, leciał set muzyki elektro przygotowany specjalnie przez jego kolegę. Słowo powiedzieli przyjaciele i rodzina, do grobu razem z urną położyliśmy winyle. Nikt nie był ubrany na czarno. Razem z rodziną i bliskimi stwierdziliśmy, że właśnie taka forma pożegnania będzie właściwa.

Odwolując się do pani niemiecko-chorwackich korzeni oraz już wieloletniej obecności w Polsce: czy i jak różni się podejście do śmierci w innych krajach?

– Oczywiście są różnice kulturowe, ale myślę, że we współczesnym świecie już nie ma czegoś takiego jak jedno podejście do śmierci w konkretnym kraju, ponieważ każdy człowiek jest inny, niezależnie, czy to Niemiec, Chorwat, czy Polak. Z kolei osoby, które się do mnie zgłaszają, najczęściej same są w procesie szukania czy kształtowania swojego indywidualnego podejścia, którego reprezentacji nie mogą znaleźć w tradycyjnych albo obecnie dominujących formach.

Nowy serwis



Czytaj na:
wysokieobcasy.pl/zyclepiej



Wspomniała pani o brakach i dziurach w edukacji o procesie umierania i wspierania osób na ostatnim etapie życia. Jak w takim razie pani zdaniem taka edukacja powinna wyglądać w Polsce? Na co należy położyć nacisk w procesie kształcenia, aby umieranie było mniej raniące? Czy w ogóle da się?

– Widzę przede wszystkim dwa obszary. Pierwszy dotyczy personelu medycznego w trakcie studiów, np. pielęgnarskich czy lekarskich. W kanonie zajęć powinno być więcej edukacji poświęco-

li gruntowną wiedzę, jak wspierać ludzi w kryzysie. No i do tych domów pogrzebowych regularnie przychodzą wycieczki szkolne! Dzieciaki mogą zobaczyć i zrozumieć, jak działa taki zakład, dotknąć i poczuć trumnę, urnę, dowiedzieć się, jak zorganizować i na czym polega pogrzeb itp.

W trakcie tych wycieczek są organizowane także pogadanki, podczas których mówi się np. o tym, że przeżywanie straty jest indywidualną kwestią, że niektórzy dużo płaczą, inni się bardzo złością, niektórzy potrzebują wtedy być

Sporo hospicjów niestety cieszy się złą opinią i są nazywane umieralniami

nej stricte procesowi umierania i śmierci plus umiejętność komunikowania trudnych informacji. Medycy potrafią zidentyfikować śmierć, ale to nie znaczy, że umieją o niej mówić w ludzki sposób. Często nie potrafią wejść w wspierający i partnerski dialog zarówno z pacjentem, jak i jego rodziną. Druga płaszczyzna jest nieco szersza i uniwersalna, ponieważ moim zdaniem brakuje na podstawowych etapach edukacji dialogu o naszej śmiertelności.

Tutaj mała anegdotka: dwa razy byłam na praktykach w humanistycznych domach pogrzebowych w Niemczech. Oba były prowadzone przez zespół młodych ludzi po studiach pedagogicznych, psychologicznych albo antropologicznych, dlatego mie-

sami, a inny chcą się dużo przytulać – i że to wszystko jest OK. Jeszcze kilka dekad temu byłoby to nie do pomyślenia w Niemczech, aby dzieci jechały na wycieczkę do zakładu pogrzebowego, ale ich obyczajowość się zmienia i otwiera. Im normalniej traktujemy temat śmierci, tym bardziej możemy się wspierać nawzajem.

Czy w Polsce to możliwe?

– Oczywiście. Widzę, że zaczyna się zmieniać podejście do tematu śmierci. Już dwa razy Izba Lekarska w Warszawie zaprosiła do współpracy nasz Instytut. Zorganizowaliśmy razem konferencję „Empatia a umieranie i śmierć” poświęconą dobrym praktykom w sferze medycznej. Świadczy o tym również samo to, że te-

raz rozmawiamy, a media interesują się tematem śmierci już nie tylko w listopadzie, w okolicach Wszystkich Świętych. Podobnie na rynku wydawniczym: w ostatnim czasie ukazało się wiele książek poświęconych śmierci i żałobie. Coś drgnęło w tym temacie, a śmierć przestaje być tematem tabu.

W wywiadach wspomniała pani, że przeciętny 18-latek widział około 13 tys. śmierci w filmach czy grach komputerowych. Jak to jest, że dzisiaj śmierć została zagarnięta przez kulturę masową, najpierw z powodu pandemii, a teraz przez wojnę, ale jednocześnie jest wyparta? Gdy słyszymy hasło „śmierć”, widzimy kitle lekarskie i białe prześcieradła w szpitalu.

– Kiedyś śmierć traktowano jako naturalną konsekwencję życia, a z widokiem zmarłego każdy się spotkał kilka razy w swoim życiu. Dziś nasz stosunek do śmierci jest inny, przypomina raczej ucieczkę od trudnego, niewygodnego tematu. Mimo że śmierć jest obecna w prawie każdym aspekcie kultury, usunęliśmy ją z pola widzenia w życiu realnym. Większość ludzi odchodzi w szpitalach, przez co coraz rzadziej jesteśmy świadkami procesu umierania. Większość z nas boi się kontaktu z martwym ciałem, a opieka nad zmarłym, czyli mycie, pielęgnacja, ubieranie, przeszła z rąk rodziny w ręce profesjonalistów z branży pogrzebowej. Chęć ochrony przed trudnymi emocjami i jeszcze trudniejszymi pytaniami w niczym nam nie pomogła, a wręcz zrobiła nam krzywdę. Z mojej perspektywy odsunięcie się od śmierci spowoduje przede wszystkim pogłębienie lęków przed nią.

Nawiązuje pani do tradycji obcowania rodziny ze zwłokami zmarłego członka. Czy takie zwyczaje już kompletnie zniknęły w Polsce?

– One dalej są, ale w bardzo małym wymiarze. W niektórych regionach, np. na Podlasiu czy Kaszubach, wciąż można znaleźć miejsca, gdzie kultywuje się zwyczaj czuwania przy zmarłej osobie. Rzadko, ale zdarza się, że ludzie proszą, by ciało wróciło ze szpitala do domu, gdzie zbiera się wspólnota i czuwa przez kilka godzin, przez cały dzień i noc al-

JUŻ W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy
extra

DUŻO
DOBREGO
CZYTANIA



SANAH

Lęki są we mnie od zawsze

PSYCHOLOGIA

Czy przyjemności mogą obniżać nastrój?

WISŁAWA SZYMBORSKA

Mało znana historia pierwszej miłości

bo nawet przez kilka dni. Nierzadko ludzie opowiadali mi, że pamiętają z dzieciństwa takie sceny i tęsknią za tym. Twierdzą, że dzisiaj śmierć oznacza zniknięcie najbliższych ludzi, np. rodziców, z otoczenia i nie ma żadnego rytuału tranzycji lub osobistego pożegnania. Sporo ludzi uważa, że takie znikanie powoduje dodatkowy ból i utrudnia proces żałoby.

Domy pogrzebowe, w których się uczyłam w Niemczech, wracają do tych starych tradycji i szukają sposobów, jak je kontynuować we współczesnym świecie i w kontekście urbanistycznym. Zapraszają bliskich do udziału w opiece nad osobą zmarłą, zachęcają do czuwania i osobistego pożegnania. Ich innowacyjność tak naprawdę jest powrotem do tradycji.

Skoro mowa o czuwaniu i współczesnej wrażliwości, to zastanawiam się, czy istnieje jakaś korelacja między tak bliskim kontaktem ze śmiercią czy ludzkimi zwłokami a traumą u najmłodszych członków rodziny.

– Samo obcowanie nie powoduje traumy, ponieważ dzieci traktują temat śmierci jak każdy inny. To, że dorośli się krępują i nie wiedzą, co powiedzieć, wynika z socjalizacji i edukacji. W pewnym momencie wdrukowaliśmy sobie do głów myślenie: „Ojej, śmierć, o tym nie wolno rozmawiać”. To nie jest wrodzony lęk, a dzieci często są zaintrygowane tematem śmierci. Oczywiście są osoby, które po doświadczeniu kontaktu ze zmarłą osobą mają traumy. Absolutnie nie neguję silnych emocji, których ludzie doświadczyli w bardzo młodym wieku, jedynie zwracam uwagę na okoliczności ich powstania. Moim zdaniem źródłem takiej traumy nie jest kontakt ze śmiercią, ale raczej zmuszanie do niego. Czasami ludzie z grozą opowiadają, że jako dzieci musiały np. całować dłoń zimnej cioci lub wujka, który już był fioletowy, ponieważ mówiono im, że „tak trzeba”. Te traumy wynikają z tego, że nikt nie rozmawiał z dzieckiem, nie zapytał, czy ono w ogóle chce tam być i w jakiś sposób wejść w interakcję ze zmarłym.

Czyli śmierć powinna być ogólnie i powszechnie dostępna dla wszystkich?

– Informacja i edukacja o śmierci według mnie powinna być szerzej dostępna. Ale to nie znaczy, że każdy musi z niej korzystać. Jeżeli ktoś chce trzymać temat za zamkniętymi drzwiami i nie chce o tym rozmawiać, to proszę bardzo, nikogo nie można do tego zmuszać. Są jednak osoby, które mają potrzebę się z tym skonfrontować i np. pożegnać się z bliskimi w inny sposób.

A jaki jest społeczny rezonans pani działalności? Jest pani bardzo aktywna w mediach społecznościowych i podobno dużo ludzi się do pani zgłasza z podziękowaniami bądź chęcią opowiedzenia swojej historii oraz traum.

– Rzeczywiście dostaję sporo wiadomości. Czasami ktoś chce się podzielić swoją historią i pisze np., że w moich słowach znalazł kawałek swoich doświadczeń czy życia. Albo że na moich warsztatach nauczył się czegoś ważnego, co mu bardzo pomogło. To jest mój główny odbiór, a od czasu do czasu napisze do mnie też jakaś osoba, która jest na mnie bardzo zła. Czytam wtedy, że piszę jakieś bzdury i w ogóle co ja sobie wyobrażam mówić o TAKICH rzeczach, unikając przy tym brzydkiego słowa na „ś”. Rozumiem, że to budzi dużo emocji. Przecież przypominam ludziom o podstawowej prawdzie, której nie chcemy usłyszeć: każda osoba, którą kochasz, kiedyś umrze. I ty też kiedyś umrzesz.

To skoro nie specjalistka, a tym bardziej „położna śmierci”, to jak panią tytułować?

– (chwila ciszy) Najbardziej adekwatna wydaje mi się towarzyszka umierania. ●

CASA NOSTRA

Nasze Mare Monstrum

Zazwyczaj o tych, którzy toną, nie wiadomo nic więcej niż to, skąd płynęli. I że nie żyją.

Jarosław Mikołajewski

Casa Nostra
Rozpaczam stały felieton, cotygodniowy.
Nazwałem go Casa Nostra, bo brzmi po włosku, a część tekstów będzie poświęcona właśnie Włochom. Lecz nie tylko. „Casa nostra” to łagodna kpina z „cosa nostra”, która znaczy nie „mafia”, tylko „nasz dom”. Będę więc pisał – krótko – o sprawach naszego domu. Naszej utopijnej ojczyzny, którą jest to coś pomiędzy Włochami a Polską. Śródziemnomorze, Europa. Czasami będzie to promienne, ciekawe, a czasem – jak dzisiaj – bolesne. Na przykład Morze Knyszyńskie, Mare Monstrum, europejskie bieguny cierpienia.

Jedna z opowieści jest o wybrzeżach Kalabrii i Sycylii, gdzie co jakiś czas zbiera się ciała migrantów. Jak w Polsce, tyle że tam giną w walce z żywiołem, a u nas, na polsko-białoruskiej granicy, nieszczęśnicy mają pod nogami ziemię.

Zazwyczaj o tych, którzy toną, nie wiadomo nic więcej niż to, skąd płynęli. I że nie żyją. Tym razem mamy opowieść. Czytam ją w kilku włoskich gazetach sprzed 10 dni.

Kenana Shukura znalazł stryj wśród ciał wylowionych i złożonych w Crotone. Kenan miał 26 lat, był Afgańczykiem, jego ojciec był żołnierzem Masuda, zwanego Lwem Pandższiru. Wroga talibów.

Pojechał na studia do Turcji, po powrocie talibów musiał uciekać do Europy. Zanim wsiadł do łodzi, zostawił stryjowi, który mieszka w Szwajcarii, wiersz:
Ziemia mojej duszy jest twarda na mojej piersi jest ciężki kamień na tej łodzi zrozumiałem że ten kto widzi rzeczywistość musi być realistą, że sam jesteś miejscem do którego płyniesz a ono jest twoją ostatnią metą

Stryj, który odnalazł zwłoki, zgodnie z wolą Kenana umieści wiersz na jego grobie. ●

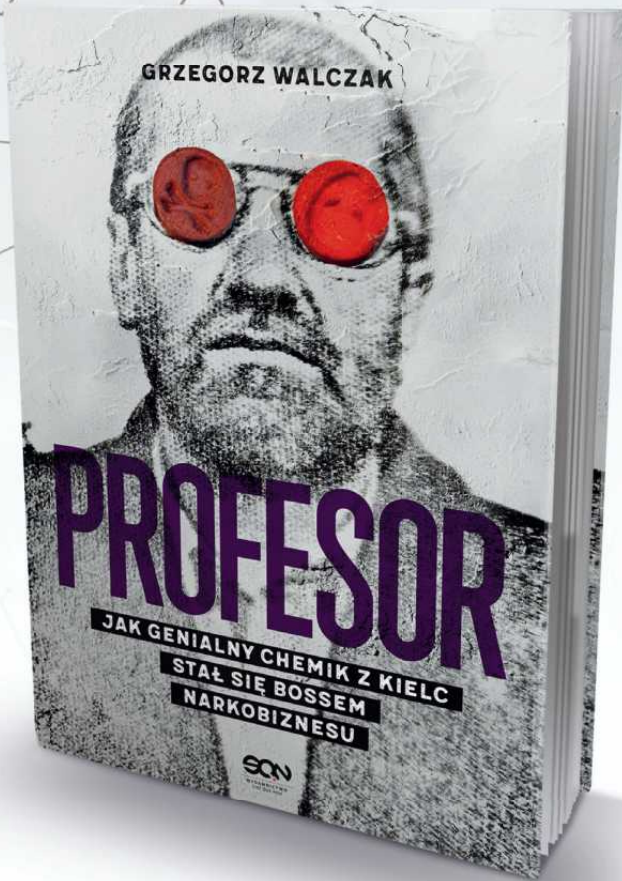
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę*

2.

Fragmentu książki „Profesor. Jak genialny chemik z Kielc stał się bossem narkobiznesu”



„Profesor”, kielecki chemik, elokwentny, doskonale wykształcony, potrafił w ciągu dwóch dni w polowych warunkach wyprodukować amfetaminę o wartości czterech milionów funtów. Brytyjska policja uznała jego narkotyki za najczystsze, jakie kiedykolwiek skonfiskowała. Przez lata skutecznie wymykał się wymiarowi sprawiedliwości.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki Grzegorza Walczaka „Profesor. Jak genialny chemik z Kielc stał się bossem narkobiznesu” oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

GPPJL23

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisać kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podać adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostępna od 18.03.2023 r. do 19.03.2023 r.

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

Z **MARINĄ OWSIANNIKOWĄ***
ROZMAWIA **WIKTORIA BIELIASZYN**

Ostatnio rozmawialiśmy krótko po pani pierwszym antywojennym proteście, kiedy wdarła się pani do studia Pierwszego Kanału, by pokazać widzom wiadomości plakat z napisem: „Nie dla wojny. Zatrzymajcie wojnę. Nie wierzcie propagandzie, tutaj was okłamują. Rosjanie przeciwko wojnie”. Możemy wrócić do tych pierwszych dni wojny?

– 4 lutego 2022 roku miałam wolne, bo pracowaliśmy zmianowo: tydzień pracy, tydzień wolnego. Obudziłam się wcześniej rano, wzięłam telefon i zobaczyłam setki powiadomień z CNN, Meduzy i innych mediów. Wszystkie donosiły o inwazji. Czytałam, że wojska zmierzają w stronę Kijowa, że już są w Odessie. Zaczęłam płakać, wszystko leciało mi z rąk. Nie wiedziałam, co zrobić: zwolnić się, biec do centrum Moskwy z plakatem? Powstrzymał mnie syn, powiedział, że zwariowałam. Po kilku dniach zrozumiałam, że mam przecieć szansę, by dotrzeć do znacznie większej liczby osób, na wizji.

Nie spodziewała się pani napaści? Pracowała pani w państwowej telewizji.

– Przypominam, że niedawno dziennikarze „Financial Times” opublikowali wyniki śledztwa, z którego wynika, że nawet osoby z bliskiego otoczenia Putina nie spodziewały się, że do wojny rzeczywiście dojdzie.

Kiedy amerykański wywiad informował, że Rosja napaśnie Ukrainę w noc z 15 na 16 lutego, śledziliśmy wszelkie ruchy armii, w napięciu obserwowaliśmy sytuację. Ale nic się nie wydarzyło i, widziałam to wyraźnie po twarzach kolegów, odetchnęliśmy z ulgą. Ludzie zaczęli się uśmiechać na korytarzach. Doszliśmy do wniosku, że to był zwykły szantaż i sprawa rozejdzie się po kościach.

Ta ulga...

– ...była chwilowa. Kiedy Putin zwołał 21 lutego posiedzenie Rady Bezpieczeństwa w sprawie uznania niezależności tzw. Donieckiej i Ługańskiej Republiki Ludowej, byłam przekonana, że wkroczy na ich tereny. Jednak wciąż nie wierzyłam, że może próbować zdobyć Kijów.

A inni pracownicy redakcji?

– Trzeba wiedzieć, że w państwowych rosyjskich mediach pracują naprawdę wykształceni ludzie, którzy nie tylko skończyli bardzo dobre studia, ale także podróżowali po świecie, zwiedzali Europę. Większość była absolutnie przerażona inwazją. Niektórym prowadzącym na wizji w pierwszych dniach na wizji drżały dłonie i głosy.

W redakcji Pierwszego Kanału zadeklarowanych putinistów jest pewnie ze 20 proc. Pozostali pracują za duże pieniądze, sprzedają sumienie za komfortowe życie. Część tych osób jeszcze niedawno rano podpisywała petycje przeciwko uwięzieniu Nawalnego, a wieczorem przygotowywała materiały o zgniłym Zachodzie.

Czysto po ludzku – rozumiem ich. Doskonale zdają sobie sprawę z tego, że Putin naznaczył ich krwią i że są zakładnikami reżimu. Nie mają pola manewru. Z drugiej strony uważam, że 24 lutego 2022 roku przed każdym z nas położono cyrograf. Ci, którzy go nie podpisali, nie pracują już w państwowych mediach.

Jeden z moich współpracowników wysłał mi w prywatnej wiadomości na Telegramie wspierającą wiadomość. Okazało się, że FSB ma duplikat mojej karty SIM. Kolega został wezwany na dywanik, nazwany brytyjskim szpiegiem i zwolniony.

Jak to możliwe, że pracownicy państwowych mediów nie wierzą w kremłowską propagandę, a społeczeństwo już tak?

– Wszystkie media, które działają dzisiaj na terenie Federacji Rosyjskiej i nie zostały zablokowane, kontroluje państwo. Zwykli ludzie, którzy nie są zbyt zaawansowani technologicznie albo nie potrafią szukać infor-

MÓJ DOM JEST W ROSJI

Syn mówi, że zniszczyłam mu życie. Mama, że jestem zdrażczynią i należy mnie wsadzić do więzienia.

macji na własną rękę, nie mają dostępu do źródeł innych niż państwowe. Rosjanie nie popierają wojny, ale wielu spośród tych, którzy oglądają jedynie państwową telewizję, zdaje się wierzyć, że to wszystko nie jest takie jednoznaczne.

To efekt propagandy czy tak jest łatwiej?

– Rosjanie zawsze bali się władz. Wiedzą, że prawo i przepisy nic nie znaczą, a każdy człowiek może zostać ofiarą reżimu. Struktury siłowe owinęły się wokół Rosji jak drut kolczasty. A dziś każdy jest świadomy, że jeśli tylko podniesie głowę, zostanie ukarany – nie tylko on, ale i jego bliscy. Prawie wszystkie osoby z mojego otoczenia, niekoniecznie wojujący opozycjoniści, musiały wyjechać z kraju.

Ktoś z pani kolegów lub koleżanek zwolnił się z pracy w państwowej redakcji w ramach sprzeciwu wobec wojny?

– Z mojego najbliższego środowiska m.in. Żanna Agalakowa, korespondentka Pierwszego Kanału we Francji, która pracowała dla państwowej telewizji przez 20 lat. Fała zwolnień nastąpiła też w redakcji kanału Rassija, skąd odchodził głównie średni personel.

Mam kontakt z byłymi dziennikarzami z Lenty, „Komsomolskiej Prawdy” i wielu innych mediów, którzy w ostatnich miesiącach organizowali akcje sabotażowe, publikując na stronach redakcji prawdę o wojnie.

Dowiedziała się pani w ciągu tych miesięcy czegoś nowego o Rosji i Rosjanach?

– Pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to gorzka myśl, że nasza opozycja nie jest

w stanie się zjednoczyć nawet w czasie wojny. Byłam przekonana, że taki koszmarny i piekło sprawią, że będziemy solidarni i wspólnie zrobimy wszystko, by zatrzymać tę wojnę. Tymczasem opozycja jest skonfliktowana, nieustannie dyskutuje o podziałach i różnicach.

A jak wyglądają pani relacje z rodziną? Ponoć syn nie wybaczył pani i mówił, że zniszczyła pani życie całej rodzinie.

– Właściwie ich nie ma, nie rozmawiamy. Większość nie odpowiada na wiadomości i telefony. Syn został w Rosji z ojcem. Staram się z nim rozmawiać, ale nie wychodzi nam to zbyt dobrze, może dlatego, że jest pod bardzo silnym wpływem mojego byłego męża, który pracuje dla Russia Today. Mówiąc wprost: ojciec pierze mu mózg. A syn jest w trudnym wieku, to nastolatek, który czuje z ojcem swego rodzaju męską solidarność. Mnie traktuje jako zdrażczynię, która wywróciła nasze życie do góry nogami.

Pani mama?

– Mówi, że jestem przedstawicielką piątej kolumny i zdrażczynią, którą należy wsadzić do więzienia. Ma 70 lat, tęskni za ZSRR i nie rozumie, jak można sprzeciwiać się Putinowi. Zawsze go popierała, zresztą nie tylko jego. Starsze pokolenie jest nauczone, by wierzyć władzom i nie podawać wątpliwości niczego, co robią. Już wcześniej się obrażała, kiedy starałam się jej tłumaczyć, jak wygląda praca w państwowych mediach. Dla niej autorytetem jest Władimir Sołowiow [jeden z najpopularniejszych i najbardziej wpływowych ludzi telewizji w Rosji], nie ja.

FOT. JOEL SAGET/AFP/EAST NEWS



A rodzina w Ukrainie?

– Z nimi mam kontakt. Kuzynki mnie wspierają. Paradoksalne jest natomiast to, że krewni od strony ojca, Ukraińca, którzy od lat mieszkają w Moskwie, wierzą kremlowskiej propagandzie i popierają Putina.

Pani poglądy różnią się od poglądów pani mamy, ale pracowała pani w telewizji, której ona ufa.

– Od kilku lat mam liberalne poglądy. Przerażała mnie demonizacja Zachodu, represje, dokręcanie śruby, aneksja Krymu. Co mogę powiedzieć na swoją obronę? Że zależało mi na utrzymaniu dwójki dzieci, a do tego potrzebna była dobrze płatna praca. Płynęłam z prądem. Uspokajałam się tym, że nie jestem twarzą tej telewizji, że siedzę za kadrem i nikt mnie nie zna.

Od wielu lat w Rosji działają niezależne media. Można było chyba tam spróbować się zatrudnić?

– Można było, ale to wymagało skoku na głęboką wodę, zniszczenia świata, który przez lata budowałam dla rodziny. Miałam nieszczęśliwe dzieciństwo, przeżyłam wojnę w Czeczenii, byłam uchodźczynią, nie miałam stałego domu ani poczucia bezpieczeństwa, mama wychowywała mnie sama, bo ojciec zmarł krótko po moim urodzeniu. Nie chciałam, żeby moje dzieci miały podobne dzieciństwo. Kiedy udało mi się zbudować spokojny dom, w którym niczego nie brakuje, nie mogłam wszystkiego poświęcić. Trzeba mieć silną motywację. Mnie zmotywowała wojna. Nie tylko dlatego, że jestem pół-Ukraińką, ale też dlatego, że wiem, jaką katastrofą jest wojna. Widziałam ją już na własne oczy.

Blisko 20 lat pracowała pani w państwowej rosyjskiej telewizji. Jak zmieniła się narracja?

– W pierwszej dekadzie XXI wieku Pierwszy Kanał nie był machiną propagandy. Im więcej wrogości względem Zachodu i Ukrainy było w narracji Putina, tym bardziej radykalizowały się media. Pierwsze mocne dokręcenie śruby zauważyłam po napaści na Gruzie, kiedy Putin zrozumiał, że przegrał wojnę informacyjną. Z czasem doszło do tego, że nie mogliśmy publikować żadnych pozytywnych wiadomości z Zachodu, łącznie z transmisją z gali Oscarów, bo to „nie nasze święto”.

A Ukraińców w pewnym momencie zaczęto nazywać „nacionalistami”, „nazistami” i „zwolennikami Bandery”. Od kilku lat propaganda robiła wszystko, by ich odcłowieczyć.

Jak mogłaby pani opisać sposób tworzenia propagandy?

– Chodzi o bardzo dokładne śledzenie informacji i sprawdzanie faktów, tak by maksymalnie wykorzystać te, które mogą przedstawić władze w dobrym świetle, a jej przeciwników w złym. Akcentuje się konkretne wypowiedzi czy wydarzenia, wyolbrzymia lub umniejsza ich znaczenie. Wyrwa słowa z kontekstu. Odziera z pierwotnego znaczenia.

Krótko po proteście wyjechała pani z Rosji. Planowała pani wcześniej emigrację?

– Nie, ani przez moment. Nie myślałam o niej nawet w trakcie protestu. Niedawno wprowadziłam się z dziećmi do nowego domu w jednej z najbardziej nowoczesnych dzielnic Moskwy, syn poszedł na studia, córka chodziła do szkoły. Żyło nam się naprawdę dobrze, wszystko zaczęło się układać.

Wyjechałam, bo wszyscy mówili mi, że to konieczne dla bezpieczeństwa. Nie jechałam też całkiem w nieznane, bo skontaktowałam się ze mną zagraniczne media: amerykańskie, brytyjskie, włoskie, niemieckie. Wszystkie proponowały współpracę.

Zaczęła pani pracę w niemieckim „Die Welt”.

– Tak, redakcja skontaktowała się ze mną poprzez moich zaufanych przyjaciół jesz-



cze w Moskwie. Od razu po wyjeździe z Rosji pojechałam na reportaż. Najpierw do Moldawii, by opowiedzieć o ukraińskich uchodźcach, a później do Ukrainy. Nie skończyło się dobrze. I mnie, i redakcję spotkało z tego powodu dużo hejtu. Zarzucano mi, że tak naprawdę jestem agentką FSB, że reportaże nie są na żywo.

Z perspektywy czasu widzę, jak głupi był pomysł, by do Ukrainy w czasie, kiedy rosyjska armia ostrzeliwuje ukraińskie miasta, pchał się jakikolwiek człowiek z rosyjskim paszportem.

Pani jest z pochodzenia pół-Ukraińką, urodziła się pani w Odessie.

– Myślałam o wojnie, ale i o dzieciach, które zostały w Rosji, o tym, że i dla Ukraińców, i dla wielu Rosjan jestem kimś, komu nie wolno wierzyć. Zostałam zwolniona z „Die Welt”. Nie dlatego, że mi nie ufano. Usłyszałam, że redakcja nie jest w stanie obronić się przed atakami rosyjskich trolli i tymi, które płynęły ze strony Ukrainy. „Die Welt” nie miał wcześniej takich doświadczeń, powiedzieli mi, że nie są w stanie zapewnić mi bezpieczeństwa i powinnam znaleźć pracę w większych mediach, które zapewnią mi ochronę.

Wtedy, choć na krótko, wróciła pani do Rosji. Dlaczego? Wydaje się to irracjonalne, a dla wielu wręcz podejrzane.

– Wszyscy mnie o to pytają, a ja nie miałam innego wyjścia. Owszem, prawnicy i bliscy ostrzegali mnie, że od razu zostanę zatrzymana i wsadzona do więzienia, ale postanowiłam zagrać w rosyjską ruletkę. Po proteście na wizji wyjechałam z Rosji sama, bez dzieci. W tym czasie mój mąż rozpoczął walkę o ograniczenie mi praw rodzicielskich. Zrozumiałam, że jeśli nie wrócę do Moskwy, nie zobaczę mojej jedenastoletniej córki przez wiele lat, aż osiągnie pełnoletność. Napędzał mnie gniew, że rosyjskie władze zabijają ukraińskie dzieci bez żadnych konsekwencji, a ja nie mogę wrócić do kraju po to, co dla mnie w życiu najważniejsze: po córkę.

Nie od razu panią zatrzymali.

– Zaczęło się od kar administracyjnych. Najpierw grzywna za wywiad, w którym wyraziłam wsparcie dla opozycyjnego polityka Ilji Jaszyna, uwięzionego za informowanie o wojnie, o zbrodniach w Buczy. Kolejna grzywna była za wpisy o wojnie w mediach społecznościowych. Przy kolejnym naruszeniu, kiedy zaprotestowałam przeciwko wojnie na tle Kremla, przypominając, że Rosja zabiła w Ukrainie setki dzieci, wytoczono mi sprawę karną i oskarżono mnie o „rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji o rosyjskiej armii”. Później były wielogodzinne przesłuchania, noc w areszcie, a potem, tylko ze względu na małoletnią córkę, areszt domowy.

Próbuję zrozumieć, dlaczego wyszła pani na ten protest, wiedząc, że niewiele brakuje, by wtrącono panią do więzienia.

– To było w dniu, kiedy w ataku raketowym na Winnicę na oczach swojej mamy zginęła 4-letnia Liza. W tym samym czasie scho-

dził ze mnie długotrwały stres: przez dwa tygodnie walczyłam z mężem, który uprowadził i uwięził w mieszkaniu naszą córkę, nie zezwalając jej na kontakt ze mną. Dzisiaj myślę, że pod wpływem tej mieszanki gniewu, rozpacz i poczucia niesprawiedliwości zdecydowałam się wyjść z tym plakatem. „Oni ot tak zabijają dzieci, a ja nie mogę wyjść z głupim plakatem, żeby powiedzieć im, co o nich myślę?” – pomyślałam. Koleżanka, która ze mną pojechała, próbowała mnie powstrzymać. Stałyśmy tam raptem kilka minut.

Polacy często pytają mnie, jak to możliwe, że nie znalazła się pani w więzieniu.

– Też się zastanawiam. Kiedy siedziałam w sądzie, byłam przekonana, że już nie wyjdę. Dmitrij Zachwatow, mój adwokat, przygotowywał mnie na to. Tłumaczył mi to sobie tym, że rosyjskie organy ścigania, w odróżnieniu od białoruskich, starają się mimo wszystko stwarzać jeszcze pozory. Wspomnijmy Nawalnego, przecież on też nie od razu znalazł się w więzieniu, najpierw były grzywny, potem areszt domowy, potem kara pozbawienia wolności w zawieszeniu.

Wiem od Dmitrija Zachwatowa, że organizacja pani ewakuacji z Rosji była bardzo skomplikowana.

– Nie mogę zdradzić szczegółów, by nie narazić na niebezpieczeństwo osób, które mi pomagały. Dima pomagał mi i mojej córce w ucieczce. Właściwie to on nas namawiał, żebyśmy spróbowały wyjechać przed ogłoszeniem wyroku, bo było dla niego oczywiste, że mnie zamkną. Podpowiadało mu to nie tylko doświadczenie, ale także posunięcia władz, które ewidentnie szły grubszą sprawę. Federalna Służba Wykonywania Kar nieustannie oskarżała mnie o naruszenie zasad aresztu domowego, np. kiedy, wyprowadzając psa, nieświadomie przekroczyłam o krok dozwoloną odległość, na którą mogłam się oddalić od domu. Wolontariuszka, która robiła mi zakupy i prowadziła moje media społecznościowe, bo miałam zakaz korzystania z internetu, była wzywana na coraz to nowe przesłuchania...

Pomagała pani wolontariuszka. A bliscy?

– Czułam wsparcie, ale osoby, które widziały ze mną choćby tylko chwilę na mieście, były kontrolowane przez policję.

Wielu ludzi się ode mnie odwróciło. Zorientowałam się bardzo szybko, że jestem persona non grata. Urzędnik, który sprawuje pieczę nad naszym osiedlem, zablokował mi wjazd. Nie mogłam zaparkować samochodu we własnym garażu. Stomatolożka, starsza kobieta, nie chciała mi pomóc, kiedy rozbiła mnie ząb. Policji, która zawiozła mnie do niej, po kilku tygodniach moich prośb powiedziała, że więcej mają nie przeprowadzać takich zdradczyń.

Dodatkowe problemy piętrzył mąż, który samowolnie wypisał córkę ze szkoły, później nasłal na mnie opiekę społeczną, a na naszą nianię – policję, która usiłowała ją zatrzymać na ulicy. Walka toczyła się na wszystkich frontach.

O **Marinie Owsiannikowej***, redaktorce Pierwszego Kanału państwowej telewizji, świat usłyszał 14 marca 2022 r., kiedy pojawiła się na ekranach rosyjskich telewizorów podczas wieczornego wydania wiadomości z plakatem antywojennym. Skandowała: „Stop wojnie! Nie dla wojny!”. Obecnie przebywa we Francji, gdzie uzyskała azyl dzięki wsparciu prezydenta Macrona.

A co może pani powiedzieć samej ucieczce?

– Długo nie wiedzieliśmy, dokąd mamy uciekać. Ojciec mojej córki zablokował jej możliwość oficjalnego opuszczenia kraju. Dima włożył wiele wysiłku w organizację, a nam kazał przygotować się fizycznie, mówił, że będziemy musiały w pewnym momencie pójść w stronę granicy pieszo ze wszystkimi rzeczami. W końcu, w noc z piątku na sobotę, na tydzień przed wyrokiem, wyruszyliśmy. W weekend, bo uznaliśmy, że wtedy większość siłowników siedzi na dachach z wódką i szaszłykami. Zmieniliśmy po drodze siedem samochodów. Potem wiele godzin szliśmy przez pole, las i błota, padając na ziemię za każdym razem, kiedy włączały się latarnie straży granicznej. Po drugiej stronie czekali zaangażowani w ewakuację działacze Reporterów bez Granic. Nie mogę powiedzieć, w którym kraju się z nimi spotkaliśmy.

Jeśli chodzi o Francję, to nie tylko Reporterzy bez Granic okazali pani wsparcie. Sam Macron zadeklarował, że udzieli pani azylu politycznego.

– Tak, od razu po moim proteście w telewizji.

Jak ucieczkę zniosła pani córka?

– Była dzielniejsza ode mnie. Pokonując te kilka kilometrów, nie płakała, nie marudziła. Ja niosłam jeszcze dwie walizki i w pewnym momencie uznałam, że nie mam siły, że pójdę do więzienia, bo zwyczajnie nie dam rady. To ona mówiła, że jeszcze tylko trochę, że damy radę.

Dzisiaj widzę, że tęskni za domem, stabilizacją, koleżankami ze szkoły, za językiem rosyjskim. Ale mam nadzieję, że w przyszłości zrozumie, że to było jedyne właściwe wyjście.

I co dalej?

– Mam dużo energii i siły. Biorę rano tabletkę uspokajającą, wieczorem drugą i działam. Gniew, chęć walki o wolność i sprawiedliwość mnie motywują. Współpracuję z Reporterami bez Granic i obrońcami praw człowieka, planujemy działania na rzecz wolności słowa w Rosji, pomoc więźniom politycznym i represjonowanym dziennikarzom. Angażuję się w organizacjach kobiecych. Organizuję pieniądze dla Ukrainy: na Berlinie sprzedaliśmy niedawno za 20 tysięcy euro mój plakat z napisem „Putin zabójca”, zysk z Nagrody im. Václava Havla przekazałam fundacjom pomagającym Ukrainie, część dochodów ze sprzedaży mojej książki przelejemy na fundację wspierającą uchodźców.

Wierzy pani w demokratyczną Rosję?

– Mam nadzieję, że pójdzie tą samą drogą, jaką poszły swego czasu Niemcy. Dlatego najpierw musi przegrać wojnę. A my już teraz musimy toczyć walkę o umysły Rosjan, starać się dotrzeć do nich z prawdą. Wierzę, że mamy szansę zobaczyć Rosję bez Putina. Rosję, która wypłaci Ukrainie reparacje, pokaja się i uzna wyroki wymierzone zbrodniarzom wojennym.

Marzę, że wrócę do kraju. Mam tam mamę, syna. Tam jest mój dom. Musimy tylko najpierw pokonać to zło. ●

PRAWDZIWA SUKIENKA, NIEPRAWDZIWA HISTORIA

• Elizabeth Debicki jako księżna Diana w serialu „The Crown”.
Sukienka zemsty taka sama, ale nie ta sama FOT. KEITH BERNSTEIN



Czy mamy prawo zastrzec sobie historię swojego życia?

Emilia Dłużewska

1 lutego 1992 r. Rita Isbell staje na mównicy sądu w Milwaukee. Jest ubrana w czarną koszulkę z napisem „100% Black” i rozpi-nany sweter. W uszach ma złote koła. Jest wściekła. Minęło dziesięć miesięcy, odkąd jej młodszy o 12 lat brat Errol Lindsey wyszedł z domu dorobić klucz i zniknął. Osiem, od kiedy policja aresztowała mieszkającego dwie przecznice dalej Jeffreya Dahmera, seryjnego mordercę, który wabił młodych mężczyzn do swego mieszkania, odurzał i mordował. Ofiary rozczłonkował, część ciał zjadał.

Isbell zgłosiła się do udziału w procesie jako świadek, który opowie o cierpieniu rodziny. Wcześniej przez kilka dni słuchała, jak adwokaci Dahmera przekonują, że ich klient był tak opętany żądzą mordu, że nie panował nad sobą. – Pokażę wam, co to znaczy nad sobą nie panować – rzuca. Z każdym kolejnym zdaniem mówi szybciej i głośniejszy. – Nie chcę już nigdy więcej widzieć, jak moja matka przechodzi przez coś takiego. Nigdy, Jeffrey! Nienawidzę cię, Jeffrey! Skurwysynu!

Kobieta zeskakuje z mównicy. Od nieruchomego Dahmera dzieli ją tylko stół, za którym siedzi oskarżony i jego prawnicy. – Zabiję cię! – wrzeszczy, zanim w końcu odciąga ją czterech strażników.

29 lat później aktorka DaShawn Barnes staje w scenografii udającej salę sądową. Jest ubrana w czarną koszulkę z napisem „100% Black” i rozpinany sweter. W uszach ma złote koła. – Nazywam się Rita Isbell

i jestem najstarszą siostrą Errola Lindseya – zaczyna.

Aktorka jeden do jednego odtwarza wystąpienie Isbell: mimikę, bezładne wymachiwanie rękoma, wrzaski. Tak samo wyrywa się przytrzymującym ją strażnikom.

22 września, dzień po premierze serialu Netflix, właścicielka twitterowego konta dla miłośników gatunku true crime zamieszcza wpis porównujący oryginalne nagranie z procesu i scenę z serialu. „Wspaniałe aktorstwo”, „Ciarki przechodzą”, „Czas zacząć lobbować za przyznaniem jej Emmy” – piszą komentatorzy.

Ritę Isbell też przeszły ciarki, choć z innych powodów. „Gdybym nie wiedziała, pomyślałabym, że to ja. Czułam się, jakbym przeżywała to ponownie. Wróciły do mnie wszystkie emocje, które wtedy czułam” – napisała w tekście opublikowanym cztery dni później przez magazyn „Insider”. „Mam wrażenie, że Netflix powinien spytać nas, czy to w porządku albo jak się z tym czujemy. Mnie nie pytali o nic. Po prostu to zrobili”. Isbell obejrzała tylko jeden odcinek – ten, w którym pokazane jest jej wystąpienie: „Nie musiałam tego oglądać. Ja to przeżyłam” – skwitowała.

GIERŻONIÓW CZY NYSA?

– Pan Gąsiorek nie mógłby się spodziewać, że kiedyś zostanie tak przedstawiony – mówi mi Stefan Bartosiewicz, emerytowany inżynier hydrolog. – To szok. Wiem, że był abstynentem, a zrobili z niego pijaczka, i to w godzinach pracy.

Bartosiewicz to wieloletni pracownik administracji wodnej we Wrocławiu. W czasie powodzi tysiąclecia w 1997 r. był zastępcą dyrektora Regionalnej Dyrekcji Gospodarki Wodnej. W 2002 r. prezydent RP odznaczył go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za wybitne zasługi w tej dziedzinie.

„Wielką wodę” – serial, który miał na Netflixie premierę w październiku 2022 r. – zna, obejrzał cztery odcinki. Niektóre ele-

menty mu się podobały. – Świetnie pokazany był początkowy lęk i szok, a potem solidarność, która wtedy wybuchła, wzajemna pomoc, rola mediów, które były na miejscu – mówi. – To, że byliśmy zacołani w stosunku do świata, to nieprawda. W 1997 r. przyjeżdżali do Wrocławia hydrologi z Kanady, Japonii. Byli pod wrażeniem. Prawdą jest natomiast, że niekiedy panował chaos: jedni wysadzali wały, inni ich bronili, na koniec wszyscy dostali odznaczenia. To się nadaje do serialu.

Największy problem Stefan Bartosiewicz ma z regatami w Gierżoniowie. W serialu wygląda to tak: do Wrocławia zbliża się fala powodziowa, władze nakazują spuścić wodę ze zbiornika retencyjnego pod miastem. Kierujący sztabem kryzysowym Jakub Marczak (grany przez Tomasza Schuchardta) jedzie na miejsce. Okazuje się, że zbiornik nadal jest pełen – lokalne władze organizują tam regaty, politycy przyjeżdżają robić kampanię, powódź musi poczekać. Pijany kierownik zapewnia, że opróżni zbiornik, gdy impreza się skończy. Ale jest już za późno.

Gierżoniów, podobnie jak Jakub Marczak, nie istnieje. Pod Wrocławiem nie było wówczas zbiornika retencyjnego. Był za to zbiornik w Nysie – właśnie ten, którym kierował Włodzimierz Gąsiorek. Wystarczy chwilę poszukać w internecie, by znaleźć skan „Wiadomości Nyskich” z 15 lipca 1997 r., w którym dziennikarze dociekają, czemu woda została spuszczone tak późno. O regatach ani słowa.

Twórcy serialu mówią o nich enigmatycznie. – Z delikatnych tematów regaty okazały się najbardziej delikatne. Każdy wiedział, że jakieś regaty były, ale nikt nie chciał mówić, gdzie, o co dokładnie chodziło – opowiada Magdzie Molek scenarzystka Kasper Bajon w „Historiach wielkiej wody”, serii wywiadów wokół serialu. – Natomiast rzeczywiście tam były regaty – mówi. Dodać, że sprawę opisało kilka gazet, ale potem temat został wyciszony. Wtórkuje mu obecny w studiu Tomasz Czukniewski, dziennikarz, autor youtubowego kanału „Ciekawe

historie”. – Zbiornik retencyjny był oryginalnie w Nysie. Widać, jak dokładna była dokumentacja, bo ja wątek regat pominąłem. A to prawda.

– Regaty się nie odbyły – twierdzi Bartosiewicz. – Owszem, były zaplanowane, były naciski na nas, telefony. Ale my podlegaliśmy ministrowi i nie musieliśmy się nimi przejmować. A kierownicy zbiorników wykonywali nasze polecenia. Cała dokumentacja sterowania zbiornikami nadal znajduje się w archiwum RZGW.

Z panem Gąsiorkiem skontaktować się nie można, od dawna nie żyje. Osoba dobrze znająca tamte wydarzenia mówi mi, że wszyscy mają po części rację: regaty oficjalnie się nie odbyły, ale łódki pływały po jeziorze, a organizatorzy starali się maksymalnie opóźnić spuszczenie wody ze zbiornika.

Bartosiewicz uważa, że choć twórcy serialu użyli fikcyjnej nazwy miejscowości, skojarzenia z Nysą są oczywiste. A skoro tak, to widzowie mogą uznać, że „Wielka woda” pokazuje prawdziwe wydarzenia. Bo li go to nie tylko jako urzędnika i przełożonego pana Gąsiorka, ale też dlatego, że w jego ocenie kierownik zbiornika zachował się bohatersko. – Pan Gąsiorek z ogromną ofiarnością walczył z powodzią. Kiedy nadeszła fala, na zaporze zaczęło się zbierać wymywane drewno, grożąc jej zablokowaniem i zerwaniem. Osobiście spuszczał się wtedy na linach, żeby usuwać zator. Po ciemku, w kotłującej się wodzie. Ryzykował życie – podkreśla.

CZY NETFLIX SZKODZI MONARCHII?

„Jak nikt inny wierzę w wolność artystyczną. Ale nie mogę tego tak zostawić” – pisze 19 października 2022 r. brytyjska aktorka Judy Dench w liście otwartym do twórców serialu „The Crown”. Dench, siedmiokrotnie nominowana do Oscara, zarzuciła w nim Netflixowi „okrutną niesprawiedliwość”, „wulgarną pogonią za sensacją” i szkodzenie brytyjskiej monarchii. Aktorka domagała

się, by każdy odcinek zaczynał się od plan-szy informującej, że serial to fikcja.

Nie ona pierwsza. Dwa lata wcześniej, tuż przed premierą czwartego sezonu, takie rozwiązanie sugerował ówczesny minister kultury Wielkiej Brytanii Oliver Dowden. Jak tłumaczył, miałoby to uchronić młodszych, niepamiętających przedstawionych w serialu wydarzeń widzów przed pomyleniem rzeczywistości z fikcją.

Historycy wysmiali pomysł ministra, nie brakło jednak głosów poparcia, w tym od Heleny Bonham-Carter, grającej księżniczkę Małgorzatę, czy od Charlesa Spencera, brata księżnej Diany, o której małżeństwie z księciem Karolem opowiada sezon. Simon Jenkins, felietonista lewicowego „Guardiana”, porównywał serial do fake newsów.

Flagowa produkcja Netflixa opowiada historię Windsorów od ślubu przyszłej królowej Elżbiety II z księciem Filipem. Popularność zdobyła na całym świecie, ale tylko w Wielkiej Brytanii była przedmiotem dyskusji politycznych. Zwolennicy monarchii zarzucali jej niedostateczny szacunek dla majestatu; przeciwnicy – ocieplanie wizerunku rodziny królewskiej. Im bardziej akcja serialu zbliżała się do czasów współczesnych, tym silniejsze emocje budził. Nie tylko ze względu na wątek Diany, której związek z Karolem i tragiczna śmierć do dziś kładą się cieniem na Windsorach. Dla krytyków „The Crown” problemem był nie sposób, w jaki jego twórcy pokazują wydarzenia historyczne, ale to, jak splatają je z fikcją.

Piąty sezon serialu otwiera odcinek zatytułowany „Syndrom królowej Wiktorii”. Jest 1991 r. Elżbieta II, 65-letnia, ale wciąż w dobrym zdrowiu, udaje się na wakacje. Tymczasem następca tronu dostaje wyniki sondażu przeprowadzonego przez „The Sunday Times”. Respondenci oceniają królową jako starą i oderwaną od rzeczywistości; Karola zaś jako osobę pełną energii i rozumiejącą współczesność. Prawie połowa uważa, że Elżbieta powinna rozważyć abdykację na rzecz syna. Książę spotyka się z premierem Johnem Majorem, by wybać, czy szef rządu poparłby ten pomysł.

Taki sondaż nigdy się w „The Sunday Times” nie ukazał. W 1990 r., rok wcześniej, niż dzieje się akcja serialu, gazeta faktycznie spytała czytelników, czy ich zdaniem królowa powinna w którymś momencie rozważyć oddanie tronu synowi, i faktycznie odpowiedzi twierdzącej udzieliła niemal połowa respondentów. Ale pytanie dotyczyło nieokreślonej przyszłości. O określenia kojarzące się z Elżbietą i Karolem „The Sunday Times” nie pytał zaś wcale.

Oburzenie było tym większe, że premiera piątego sezonu „The Crown” odbyła się niecałe dwa miesiące po śmierci Elżbiety II i ogłoszeniu Karola królem. John Major nazwał „Syndrom królowej Wiktorii” „stekiem bzdur”. Jego rzecznik przekazał mediom, że odcinek jest „niczym więcej niż szkodliwą i złośliwą fikcją”, a podobna sytuacja nigdy nie miała miejsca. Sęk w tym, że twórcy serialu wcale tak nie twierdzą. Przedstawiciele Netlifxa na skargi odpowiadają niezmiennie: „The Crown” to fikcja zbudowana wokół wydarzeń historycznych. Zresztą, dodają, widzowie muszą być tego świadomi – wiele scen toczy się między dwiema osobami, bez świadków, którzy mogliby opowiedzieć o nich tabloidom. Scenarzyści nie mogli przecież wiedzieć, o co młoda Elżbieta II pokłóciła się z siostrą w prywatnych komnatach albo o czym rozmawiała podczas spotkań z kolejnymi premierami. To oczywiście, tłumaczą twórcy, że poszczególne sceny czy kwestie są wytworem ich wyobraźni.

Złośliwi dorzucali jeszcze, że kto jak kto, ale Judy Dench – nagrodzona Oscarem za rolę Elżbiety I w „Zakochanym Szekspirze” – powinna zdawać sobie z tego sprawę.

SUKIENKA ZEMSTY DOSKONAŁE ODSZYTA

Jasne, wytłumaczenie Netflixa jest racjonalne. Tyle że celem twórców „The

Crown” – a także twórców „Wielkiej wody”, „Dahmera” i tabunów innych filmowców – jest skłonienie odbiorców do zawieszenia racjonalnego osądu. Chodzi w końcu o to, by widz uwierzył, że ogląda pałac Buckingham, a nie plan filmowy; Margaret Thatcher, a nie Gillian Anderson w natapirowanej peruce. To dlatego fanom „The Wire” może zgrzytać obsadzony w roli księcia Karola Dominic West, zbyt podobny do detektywa Jimmy’ego McNulty’ego.

W przypadku seriali „opartych na faktach” stworzenie wiarygodnej iluzji jest podwójnie trudne. Nie wystarczy przekonać widzów, że oglądają czyjąś prawdziwą historię – muszą przekonać ich, że to historia prawdziwych, osadzonych w danym czasie i miejscu ludzi. Często osób, które znają ze zdjęć, z nagrań czy podręczników historii.

„The Crown” robi to świetnie i chętnie się tym chwali. Od pierwszego sezonu po internetowych portalach krążą zestawienia kadrów z serialu i archiwalnych zdjęć rodziny królewskiej. Przed premierą czwartego, w którym pojawia się postać Diany Spencer, media społeczniowe zalały zachwyty nad idealnie odtworzoną garderobą księżnej: spektakularną suknią ślubną typu „beza”, pastelowymi ogrodniczkami i kwieciściami bluzką przedszkolanki czy słynną „sukienką zemsty” – aksamitną, odsłaniającą ramiona małą czarną założoną przez Dianę w dniu, w którym jej mąż publicznie przyznał się do romansu z Camillą.

Twórcy serialu rekonstruują nie tylko garderobę i fryzury, ale też gesty, sposób poruszania się, a nawet konkretne kadry z archiwalnych materiałów. A tych nie brakuje, bo życie Windsorów było i jest skrupulatnie dokumentowane – podjęta w 1953 r. decyzja, by koronację Elżbiety II transmitować na żywo w telewizji, była początkiem skomplikowanej relacji między rodziną królewską a brytyjskimi mediami. Przez kolejne dekady Windsorowie – z różnym skutkiem – usiłowali odsłonić tyle prywatności, by zaspokoić czytelników tabloidów, a jednocześnie nie zniszczyć majestatu monarchii.

„The Crown” robi to, co przed nim robiły gazety, filmy, autoryzowane i nieautoryzowane biografie: sięga po prawdziwe wydarzenia i układa je po swojemu. A że niekiedy mija się przy tym z prawdą? Cóż, odpowiadają jego obrońcy, nikt przecież nie twierdził, że to dokument.

NOCNIK WYBIŁ

Gdzie przebiega granica między korzystaniem z czyjejś historii a jej wykorzystaniem? Nie wiem. I nie sądzę, by na to pytanie dało się jednoznacznie odpowiedzieć. Chyba że słynnym bon motem sędziego Sądu Najwyższego USA Pottera Stewarta: „I know it when I see it” („Rozpoznam, jak zobaczę”).

Nawet na poziomie prawnym kwestia jest niejasna. Producenci zwykli zabezpieczać się przed pozwem, opatrując filmy i seriale formułą o „przypadkowym” lub „niezamierzonym” podobieństwie do prawdziwych wydarzeń lub podkreślając, że mamy do czynienia z historią udramatyzowaną. Ale nie zawsze to wystarczy.

Nie wystarczyło Andrzejowi Żuławskiemu, który podobną notkę zamieścił na końcu „Nocnika”. Opublikowaną w 2010 r. książkę „Krytyka Polityczna”, jej wydawca, reklamowała: „Dziennik? Powieść? Kilka powieści w jednej? Nie, po prostu »Nocnik«, do którego spływają kolejne noce. I dni”. Sam reżyser unikał jednoznacznej odpowiedzi. – W „Nocniku” fikcja nakłada się na rzeczywistość, przemieszane są tam scenariusze filmowe, wydarzenia polityczne, opinie. Opisani są ludzie, częściowo z życia, częściowo z fikcji – tłumaczył na łamach „Wyborczej” Romanowi Pawłowskiemu.

Wśród nich – Esterka, 23-letnia aktorka, z którą narrator „Nocnika”, 67-letni reżyser, miał romans. Esterka ma ojca polityka i matkę projektantkę mody. Wychowała się w Belgii, próbuje robić karierę w Hollywood. Zupełnie tak jak aktorka Weronika

Rosati, z którą romans miał Andrzej Żuławski. Nawet wywiadów w telewizji śniadaniowej udziela w te same dni. Esterka jest też, cytując Żuławskiego, „szmatą, w którą spuszczają się hollywoodzkie ch...”, którą cechuje „rozumowanie i język ładacznicy”.

Weronikę Rosati opis obrazili. Sąd przyznał jej rację, polecając Żuławskiemu i „Krytyce Politycznej” przeprosić aktorkę, a reżyserowi dodatkowo zapłacić jej 100 tys. zł za dośczuczynienia.

Są i mniej oczywiste przykłady. W marcu 2020 r. pozew o zniesławienie złożyła przeciw Netflixowi Linda Fairstein, prokurator-ka prowadząca sprawę piątki z Central Parku. Proces, w którym była oskarżycielką, toczył się w 1990 r. w Nowym Jorku. Na ławie oskarżonych zasiadło pięciu nastolatków, którym śledczy zarzucili brutalny gwałt na 28-letniej Trishy Meili. Po głośnym procesie otrzymali kary od pięciu do piętnastu lat więzienia. Większość z nich zdążyła odsiedzieć wyroki, zanim w 2001 r. do gwałtu przyznał się inny skazaniec – Matias Reyes. Jego winę potwierdziły badania DNA.

Błąd prokuratury jest niekwestionowanym faktem, w 2014 r. Burmistrz Nowego Jorku zawarł z piątką z Central Parku ugodę opiewającą na 41 mln dol. Fairstein oburzył jednak sposób, w jaki została przedstawiona w serialu „Jak nas widzą”, opowiadającym historię nastolatków. Grana przez Felicity Huffman bohaterka jest tak zdeteminowana, by doprowadzić do skazania podejrzanych, że nie cofa się przed zatajaniem dowodów mogących świadczyć o ich niewinności czy zachęcaniem policjantów do brutalnych przesłuchań. Sąd przychylił się do jej wniosku. Prawnicy Netflixa powołują się na pierwszą poprawkę gwarantującą wolność wypowiedzi. Proces trwa.

CZY WOLNO PRZEPISAĆ PAMEŁĘ?

Nie bez znaczenia jest to, że „Jak nas widzą” miało premierę w 2019 r., gdy w USA po raz kolejny trwała debata o profilowaniu rasowym i policyjnej brutalności uderzającej w mniejszości rasowe. Czterech niesłusznie skazanych nastolatków było czarnych, jeden był Latynosem. Serial Netflixa, z pewnością nieprzypadkowo, wpisywał się w bieżące nastroje.

Podobnie spojrzeć można na „Wielką

Pan Gąsiorek nie mógłby się spodziewać, że kiedyś zostanie tak przedstawiony

wodę”. Serial w reżyserii Jana Holoubka opowiada o powodzi tysiąclecia we Wrocławiu, ale nietrudno dopatrzeć się w nim paraleli do współczesnej Polski. „Wszystko się trzyma, albo i nie, przewiązane sznurkiem i sklezione gumą do żucia, a »ja pierdołę!« to najczęstsza reakcja walczących o sprawczość ludzi na opór ludzkiej i niehumanitarnej rzeczywistości” – podsumował trafnie publicysta „Krytyki Politycznej” Michał Sutowski.

Szukanie tego, co uniwersalne, odkrywanie mechanizmów władzy, systemowych nierówności, wskazywanie błędów, na których niczego się nie nauczyliśmy – to wszystko sprawia, że popkultura jest czymś więcej niż tylko rozrywką. Znaleźnienie nowej perspektywy, świeżego spojrzenia na znaną historię przynosi twórcom seriali uznanie krytyków i publiczności. I słusznie. W końcu kultura wysoka robi to od lat. W XXI w. mało kogo oburza przepisywanie przez reżyserów teatralnych Szekspira czy Homera, wpłatanie współczesnych wątków w historyczne teksty. Przeciwnie, swobodne podejście do kanonu jest tak powszechne,

że swego czasu poruszenie budziła decyzja Michała Zadary o wystawieniu „Dziadów” Mickiewicza bez skrótów.

Co jednak, gdy tą przepisywaną bohaterką nie jest Penelopa, Ofelia czy pani Rolli-son, ale Pamela Anderson? Kanadyjska aktorka, która sławę zawdzięcza roli seksownej ratowniczkii w serialu „Śloneczny patrol”, w ubiegłym roku sama stała się bohaterką serialu. „Pam i Tommy”, w Polsce pokazywane na platformie Disney Plus, opowiada historię sekstaśmy nagranej przez Anderson i jej ówczesnego męża Tommy’ego Lee podczas ich miesiąca miodowego i wykradzionej przez robotnika, któremu Lee nie zapłacił. Twórcy „Pam i Tommy’ego” łączą prawdę z fikcją równie bezszwowo, jak „The Crown”. Grająca Pamelę Lily James wygląda, uśmiecha się i mówi jak ona. Tak samo jak ona odpowiada prowadzącemu talk-show, że opublikowanie jej sekstaśmy jest druzgocące.

Serialowa Pamela, tak jak prawdziwa, stara się o dziecko i silnie przeżywa utratę ciąży. Tyle tylko, że w innym momencie – Anderson w prawdziwym życiu poroniła przed skandalem z sekstaśmą. Scenarzyści postanowili to wydarzenie przesunąć. Niewątpliwie z korzyścią do dramaturgii, choć można się zastanawiać, czy to było etyczne.

CZYJA JEST HISTORIA?

Przypadek Anderson, a także Rity Isbell prowokuje jeszcze trudniejsze pytanie – czy mamy prawo zastrzec sobie własną historię? W pierwszej chwili może się to wydawać oczywiste. Zapominamy, że nasze historie rzadko są wyłącznie nasze. Owszem, tylko Rita Isbell wie, jak się czuła, krzycząc na mordercę swojego brata w sądzie. Ale jej wystąpienie oglądały miliony widzów, tym samym czyniąc je częścią historii Ameryki – tak jak jej częścią jest policyjny pościg za O.J. Simpsonem, zamach na Kennedy’ego, katastrofa Apollo 13 czy zabójstwo George’a Floyda.

Nawet te doświadczenia, które nie wpisują się w wielką, poważną historię, rzadko miewamy na wyłączność. Czy osoba, która w autobusie słyszy kobietę krzyczącą do telefonu, że nie dostała wypłaty, powinna usunąć to wspomnienie ze swojej historii? Czy ktoś, kto dorastał, słuchając o traumatycznych przeżyciach dziadka, może na ich

podstawie napisać scenariusz? Czy dziecko podglądające kłócących się rodziców ma prawo do tej kłótni? A co z kimś, kto nie był bezpośrednim świadkiem zdarzenia, ale przeczytał o nim w prasie, pamiętniku, donosie? Albo i nawet usłyszał w maglu?

Być może to kwestia perspektywy, umiejętności opowiadania cudzej historii bez uzurpowania sobie cudzych przeżyć. Być może musimy pogodzić się z tym, że dla innych, obcych ludzi możemy stać się wydmuszką, scenariuszowym zabiegiem, poręczną metaforą i zamiast przypinać się łańcuchem do swojej wersji historii, liczyć – być może stracerczo – na dystans i zdrowy rozsądek odbiorców.

A może da się w tym wszystkim odnaleźć punkt równowagi, miejsce, w którym spotyka się wolność artystyczna, uniwersalizm opowieści i przyzwoitość w stosunku do jej bohaterów. Gdzie znaleźć taki punkt? ●

Po otwarciu akt prawie nikt nie uwierzył, że ten czołowy wróg faszyzmu był agentem faszystowskiej policji

Jarosław Mikołajewski

To było zaskoczenie, dla niektórych szok – mówi historyk Dario Biocca, autor książki „Silone. La doppia vita di un italiano” („Silone. Podwójne życie pewnego Włocha”, 2005). – Zwłaszcza dla tych, którzy uważali, że Ignazio Silone ucieleśniał najbardziej wzniosły ideał intelektualisty w czasach totalitarnych: kogoś, kto ofiarnie walczy w słusznej sprawie, lecz kiedy widzi, że sprawa nie jest tak nieskazitelna, jak myślał, ma odwagę zerwać ze swoim środowiskiem i wybrać samotne dociekanie prawdy przeciw wszystkim.

Jego autorytet był tak potężny, że po otwarciu akt, z których wynika, że należąc do władz partii komunistycznej, był agentem faszystowskiej policji i donosił na przyjaciół, prawie nikt nie dał temu wiary. W tym bliski mu Gustaw Herling-Grudziński.

„Czekaliśmy wszyscy na reakcję Herlinga, tak bezwzględniego wobec ludzi, którzy się moralnie potknęli – stwierdza Ewa Bieńkowska w książce „Pisarz i los”. – Reakcja nie przyszła. Pewnie była niemożliwa wobec takiego przywiązania uczuciowego, budowanego przez dziesięciolecia. Herling zabrał ze sobą do grobu zagadkę swoich myśli, być może nie mniej pasjonującą niż zagadka rozszczępienia Silonego”.

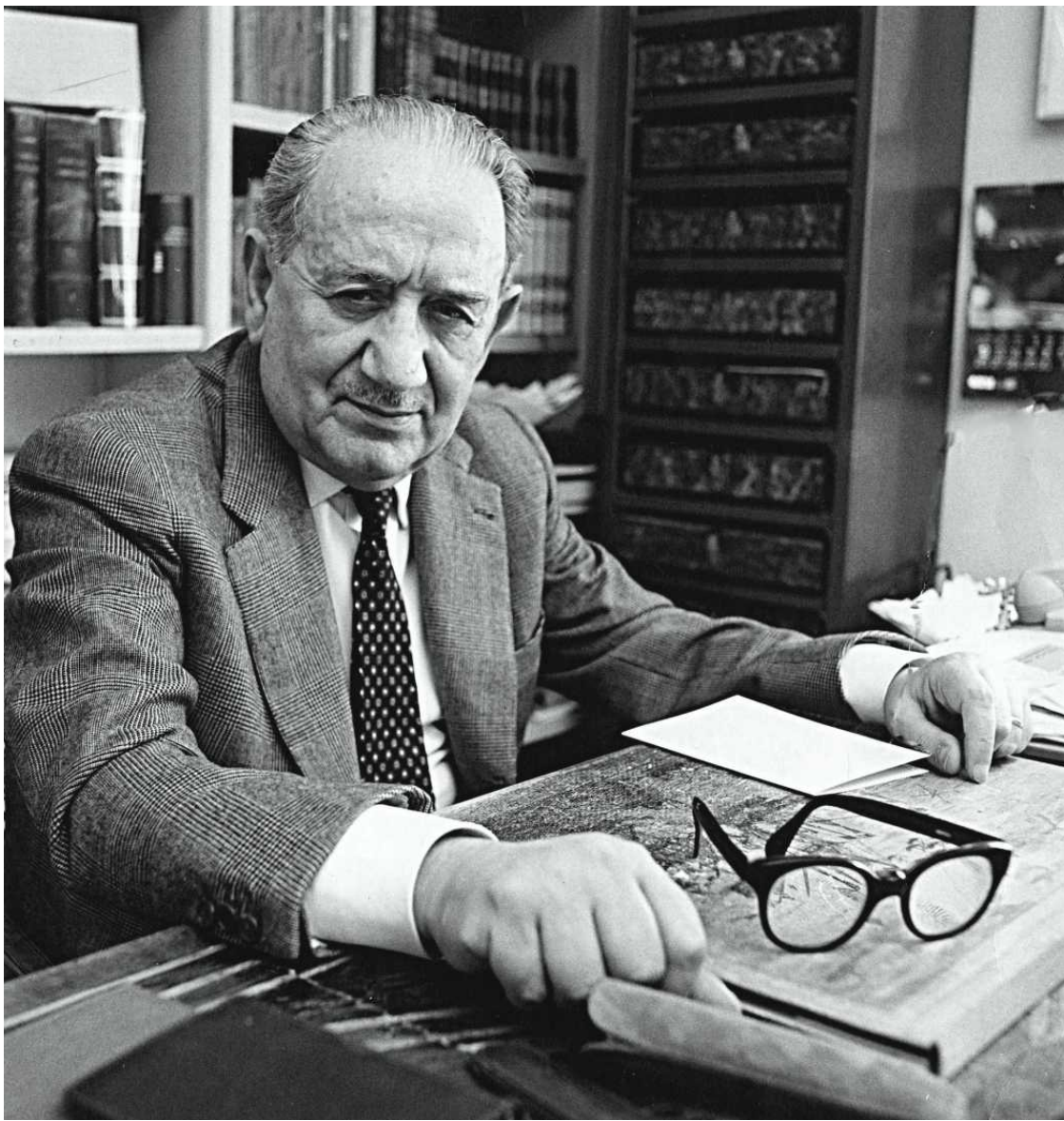
Herling zmarł w 2000 r., Dario Biocca opublikował pierwsze fragmenty raportów tajnej policji faszystowskiej OVRA w 1996 r.

Kiedy razem z innym historykiem Maurem Canalim zaczął się zajmować Silonem, biografia pisarza wydawała się wyczerpująco opisana. Było wiadomo, że Ignazio Silone to pseudonim Secondina Tranquillego, że ojciec chciał, by urodził się pod czerwoną gwiazdą, więc po narodzinach syna czekał dwa dni, by zarejestrować go w robotnicze święto 1 maja 1900 r.

Secondino przyszedł na świat również pod smutną gwiazdą ubogich Abruzzów, regionu, którego obraz pozostawił we wstępie do najsłynniejszej swojej powieści „Fontamara”:

„Komuś, kto zbliża się do Fontamary [nazwa, pod którą ukrył rodzinną Pescinę] od strony Fucino, wieś ukazuje się amfiteatralnie rozłożona na szarym zboczu góry, jałowym i wypalonym przez słońce. Od strony doliny widoczne są drzwi i okna większości domów: domów jest koło setki, wszystkie niemal parterowe, bezkształtne, bezładnie rozrzucone, poczerniałe od starości, splekane od wiatru, deszczów i pożarów, nieporządnie kryte połamaną dachówką i czym się dało. Większość tych ruder ma jeden tylko otwór, służący zarazem jako drzwi, okno i dymnik.

W tych wnętrzach, przeważnie pozbawionych podłogi, o ścianach z surowego kamienia, mieszkają,



Ignazio Silone. Rozszczępiiony

PODWÓJNE ŻYCIE ANTYFASZYSTY

śpią, jedzą, płodzą potomstwo, zazwyczaj w tym samym pomieszczeniu, mężczyźni, kobiety, ich dzieci, kozy, kury, świnię i osły”.

Młody Silone należy nie tylko do biednej większości, lecz również do licznej grupy miejscowych sierot. Kiedy ma 11 lat, umiera mu ojciec, tuż potem starszy brat, w 1915 r. Pescinę nawiedza trzęsienie ziemi, w którym ginie matka. Z najbliższych przeżyli tylko młodszy brat i babcia, która oddaje go do internatu w Rzymie.

Zagubiony w wielkim mieście Secondino ucieka ze szkoły i wtedy spotyka postać niezwykłą – to don Luigi Orione (założyciel zgromadzenia orionistów, kanonizowany w 2004 r.), który otacza opieką m.in. nieletnie ofiary niedawnego trzęsienia ziemi.

Don Orione zabiera Secondina do szkoły na północy Włoch, w San Remo, ale tam przyszły pisarz odkrywa, że również sieroty bywają gorsze i lepsze – jako chło-

piec z Południa staje się obiektem drwin. Piszę więc do opiekuna list, żądając przeniesienia bliżej rodzinnej wioski:

„Już myślałem, że raz na zawsze skończyłem z huśtawką dobra i zła, i oszukałem się. Byłem jak pijak, który upadł w błoto i nie może się podnieść, aż wreszcie zaprzestaje wszelkich wysiłków i zasypia na ziemi. I już miałem pograć się w złu, ale wczoraj nadszedł Twój list, Ojczy, i nie wiem dlaczego Twoje słowa, tak proste i zwykłe, mnie obudziły”.

W tym samym czasie co idee miłosierdzia o. Orione Secondino poznaje ruch socjalistyczny. Gdy w 1917 r. w Pescinie wybucha bunt, na chłopca zostaje nałożona kara pieniężna za udział w manifestacji pod koszarami karabinierów. Piszę do don Orione, że czuję się socjalistą, że nie jest wierzący, lecz nie jest też ateistą, i prosi o jakąś pomoc – nieokreśloną, lecz niosącą ocalenie. Don Orione śle pod-

opiecznemu słowa wsparcia, które koją go tylko na chwilę.

Kiedy Silone osiąga dojrzałość, przeprowadza się do Rzymu, podejmuje pracę w redakcjach gazet socjalistycznych, w 1921 r. bierze udział w tworzeniu Włoskiej Partii Komunistycznej i szybko staje się jednym z jej przywódców. „To bolszewik – pisze kapłan do przyjaciela. – Choć kiedy mnie zobaczył, podbiegł do mnie wzruszony, z miłością”.

Kariera Silonego w partii rozwija się błyskawicznie. Cieszy się zaufaniem jej sekretarza Palmira Togliattiego, emigruje do Hiszpanii i Francji, gdzie trafia do więzienia za działalność wywrotową. W 1927 r. jedzie z Togliattim do Moskwy na posiedzenie komitetu wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej, któremu przewodzi Stalin, i w porozumieniu z Togliattim sprzeciwia się usunięciu Trockiego i Zinowiewa.

W 1928 r. spotyka go cios – jego młodszy brat Romolo, którym opiekuje się od śmierci matki, zo-

staje aresztowany pod zarzutem udziału w nieudanym zamachu na króla Wiktora Emanuela III. Silone podejmuje próby uwolnienia go od zarzutów, ale na próżno. W 1929 r. przeżywa kryzys nerwowy i jedzie do Zurychu, gdzie leczy się u Carla Gustawa Junga.

W 1930 r. w Davos, gdzie przebywa na leczeniu, pisze swą pierwszą książkę „Fontamara”. Powieść ta, wydana najpierw w niemieckim tłumaczeniu w Szwajcarii, jest obrazem jego rodzinnej ziemi, odwiecznej nędzy mieszkańców, w których mityczną rzeczywistość wkracza nagle polityka pod postacią nieludzkich funkcjonariuszy faszyzmu.

W 1931 r. zrywa ze swą partią, ale nie z politycznych powodów. „Na tę decyzję – twierdzi Biocca – złożyło się wiele względów osobistych: ciężar upokarzającej współpracy z faszystami, terapia u Junga, religijne nawrócenie i poczucie winy wobec uwięzionego brata”. Wyjeżdża do Szwajcarii, gdzie mieszka między 1931 a 1944 r., wiecie los „socjalisty bez partii, chrześcijanina poza Kościołem”, pisze powieści i eseje.

Po powrocie do Włoch do polityki będzie podchodził jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem mocno się do niej zrażając. Wielką przygodą staje się dla niego pismo „Tempo Presente”, które w latach 1956-68 redaguje razem z pisarzem Nicolą Chiaromontem, przy współpracy Herlinga, walcząc na jego łamach m.in. o prawa rosyjskich dysydentów.

Kultura włoska była wówczas kontrolowana przez partię komunistyczną, więc postawa Silonego budziła szacunek niezależnych myślicieli. Jako pisarz bez politycznych powiązań był popularny zwłaszcza wśród intelektualistów, którzy postulowali wolność kultury od polityki i powołali w 1950 r. Kongres Wolności Kultury.

Autorytet przyniosła mu również jego proza, zwłaszcza „Chleb i wino”, „Il seme sotto la neve” („Ziarno pod śniegiem”) czy „Il segreto di Luca” („Tajemnica Łuki”). W książkach tych odnajdowano złożone portrety psychologiczne ludzi uwikłanych w historię, rzadko domyślając się, że materiału do fabuły dostarczała pisarzowi najczęściej własna biografia.

Umiera w 1978 r. w Genewie, zostaje pochowany w rodzinnej Pescinie.

Tak prezentuje się linia życia Ignazia Silonego do 1996 r., kiedy Biocca publikuje dokumenty policji faszystowskiej, z których wynika, że autor „Fontamary” był jej tajnym informatorem, najwyżej postawionym w strukturach partii komunistycznej. Przed 1996 r. cieszy się wielkim szacunkiem jako „sumienie lewicy” i względny uznaniem jako pisarz, przy czym uznanie to większe jest za granicą niż we Włoszech.

Także w Polsce, gdzie za Herlingiem wymieniany jest jednym tchem obok nieczytanego u nas do niedawna Chiaromonte.

Silone jak Chiaromonte? Kiedy pytałem o to zestawienie Umberta Eco, skrzywił się: – Ich pisarstwa nie łączy nic. Silone to mierny socrealista o sentymentalnym podkładzie.

Tego samego zdania był Andrea Camilleri, pisarz i człowiek

lewicy: – Nie, to nie ta klasa. Łączyła ich przyjaźń i świadomość sowieckich zbrodni, ale pisarsko i myślowo to dwa różne światy, różne jakości.

– Czy ocena Silonego zmieniała się pod wpływem pańskich rewelacji? – pytałem Bioccę kilka lat temu.

– Obudzenie na fakty zawarte w dokumentach zmieniło się początkowo w obronę jego dzieła. Teraz już jest inaczej, ocena jego pisarstwa, niezależna od wiedzy o nim jako człowieku, jest dość niska, bo przecież nie jest to wielka proza. Ocena jego działalności agenturalnej, po pierwszym oporze, staje się jednoznaczna.

O pór był duży?

– Indro Montanelli [pisarz, dziennikarz], który dla wielu Włochów był największym autorytetem moralnym, powiedział: „Nie uwierz, nawet jeśli sam Silone wyjdzie z grobu i się przyzna”. Darina Laracy, żona Silonego, uznała publikację mojej i Canalego za szkalujące. Ale dokumentów przybywało, a po jakimś czasie przemówili też przyjaciele Silonego z lat 20. – ludzie, którzy wielbili go i gościli u siebie, a po latach uznysławiali sobie, że tajemnicze aresztowania ich bliskich mogły być efektem jego działalności.

– Znałem człowieka – ciągnie Biocca – który przyjmował go w domu, traktował jak przyjaciela i mistrza, po czym okazało się, że stracił przez niego brata, i cała logika zdarzeń dopiero dzięki naszym publikacjom dotarła do niego z całą klarownością. Obrona Silonego nieuchronnie przybrała więc postać oceny surowej, choć nasyconej współczuciem ze względu na głębokie przyczyny jego postępowania.

– Jakież przyczyny?

– Przez dłuższy czas mówiło się wyłącznie o tym, że podejmując współpracę z OVR-ą, Silone chciał wyciągnąć z więzienia brata. Ale ta współpraca ciągnęła się nie od 1928 r., kiedy brat Silonego został aresztowany, lecz co najmniej od początku roku 1923 – z tego okresu pochodzą najwcześniejsze raporty „agenta Silvestriego” – Silonego.

– Jeśli nie sprawa brata, co skłoniło go do współpracy?

– Tego wciąż nie wiadomo. Interpretacja tej współpracy należy do literaturoznawców i psychologów. Myślę, że znakomite rezultaty mogłaby przynieść psychoanaliza powieści Silonego. Dla mnie wątki autobiograficzne w jego prozie są porażające.

– Co do początków współpracy Silonego z policją – tłumaczy Biocca – inspirująca wydaje mi się np. lektura „Chleba i wina”. Jej bohater, Murica, przyjeżdża z prowincji do Rzymu na studia. Jest biedny, czuje się samotny, otacza go wrogowie. Czuje się śmiesznie ubrany, jest onieśmielony.

Pewnego dnia spotyka mordercę, który wprowadza go w krąg rewolucjonistów, proletariuszy. Wciąga się w ich działalność, zostaje aresztowany, jest bity, boi się, nie wie, co ma robić, i nagle pojawia się komisarz, który zna jego rodzinę, jest serdeczny, uosabia nieobecnego ojca.

Murica idzie na współpracę, nie wiadomo, czy dla małej pensyjki, która pozwala mu czuć się mniej śmiesznym, czy ze wzglę-

du na absurdalne poczucie czegoś w rodzaju obowiązku, a nawet uczucia wobec komisarza. Ma jednak wyrzuty sumienia, które stara się zagłuszyć skalą oddania swojej grupie rewolucyjnej. Koło się zamyka. Murica z równą intensywnością działa tu i tam – wśród śledzących i śledzonych...

Guido Bellone, inspektor, który zajmował się Silonem, wcześniej przyglądał się m.in. socjalistycznym grupom w Abruzzach. Poza tym miał nieszablony stosunek do agenta Silvestriego. Zmienił obyczaje, nie przekazując zwierzchnikom jego odrębnych raportów bezpośrednio, lecz przepisując je na maszynie i przysyłając dalej w kopii, jakby chciał ocalić mu twarz przed przyszłymi archiwistami.

Materiału do porównań między jego bohaterami a biografią jest dużo. We wszystkich książkach Silonego są miejsca, które, gdyby je połączyć, dałyby pełną biografię autora.

Jaki był więc związek między Silonem a Bellonem?

– Taki, jak między synem a ojcem. Najlepiej pokazuje to list, który Silone – Silvestri napisał w 1930 r., deklarując wolę zakończenia współpracy z policją i ze-

rwanie z partią komunistyczną. Radzę panu przytoczyć go w całości, bo jest wstrząsająca.

„Locarno, 13 kwietnia 1930

Proszę wybaczyć, że nie pisałem. To, co życzył Pan sobie wiedzieć, przestało być tajemnicą (piszą o tym w gazetach). Nie wiem, co zrobimy, ja i moi przyjaciele.

Mój stan zdrowia jest okropny, ale przyczyny są moralne (zrozumie Pan, jeśli przypomni sobie to, co pisałem ubiegłego lata). Znajduję się w bolesnym punkcie mojej egzystencji. Zmysł moralny, który zawsze był we mnie silny, teraz całkowicie wziął mnie w swoje władanie, nie pozwala mi spać, nie pozwala jeść, nie daje mi chwili oddechu.

Znajduję się w rozstrzygającym punkcie mojego kryzysu egzystencjalnego, który dopuszcza tylko jedno wyjście: porzucenie czynnej polityki (poszukam sobie jakiegokolwiek intelektualnego zajęcia). Prócz tego wyjścia nie pozostało nic prócz śmierci. Żyć w dalszym ciągu w dwuznaczności było dla mnie niemożliwe, jest niemożliwe.

Urodziłem się, żeby być uczciwym właścicielem kawałka ziemi w mojej wiosce. Życie wyrzuciło mnie na skraj przepaści, do której chcę teraz odwrócić się tyłem. Mam świadomość, że nie wyrzuciłem wielkiego zła ani moim przyjaciołom, ani mojemu krajowi. W granicach tego, co możliwe, zawsze wystrzegalem się zła.

Muszę wyznaczyć, że Pan, biorąc pod uwagę Pańską funkcję, zawsze zachowywał się jak dżentelmen, dlatego piszę do Pana ten

ostatni list z prośbą, by nie stawał Pan na przeszkodzie mojemu planowi, który zrealizuje się w dwóch odsłonach: po pierwsze – wyeliminować z mojego życia wszystko, co jest fałszem, dwuznacznością, sekretem; po drugie – rozpocząć nowe życie na nowej podstawie, żeby odrobić zło, które wyrządziłem, żeby się odkupić, żeby działać na rzecz robotników, rolników (z którymi jestem związany każdym włóknom mojego serca) i mojej ojczyzny.

Pomiędzy pierwszą a drugą odsłoną potrzebuję trochę wyczynu fizycznego, intelektualnego i moralnego. Żadne rozważanie o charakterze materialnym nie wpłynęło na moją decyzję. Niewątpliwie nie przerażają mnie. Jedynie, czego chcę, to żyć moralnie. Wpływ i popularność, jakie zdobyłem w wielu ośrodkach emigracyjnych, skłaniają mnie, by moja przyszła działalność (kiedy tylko całkiem powrócę do zdrowia) była działalnością literacką i wydawniczą całkowicie niezależną.

Muszę dodać, że w tym czasie w moim światopoglądzie dokonują się wielkie zmiany i czuję, że pociąga mnie, i to bardzo, religia (jeśli nie Kościół), a ewolucję mojej myśli ułatwia kretyńska i kryminalna orientacja, jaką przy-

biera Partia komunistyczna. Jedyną rzeczą, która sprawia, że oddalam się od niej z żalem, jest to, że jest to partia prześladowana, w której prócz przywódców są tysiące rolników, ludzi dobrej woli. Po to, by móc wywierać wpływ na pewne fundamentalne sprawy, wstrzymuję się jeszcze od publicznego ogłoszenia mojego zerwania z partią i czekam na rychły sprzyjający moment.

Ten mój list jest dowodem szcunku. Chciałem zamknąć definitywnie długi czas naszych lojalnych relacji aktem lojalności. Jeśli Pan wierzy, niech Pan się modli do Boga, by dał mi siłę do pokonania wyrzutów sumienia, do rozpoczęcia nowego życia, do wykorzystania jej w całości dla dobra proletariatu i Włoch.

Pański Silvestri”.

– I co na to Bellone?

– Zostawił go w spokoju. Ten list oddaje jego moralny zamęt. Jego działalność agenturalna daje się tłumaczyć tylko przez takie teksty, bo widać w nich całe udawanie, zakłamanie i autentyczne zagubienie. Tęsknotę za ojcem, którego praktycznie nie miał i którego namiastką był najpierw don Orione, a później w komisarz Bellone.

– Co jest jeszcze do odkrycia w biografii Silonego?

– Cały rozdział współpracy z wywiadem amerykańskim. Przyczyny, dla których od 1942 do 1944 r. korespondował z Allenem Dullem, agentem wywiadu USA, późniejszym szefem CIA. A także charakter jego współpracy z tym wywiadem. ●

WIERSE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki*

Dwa wiersze

XXXI.

gdzie jest twoja ojczyzna poeto
a gdzie jest twoje wygnanie
i dlaczego coraz częściej akcja „Wisła”
myli mi się z akcją „Hiacynt”

może znajdziesz schronienie w wierszu
w jednym i tym samym
niekończącym się wierszu w którym coraz
częściej akcja „Hiacynt” myli mi się

z akcją „Wisła” choć w przeciwieństwie
do matki nie dałem się złapać

XXXVI. Fragment oskarżenia

obok matki na ławie pod piecem
będzie siedział długobrody
Oleksa Bukita zwany Wernyhorą któremu
zawdzięczam niejedną opowieść

nie wiem wszakże dlaczego Bukity
nie deportowano w 1947 roku
Hrudnychę zaś wzięto za twarz
za wszarz każdy z nas

po czymś takim by się rozchorował
a następnie odwalił kitę



*Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki – poeta, urodził się w 1962 r. w Wólce Krowickiej koło Lubaczowa. Laureat Nagrody Literackiej „Nike” i Nagrody Literackiej „Gdynia” (obie 2009) za tom „Piosenka o zależnościach i uzależnieniach”. Mieszka w Warszawie, ale wychował się i dorastał w Przemyskiem, a także w Olsztyńskim, dokąd po akcji „Wisła” władze deportowały jego rodzinę. Utwory za: Tkaczyszyn-Dycki, „Ciało wiersza”, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2021

FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński

WOLNASOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński

GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski

WYDAWCA: Agora SA,
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Adam Michnik poleca. **Dokument, 1944**

ZACNI KSIEŻA POPARLI HITLERA

– Co o mnie mówią? – spytał arcybiskup. – Że kiedy hitlerowcy sobie pójdą, monseigneur, zostaniesz powieszony

Henri de Lubac SI*

Francuscy biskupi i III Rzesza

W czasie II wojny światowej i rządów Vichy francuski Kościół „był zatruty kulterm marszałka Pétaina, ideą segregacji rasowej i ugodą z wrogiem”, III Rzeszą (słowa pisarza Jeana-Luca Barré). Zarazem to z tego Kościoła dobiegał głos potępienia takiej postawy. W 1942 r. filozof Jacques Maritain pisał do przyjaciółki zakonnicy: „Święty Kościół narażony jest dziś przez tych, którzy chcieliby go skompromitować, wiążąc z nowym faszystowskim porządkiem”. To w ręce Maritaina trafił napisany pod koniec 1944 r. poufny memoriał „O postawie biskupów pod okupacją”. Jego autorem był teolog Henri de Lubac, jezuita, w czasie okupacji redaktor i autor podziemnego pisma „Témoignage chrétien”. Dopiero w 1992 r. dokument stał się znany publicznie, opublikowany został przez założone w 1829 r. i ukazujące się do dziś pismo „Revue des Deux Mondes”.

Redakcja

Ien, który spisuje niniejsze uwagi, nie ma ambicji przedstawienia całości tego, co nazywa się dziś we Francji „problemem biskupów”, kwestii bolesnej dla katolickich sumień. Chce jedynie zarysować kilka wątków, odpowiadając na zachętę z wysokiego szczebla. Co więcej, nie mając pod ręką żadnej dokumentacji, zamierza nie tyle rejestrować fakty, ile opisać stan umysłów. Rzadko przemówi we własnym imieniu, częściej zacytuje słyszane refleksje.

Wiele tych refleksji jest świadectwem duchowej udręki, na którą stara się dostarczyć lekarstwa. Zanim je spisał, nader często, wszystkimi sposobami możliwymi i niemożliwymi bronił biskupów, których słusznie lub niesłusznie uznawał za zgorzenie.

Mówiąc o biskupach, nie mamy na myśli wszystkich. Przeciwnie! Ale też nie pomijamy jakże wielu indywidualnych czynów dowodzących, że tymi, których postawa rozczarowuje, są zakonnicy i księża. Jednak ta postawa okazała się tak powszechna, że czujemy się w prawie użyć tego zbiorowego określenia.

Zacniemy od wymienienia głównych zarzutów pod adresem francuskich biskupów, potem zaś przeanalizujemy bolesć su-

mienia, jaką przez te cztery lata ich postawa spowodowała bądź pogłębiła.

Zarzuty poważniejsze można podsumować w pięciu punktach:

INaszym biskupom brakuje zwykle ugruntowanego poczucia niezależności Kościoła. Brak im owej jakże pożądanej w ich biskupim stanie świętej dumy. Dlatego, chociaż w większości nie są ani politykami, ani karierowiczami, tylko prawdziwie pobożnymi, gorliwymi hierarchami, idą skwapliwie na pasku władzy świeckiej, gdy tylko ta wyrzuci na nich presję.

Ilekcroć słyszą, że oczekiwali byśmy od nich większej niezależności, myślą, że wymagamy od nich deklaracji opozycyjności. A my chcemy tylko, żeby byli bardziej biskupami... Przecież wielu z nich po przejęciu rządów przez reżim Vichy rzekło się w praktyce autorytetu duchowego.

Wielu biskupów oświadczyło, że problem władzy politycznej i „legitymizacji” Vichy. Jakby rozstrzygnięcie tego problemu rozstrzygało wszystkie inne, jakby rząd choćby najbardziej prawowity i doskonały nie ingerował w duchową misję Kościoła.

Stąd też tyle przykładów służalczości: pewien biskup przenosi karnie księdza winnego odczytania w kółku parafialnym orędzia kardynałów i arcybiskupów nie całkiem po myśli prefekta; inny na podstawie absurdalnego nakazu prefektury zabrania pewnym duchownym wstępu do swojej diecezji itp., itd.

Stąd tak liczne enuncjacje i rozporządzenia w kwestii zbóż, metali, a nawet przedmiotów kultu, narzucane przez władze świeckie (a także okupacyjne). Stąd tyle błogosławieństw i ceremonii wszelkiego rodzaju, których duchowa wartość była zerowa, a skutki katastrofalne, tyle uroczystości, na które biskupi byli raczej wzywani niż zapraszani po to, by Kościół w ich osobach najbezwstydniej krył reżim, nie mając samemu możliwości zabrania głosu.

Stąd koszmarna zasada, niemal powszechnie potulnie akceptowana, poddawania dokumentów biskupich cenzurze państwowej – liczni biskupi cenzurują się, by tak rzec, sami awansem; nikt nigdy nie pokusił się o kolportaż choćby najniewinniejszych deklaracji zgromadzenia kardynałów i arcybiskupów w nieocenzurowanej formie.



2Wielu naszych biskupów, którzy dbają pieczołowicie o liczne interesy, nie oddaje się z równym zapalem ewangelicznej misji. Są wyczuleni na wszystko, co może przeszkadzać bądź, wprost przeciwnie, sprzyjać Kościołowi instytucjonalnemu, zawsze gotowemu bronić zagrożonych dóbr.

Nie do końca rozumieją, że powołani do „zarządzania Kościołem Bożym” muszą sprawić, by słyszalny był głos sumienia, muszą stanąć po stronie Boga Sprawiedliwego. Stąd skandal tych czterech lat, gdy Kościół jakże często czuł się zadowolony, choć wszędzie gwałcono sprawiedliwość, torturowano sumienia, wyszydzano chrześcijaństwo. W tamtych latach w oczach ogółu Kościół francuski nikczemnie wykorzystywał nikczemną sytuację. Błędna to interpretacja, ale nieunikniona.

Zwróćmy zwłaszcza uwagę, że dotacje przyznawane w nieco upokarzającym trybie [katolickim] szkołom prywatnym przesłaniają niekiedy istotę rzeczy. Jak ktoś powiedział: „Kiedy Judasz dostał swoje 30 srebrników, niewykluczone, że wykorzystał je w zbożnym celu, może sfinansował prywatną szkołę”.

Jakże często katolicy wolą wierzyć, że religia ma się dobrze, kiedy ich samych nikt nie niepokoi, kiedy triumfuje formacja, którą uznali za swoją.

3Obskurantyzm katolickich sumień to także skutek poważnych braków doktrynalnych, na jakie cierpi dziś cały episkopat. Znana jest powszechnie, rzadko jednak piętnowana, mialkość biskupich listów pasterskich. W czasach, kiedy zło zrodzone z szalejących namiętności zyskuje wsparcie doktryn antychrześcijańskich, taki brak jest szczególnie szkodliwy.

Hitlerowska propaganda załaziła nasz kraj masą wszelkiego rodzaju opracowań, czasopism, gazet i broszur. Propaganda ta, często ewidentnie sprzeczna z wiarą, docierała w znacznej części do katolików i często dla nich właśnie była przeznaczona. Była dziełem katolików, a nawet księży. Nigdy jednak wedle mej wiedzy nie umieszczono jej na indeksie, nie potępiono. Bisku-

A co z dotacjami dla katolickich szkół?

*Ktoś powiedział:
„Kiedy Judasz dostał swoje
30 srebrników,
niewykluczone,
że wykorzystał je
w zbożnym celu.
Może sfinansował szkołę?”*

pi w większości nie znali tej literatury, a jeśli znali, nie dostrzegali jej trujących treści. Ta propaganda skaziła zwłaszcza młodzież.

Nie widziano nic złego w poddawaniu katolików, a nawet księży, indoktrynacji według zasad „rewolucji narodowej”. Wypaczono sumienie wielu młodych aktywistów przekonanych, że przysięga złożona człowiekowi jest bezwarunkowa, że wiąże ich sumienie we wszystkim i wszędzie, zwalniając na zawsze z obowiązku przestrzegania jakichkolwiek zasad moralnych.

Większość biskupów zajęła stanowisko w kwestiach takich, jak prasa podziemna, roboty w Niemczech czy partyzantka, de facto potępiając opornych chrześcijan – nawet tych, którzy nie uciekali się do przemocy i nie udzielali się w ramach opozycji politycznej.

Nie ma, zdaloby się, wątpliwości, że istnieją pewne formy dewocyjnego oddania władzy choćby najdoskonalszej, do których nie godzi się przyznawać katolikowi. Mamy na myśli „kult marszałka”, sprzyjający zakorzenieniu się u nas najgroźniejszych zasad tworzących doktrynę i ducha nazizmu. Nie ma nigdzie nie słychać było słowa protestu przeciwko ceremoniom i bluźnierczej publicystyce, żadnych apeli do chrześcijańskiej godności. Przeciwnie, szaleństwo przekroczyło próg świątyni.

Czyż pewien biskup nie omdlał z zachwytu, opowiadając o iskrze Bożej, którą dostrzegł w sobie marszałek? Czyż inny nie



• Marszałek Pétain żegna się po nabożeństwie z proboszczem kościoła św. Ludwika w Vichy. Po lewej Henri Beausart, biskup pomocniczy Paryża. Marzec 1942 r. FOT. ROGER-VIOULET/AFP/EAST NEWS

*W wiadomościach
wyświetlanych
w kinach
przed jakimś
rasistowskim filmem
niemal rytualnie
pojawiała się
kardynalska purpura
lub fioletowa sutanna*

przyznał, że z trudem nie padł na kolana, by prosić go o błogosławieństwo? I czy jeszcze inny nie zebrał wszystkich świadectw wzruszenia, jakie poczuł, gdy marszałek zwrócił się do niego następująco: „Pannę świętą zwą królową męczenników, ja zaś jestem ich królem”? Notujemy niezliczone przejawy tej tendencji. Jak zdobiący słynne sanktuarium witraż przedstawiający marszałka.

Ubóstwo doktryny lepiej niż mniej szlachetne motywy osobiste wyjaśnia oficjalne milczenie Kościoła w obliczu nazistowskiego zagrożenia. Prócz paru głośnych wyjątków jego zamilknięcie było faktem aż nadto realnym. Miało ono niezliczone skutki, tym bardziej że pod strasliwym uciskiem, jaki cierpieliśmy, biskupi jako jedyni mieli możność przemówić, tylko ich głos był słyszalny.

Wśród skutków biskupiego milczenia wymienimy jeden, szczególnie dotkliwy. W wielu miejscowościach katolicy duchowni wydani byli na pastwę wszelkiej propagandy i presji. Trudno wymagać od szeregowych księży rozwiniętych zdolności krytycznych i wyrafinowanej duchowości. Hitleryzm był dla nich czymś odległym, dla niektórych ledwie mitem.

Wiedzieli, że ich biskupi są w dobrych stosunkach z panującymi. U siebie w parafii pozbyli się jakiegoś masona i nauczyciela antyklerykała, dostali trochę pieniędzy na skromną szkołę, a bracia na nowe habity. Dlaczego mieliby nie ufać swojemu lokalnemu „Croix”. A niemal cała katolicka pra-

sa była, niestety, dyspozycyjna, trafiały się w niej artykuły wychwalające Hitlera, wołająca nową krucjatę.

Dochodziło więc do tego, że w różnych zakątkach kraju dobrzy, zacni księża żyli publicznie zwycięstwa Hitlerowi i cisnęli gromy na ruch oporu, a czasami bywało znacznie gorzej. Dochodziło do krwawych dramatów. Nie byłoby tego, gdyby nie zawiedli biskupi. Paru z nich ma na rękach krew swoich kapłanów.

4 Sytuacja nie pogorszyłaby się do tego stopnia, gdyby francuski Kościół miał bliższy kontakt z życiem kraju. Ale jakże często jego otoczenie, obyczajowość, liczne uprzedzenia i rutyna separują go od społeczeństwa. Biskupi, których niedostatki doktrynalne i niesamodzielnosc pchnęły na ścieżkę oportunistów, orientują się na władzę, kierują się opinią oficjalnych kół, a nie szerokiego nurtu narodowej świadomości.

Prawdą jest też, że w miarę jak rosła przepaść między „kolaborantami” a „ruchem oporu” i sympatyzującymi z nim masami społeczeństwa, Kościół zdawał się sytuować po stronie tych pierwszych. Można powiedzieć, że reakcje Francuzów były na ogół zdrowe – szły pod prąd większości kierowanych do chrześcijańskich wiernych założeń, skłaniając nas do wejścia na drogę oporu – my jednak staczaliśmy się coraz dalej po równi pochyłej kolaboracji.

– Co o mnie mówią? – spytał arcybiskup członka Robotniczej Młodzieży Chrześcijańskiej ze swej diecezji. – Monseigneur – odparł ten szczerze – mówią, że kiedy wiatr powieje po drugą stronę, zostaniesz powieszony. – Ach! – westchnął skonsternowany arcybiskup. – A ty co myślisz? – Monseigneur, wołałbym nie zawisnąć razem z tobą.

Arcybiskup piętnował grzech, jakim jest słuchanie angielskiego radia, przezywał wielkim kolaboracyjnym konwentem i bankietem. Swego czasu w wiadomościach wyświetlanych w kinach przed jakimś rasistowskim filmem, między agitkami o policji i antybolszewickim legionie, na ekranie niemal rytualnie pojawiała się kardynalska purpura lub fioletowa sutanna.

Tak oto prezentował się Kościół – w otoczeniu wszystkiego, czego słusznie się brzydził.

Skoro jednak dla biskupów nieważne były inne względy, jakim sposobem mogli przewodniczyć uroczystościom pogrzebowym Philippe’a Henriota [kolaboranta, ministra Vichy zabitego przez ruch oporu]? Czy mogliby do końca kierować Francuzów na roboty w Niemczech i potępiać ruch oporu, odmawiając uporczywie wysłania księdza, choćby na chwilę, do tyłu młodych ludzi, umierających i torturowanych przez swych zabójców ze strasliwą świadomością, że Kościół ich opuścił?

5 Wśród biskupów francuskich dało się zauważyć pewne niezrozumienie idei powszechności Kościoła i jedności episkopatu. Większość z nich, materialnie odciętych od Rzymu, niespecjalnie się tym przejmując. Mając bliżej inną władzę, część z nich zamieniła bez trudu „papolatrię” na „pétainolatrię”.

Encyklika „Mit brennender Sorge” poszła w zapomnienie. Uznano za normalne, że tom „Dokumentów Piusa XI”, w którym powinna się znaleźć, ukazał się bez najmniejszej wzmianki na jej temat. Pewien biskup po ponownym jej przeczytaniu doszedł, jak stwierdził, do wniosku, że jest to wyłącznie kwestia polityki religijnej, przedyskutowanej niedawno przez Piusa XI z kierownictwem III Rzeszy, i że to nas w ogóle nie dotyczy. Co do dekretu Świętego Oficjum na temat błędów rasizmu rozesłanego wydziałem teologicznym był to wprawdzie dokument doktrynalny, ale nie kontrasygnowany osobiście przez papieża, a zatem niewart zapamiętania.

Nasi biskupi zamartwiali się, że za pośrednictwem „Témoignage chrétien” lub inną drogą do francuskich katolików trafiają nauki biskupów niemieckich, belgijskich i holenderskich. Zapomnieli, że jest jeden episkopat, że każdy biskup spełnia swój obowiązek w jedności z braćmi biskupami skupionymi wokół tronu Piotrowego i Kościoła powszechnego. Niektórzy byli przekonani, że francuscy wierni nie powinni słyszeć innego niż ich głosu.

••• Nie dziw tedy, że taki stan umysłu – przekładający się na szereg konkretnych działań – sprawiał wielki ból francuskim katolikom, zwłaszcza tym najmocniej związanym z Chrystusem i Kościołem. Przyczyna ich bólu zdaje się ważna, niepoddająca się samouleczeniu.

Można się, niestety, obawiać, że wielu naszych biskupów nie widzi powagi sytuacji. Może to świadectwo ich uczuć i wielkiej prawości. Ale nawet jeśli żaden czyn, choćby straszny, nie obudzi ich do rzeczywistości, nie mamy gwarancji, że znajdzie się lekarstwo na tę chorobę.

Niemoc to, rzekłoby się, dwojaka. Z jednej strony świadomości narodowej, z drugiej głębsza, duchowa.

Wcześniej nasze kościelne władze nie tylko nie uznawały ruchu oporu – jeśli nie w sensie kanonicznym, to przynajmniej moralnie go ekskomunikowały. Padaly anatemy na partyzantów, nie dopuszczano do nich księży itp.

Widzieliśmy nawet, jak ludziom „internowanym w trybie administracyjnym”, którzy mieli być osądzeni, czasem uniewinnieni, odmawiano sakramentów niczym jawno grzesznikom, gdyż ich internowanie wyraźnie wskazywało, że buntowali się przeciwko rządowi!

Dzisiaj ten ruch oporu jest u władzy. W jego szeregach są dobrzy katolicy. Jednak oficjalny Kościół nie okazuje im tej życzliwości, jaką miał wczoraj dla bez wątpienia znacznie gorszych chrześcijan, którzy nie wahali się ich zastraszać. Oni sami, owi katolicy, też czasem czują urazę. Zresztą im większe jest ich przywiązanie do Kościoła, tym mocniej cierpią, widząc jego kompromitację, jego moralną niższość wobec kraju, który dziś nienawidzi wszystkiego, co przypomina o rządach hitlerowskich Niemiec i ich sympatyków.

Są świadomi, że Kościół nie zawarł pakty z hitlerowskimi Niemcami, widzą jed-

nak, że z powodu słabości, o których mówiliśmy, można było mieć przeciwne wrażenie. Wiedzą też, że nie chodzi tu o zwyczajne ruchy politycznego wahadła, jakie funduje nam tak często historia. Czują, że jeśli Kościół nie zdobędzie się na odwagę samoodnowy, może być stracony w oczach kraju, zapewne na długo.

Z niepokojem zauważają, że osoby duchowne na choćby podrzędnych stanowiskach, które wczoraj jeszcze „kolaborowały”, a od których próżno byłoby oczekiwać najmniejszego wysiłku niezbędnej odnowy duchowej, nadal cieszą się zaufaniem episkopatu.

Z drugiej strony jest pewne, że naród w swej masie nie interesuje się zbyt żywo tą kwestią. Czy tedy powinniśmy się z tego cieszyć? Może, w pewnym sensie. Jednak widzimy tu raczej niepokojący znak jego wielkiej obojętności, obojętności, która bierze się po części z tego, że episkopat praktycznie nie liczy się już w jego oczach. Zdyskredytowała go wyzuta z wszelkiej wielkości postawa.

2 Bardziej palący jest ból duchowy. Albowiem wszystko, co się przez ostatnie cztery lata wydarzyło, jest tylko znakiem duchowego upadku naszego Kościoła. Nie da się tego przykryć apologetyką „zdrowego rozsądku”. Bez pełnej szczerości żadna poprawa nie będzie możliwa. Ludzie duchowo głębcy, o których trzeba myśleć w pierwszej kolejności, nie dadzą się zwieść. Może wczoraj obawiali się głównie o siebie, dziś swą troszczą się przede wszystkim o Kościół.

••• Chcemy, by zapiski te, skreślone, zapewniamy, beznamiętną ręką, pozostały ściśle poufne. Wiemy, że nie chodzi o to, by oskarżać, lecz by wskazać pewne zjawisko społeczne: duchowy upadek oficjalnego francuskiego Kościoła.

Ma ono swoją przeciwwagę – rosnącą w siłę, zwłaszcza w ostatnim 20-leciu, światłą i wymagającą elitę. Żle by było, gdyby owa elita pogrążała się w poczuciu bycia niezrozumianą lub ograniczoną do życia na marginesie. Bo nie należy ona do głównego nurtu katolickiego życia.

Potrzebujemy naszych biskupów. Jesteśmy ich synami, kochamy ich. Nie możemy bez nich żyć. Jeśli przez nich cierpieliśmy, niech oni zgodzą się przez chwilę cierpieć dla nas. Po to, byśmy mogli wspólnie, oni z naszą pomocą, my zaś pod ich przewodnictwem, pracować, pełnić nowych sił, dla Królestwa Chrystusowego we Francji jutro. ●

przeł. Sergiusz Kowalski



*Henri de Lubac SI

• 1896-1991, znany francuski teolog, jezuita. Podczas II wojny uczestniczył we francuskim podziemnym życiu duchowo-kulturalnym. Po wojnie m.in. czołowy ekspert podczas Soboru Watykańskiego II, od 1983 r. kardynał. Tekst za „Revue des Deux Mondes”, luty 1992 r.

Tytuł i skróty – „Wyborcza”.

Cały tekst: [Wyborcza.pl/magazyn](http://wyborcza.pl/magazyn)



„Uwielbiam te krzyżówki za ich niebanalność. Ich rozwiązywanie zmusza do zajrzenia w przeszłość, ale przede wszystkim do myślenia, kojarzenia faktów, a nierzadko do szukania odpowiedzi i takiej »domowej kwerendy«” – napisała do nas pani Alicja po rozprawieniu się z „Weekendówką” dziennikarską.

Dziękujemy bardzo! Bo właśnie o dobrą dla Państwa zabawę chodzi tu przede wszystkim. Jeśli więc „Weekendówki” taki mają odbiór, to dla nas wielkie wyróżnienie.

A co dziś w menu? Trochę postraszymy. A wszystko to, rzecz jasna, za sprawą okoliczności, które skłoniły nas do stworzenia dzisiejszej „Weekendówki”.

Otóż lat temu 113 miała miejsce premiera filmu grozy „Frankenstein” w reżyserii Jamesa Searle’a Dawleya. Film był niemy (choć opatrzony swoistym „soundtrackiem” – listą utworów sugerowanych jako akompaniament grany przez orkiestrę podczas projekcji), z planszami tekstowymi. Trwał 16 minut, a jego producentem był... Thomas A. Edison, człowiek naprawdę wielu talentów, o czym mogliśmy się przekonać całkiem niedawno, bo 11 lutego, przy okazji „Weekendówki” o wynalazcach i rocznicy urodzin sławnego Amerykanina.

W pierwszej filmowej adaptacji powieści Mary Shelley w rolę monstrum wcielił się Charles Stanton Ogle. Frankensteina, tu młodego, uzdolnionego studenta, zagrał Au-

gustus Phillips, zaś Elizabeth, jego ukochaną, Mary Fuller.

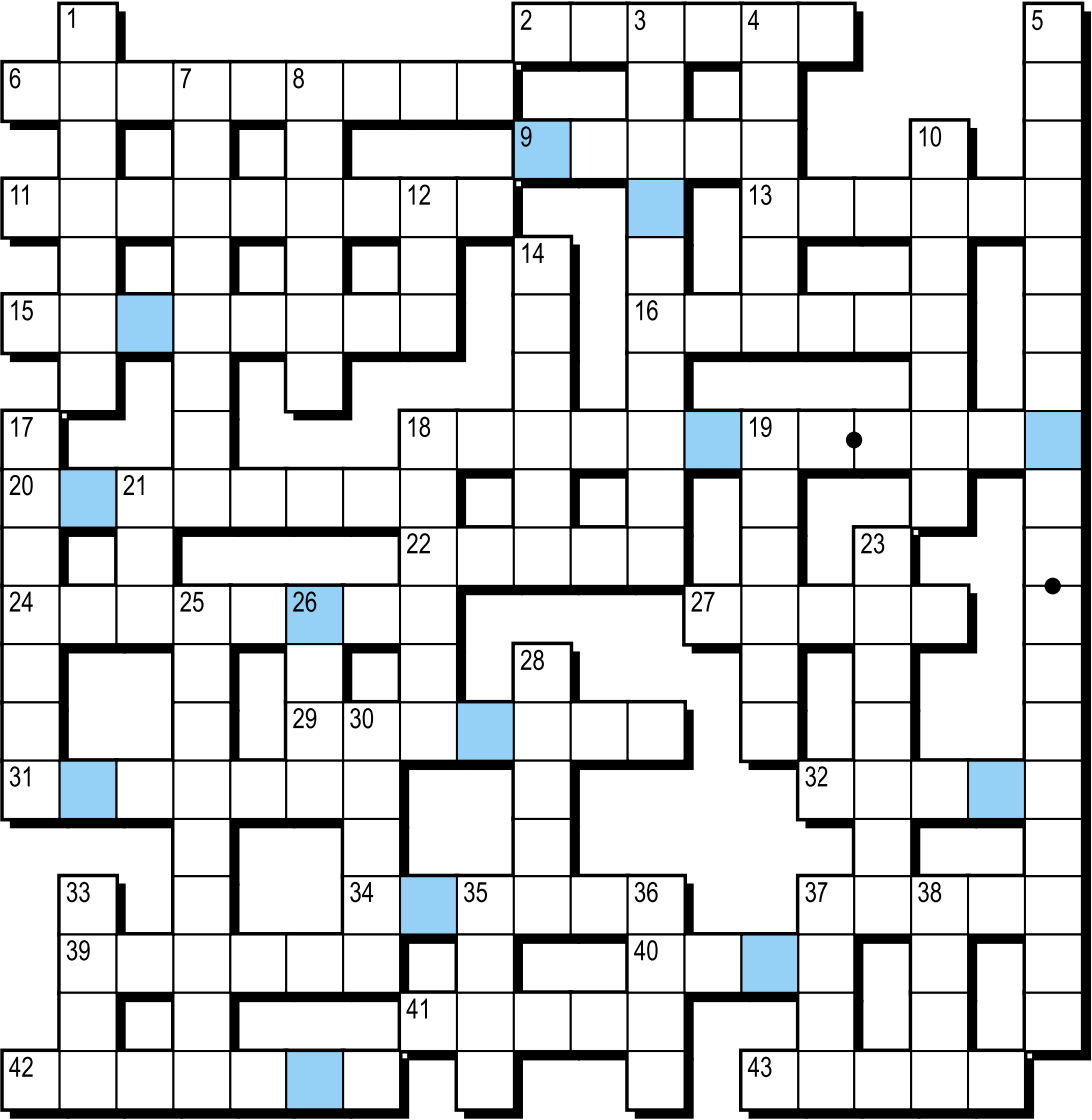
Ogle, który zagrał w ponad 300 filmach, sam zaprojektował kostium Frankensteina, który faktycznie do dziś robi wrażenie (sprawdźcie Państwo sami). Film bardzo długo uważany był za zaginiony – powszechnie sądzono, że wszystkie jego kopie spłonęły w pożarze. Na początku lat 50. Alois F. Dettlaff, prywatny kolekcjoner, nabył od swojej matki chrzestnej kopię tego filmu, nie zdając sobie sprawy, co kupuje. Zorientował się, bagatela, po ćwierć wieku!

„Frankenstein” z 1910 roku pokazany został ponownie publiczności w latach 70. Okazało się, że kopia, która trafiła do kolekcjonera, jest w całkiem niezłym stanie.

Dettlaff wypuścił też wersję na DVD, film można też oglądać w domenie publicznej jako produkcję, która powstała przed 1928 rokiem.

Dlatego dzisiejsza „Weekendówka” poświęcona będzie horrorom. A do współpracy zaprosiliśmy Joannę Dzikowską, dziennikarkę wrocławskiego oddziału „Gazety Wyborczej” nominowaną do nagrody Grand Press za rozmowę z Wojciechem Kurtyką. Asia, oprócz tego, że jest osobą wielu talentów, jest także miłośniczką kina grozy, pytań przygotowała bez liku, więc jestem pewny, że będzie się działo! ●

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 43 z 11.03:

Poziomo:

- 1) Bernstein 8) Dominika 10) Oriana 11) cyngiel 12) news 13) Ewa 14) Egon Kisch 17) Stec 18) nakład 19) komentarz 20) skład 21) Lis 23) Czerska 27) prasa 28) Sianeki 29) media 31) pokaz 33) wywiad 35) kwerenda 36) ustawa 37) Hyde Park 38) wiadomości 39) Polsat

Pionowo:

- 1) Buenos 2) Resich 3) Eliza 4) Robert 5) Piasecki 6) Żakowski 7) nagroda 9) informacje 10) Olejnik 15) interview 16) władza 17) styl 22) instytut 24) kamerzyści 25) kaczka 26) pamiętnik 27) paparazzo 30) Daniel 32) konkurs 34) dowody

HASŁO: SPRAWOZDAWCA

HORRORY

Hasła Joanny Dzikowskiej oznaczono inicjałami (JD). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) ... Krueger („Koszmar z ulicy Wiązów”) 6) kiedy potwory pukają do drzwi (JD) 9) tytuł serii horrorów lub najstraszniejszego obrazu Muncha 11) tańczący klaun z czerwonym balonikiem (JD) 13) lęk, strach, przerażenie 15) po dziwnym deserze urodziła półdiabłą (JD) 16) powieść Stephena Kinga o nastolatce ze zdolnościami telekinetycznymi 18) tytuł serii parodii horrorów 20) Chucky

22) film grozy z egipską kłutwą w tle

24) horror w szkole baletowej Tildy Swinton (JD)

27) imię reżysera filmu 15 poziomo

29) imię reżysera, który kazał oszaleć Jackowi Nicholsonowi (JD)

31) John Carpenter („Halloween”, „Coś”) lub Wes Craven („W mroku pod schodami”, „Potwór z bagien”)

32) kosmiczne „drogowskazy” w polu kukurydzy Mela Gibsona (JD)

34) „... pod Wiszącą Skatą”

37) mordercze mewy przed kamerą Hitchcocka (JD)

39) te nagrody dość rzadko trafiają do filmów grozy

40) groza w domu z Nicole Kidman (JD)

41) strzyga albo topielica (JD)

42) „Czarny ...”, horror z Ethanem Hawkiem

43) hokejowy dodatek dla mordercy w piątek trzynastego (JD)

Pionowo:

1) w jego filmach pod wodą można spotkać obcych albo lodową górę (nazwisko reżysera) (JD)

3) klasyka horroru z 1973 r. (reżyser: William Friedkin)

4) Jekyll lub Sen

5) duchy na domowym monitoringu (JD)

7) film grozy, w którym „nudzą Jacka takie sprawy, ciągle praca, brak zabawy” (JD)

8) ...z politykiem, celebrytą albo wampirem (JD)

10) „Truposze nie umierają” lub „Zombieland”

12) „Łowca ...”, ekranizacja horroru Stephena Kinga (wpisujemy w mianownik)

14) tajemnicze słowo pojawiające się na drzwiach w filmie 7 pionowo

17) typ horroru, w którym głównych bohaterów stopniowo ubywa

18) imię dziewczynki, która wyszła z telewizora (JD)

19) imię aktorki z filmu „Żony ze Stepford”

21) znajdziesz tam Babę Jagę albo wiedźmę z Blair (JD)

23) „... doktora Caligari”, uważany za jeden z pierwszych filmów grozy

25) „Inwazja ... ciał” (wpisujemy w mianownik)

26) Emily, filmowa ofiara egzorcyzmu (JD)

28) trochę „To” śmieszne, a trochę straszne (JD)

30) „Noc żywych ...” (wpisujemy w mianownik)

33) odmiana horroru z licznymi scenami drastycznej przemocy

35) na toast dla wampirów (JD)

36) nazwisko króla powieści grozy

37) przyda się stolarzowi i podczas teksańskiej masakry (JD)

38) „... pomidorów zabójców”

Byle do

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play